PRAWO I ŻYCIE

STR. 4

DLA NASZEGO DOMU
STR. 7

HERMES Z POLSKA ODZIANY
STR. 6

GORZKI SMAK szczęścia
STR. 8, 9, 12

LITERATURA ZIEMI SMOLENSKIEJ
STR. 10

OBCŁOSY

ROK XVIII NR 9 (899) 27 LUTEGO 1975 ROKU CENA 3 ZŁ

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

REKOMENDACJE

Tematem numer jeden dla władz i wszystkich mieszkańców naszego miasta jest dalsza rozbudowa i przebudowa Łodzi. Znajdowało to szczególny wyraz podczas przeprowadzanych ostatnio dzielnicowych konferencji partyjnych, o czym szczegółowo piszemy na stronie drugiej w sprawozdaniu z obrad dzielnicy Łódź-Śródmieście.

Rozwój Łódzkiej Aglomeracji Miejskiej wiąże się nierozerwalnie z koniecznością daleko idącej integracji łódzkiego ośrodka naukowego. Dalszy, szybki rozwój naszych wyższych uczelni, instytutów i innych placówek naukowo-badawczych wymaga zmiany ich lokalizacji oraz maksymalnej koncentracji sił i środków. Wszystkie te zagadnienia porusza w artykule „Piękne koncepcje i co dalej" L. Włodkowski, który rozmawia z doc. dr arch. Jerzym Samujłło.

Zmienia się i pięknieje nam miasto. Przybywa domów i mieszkań. Wiąże się to z koniecznością ich wyposażenia, co nie zawsze jest sprawą najłatwiejszą. Pisze o tym w swym cyklu „Dla naszego domu" red. B. Madej. Tym razem o firankach. Są, czy ich nie ma? I jakie są?

Wydaje się że postulaty jakie wysuwa autorka pod adresem naszego handlu, do którego ma głównie pretensje, są do spełnienia bez większych trudności.

Nasz reportażysta R. Binkowski w swych wędrówkach po województwie dotarł do wsi Grabowo, która zafascynowała go tym, iż posiada aż 4 kuźnie. Trzy są czynne. Dlaczego jednak czwarta stoi pusta, a MIECH powędrował już NA STRYCH?

A. Makowiecki znany jest naszym Czytelnikom ze swych zagranicznych wojaży, obficie owocujących w korespondencje. Tym razem jednak jego reportaż „Maxim wstrzymuje wypłatę" nie dotyczy popularnego paryskiego „Maksima", lecz chodzi po prostu o łódzki tzw. salon gier, którego „działalność" zmusza autora do nie najweselszych refleksji na temat zapewnienia młodzieży godziwej rozrywki kulturalnej. Podpisujemy się oburącz pod jego resumeé.

W bieżącym numerze wyjątkowo bogato prezentowana jest literatura.

Od lat już pisarzy naszego miasta łączą więzy przyjaźni z twórcami Ziemi Smoleńskiej. Wymiana doświadczeń warsztatowych, nawiązywanie osobistych kontaktów, wzajemne tłumaczenie i publikowanie utworów, stanowią tylko niektóre z form pogłębiania tego sojuszu. Dziś serwujemy Czytelnikom kolejne przekłady z twórczości naszych przyjaciół, omawiając jednocześnie ich drogę twórczą.

Oprócz cotygodniowego odcinka Słownika Pisarzy Łódzkich, w którym Ryszard Wierzbowski pisze o Antonim Kasprowiczu, „autentycznym łódzkim proletariuszu", prawie cała kolumne poświeciliśmy omówieniu drogi życiowej i przebogatej twórczości Kazimierza Wyki, niestrudzonego badacza, pedagoga i twórcy. Horacy Safrin natomiast prezentuje swoją kolejną humoreskę zatytułowaną – „PRZYJACIELE – Ze wspomnień rozwiedzionego", traktującą o „czworokącie z małżeńskim".

OBYCZAJE

ANDRZEJ MAKOWIECKI

MAXIM WSTRZYMUJE WYPŁATĘ

u „Maxima" jest dobra obsługa, ale automaty oszukują. Nie mówię tego w trosce o robotników, którzy i tak na siebie zarobią, ani studentów, którzy zawsze się jakoś pożywią przy pomocy rodziców i państwa; nie mówię tego również w interesie „badylarskich" i „prywaciarskich" latorośli, które w łódzkim salonie gry stanowią zdecydowaną większość, wyrzucając z obu kieszeni pieniądze tak, jak ty wyrzucasz z kosza śmieci. Występuję natomiast w imieniu niebieskich ptaków, dla których, obok drobnych obrotów walutowych, końskiego totalizatora i karcianej szulerki, automaty stanowią jedyne źródło dochodu.

Nikt nie napisał na zewnątrz ani w środku, że wejdziesz biedny, a wyjdziesz bogaty. I to jest w porządku. Nie należy stwarzać iluzji tam, gdzie szanse są znikome. Jak tylko łódzki „Maxim" został otwarty, pojawiło się kilku zawodowców z notesami i za-

Dalszy ciąg na str. 8

PRZYSZŁOŚĆ NAUKI (II)

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

PIĘKNA KONCEPCJA I CO DALEJ

W „CIĄŻENIU GENEZY" scharakteryzowałem stan obecny bazy materialnej łódzkiego ośrodka nauki i jego perspektywiczne potrzeby. Na zlecenie Urzędu Miasta Łodzi nad koncepcją rozwoju nauki w mieście pracował zespół Instytutu Inżynierii Komunalnej Politechniki Łódzkiej pod kierunkiem doc. dr arch. JERZEGO SAMUJŁŁO przy współudziale prof. dr Juliusza Goryńskiego.

Do JERZEGO SAMUJŁŁO zwróciłem się też z pytaniem:
– Jaka jest koncepcja perspektywicznego rozwoju Łodzi naukowej?

Dalszy ciąg na str. 3

NOWOCZESNOŚĆ NA WSI

RYSZARD BINKOWSKI

MIECH NA STRYCHU

W progu leży stare, pordzewiałe kowadło. Poszczerbione, wykruszone, długie lata biły weń młoty.

Musiał odejść człowiek, odeszło kowadło.

Umarł dziadek Soja, który w 1902 roku postawił kuźnię w Grabowie, młot przejął syn Kazimierz i bił w nowe kowadło. Od czternastego roku życia, przez trzydzieści osiem lat.

Od dwóch lat wali w to kowadło osiemnastolatek syn Wiesław. Kiedy kończy robotę, pochyla się i dokładnie zdmuchuje z kowadła pył, popiół i rdzę.

Na kowadle nie wolno się wesprzeć, a broń Boże usiąść! To jest warsztat pracy. Na kowadle kowal pracuje na chleb

Weszła kowalowa, mówi, wsparta pod boki:

— Jak mój wróci w południe, to więcej opowie. Od dzieciaka zaczynał, mały był, ledwie sięgał rączki od miecha. A później, to już sama pamiętam, że starego żelastwa, z kawałków różnych robił podkowy. Huk był niemożliwy, do dziewiątej wieczorem naciągali obręcze. To robota z ognia, proszę pana, którą trzeba skończyć.

A synów mam czterech. Jeden jeszcze się uczy, drugi całkiem z fachu

Dalszy ciąg na str. 3

XVIII ŚRÓDMIEJSKA

CENTRUM

Zacznijmy od wyjaśnień.

Wyjaśnienie pierwsze: Pojęcie **„śródmieście"** ma trzy znaczenia. Jedno **historyczne** – oznaczało zwartą zabudowę, ukształtowaną w przeszłości, najczęściej wokół rynku. Dziś już śródmieście nie zawsze dawne odpowiada temu, co obecnie stanowi środek miasta w pojęciu **topograficznym**. I tak drugim znaczeniem terminu **„śródmieście"** jest jego położenie w środku miasta i w tym sensie używane u nas określenie **„śródmieście"** dla centralnej dzielnicy odpowiada topografii miasta. Trzecie – to znaczenie **administracyjne**. W tym znaczeniu najczęściej używamy w Łodzi terminu **„śródmieście"**.

Czymś innym zupełnie jest pojęcie **CENTRUM**. Używa się go dla oznaczenia **funkcji** pewnego rejonu miasta, w którym skupia się najważniejsze dla tego miasta instytucje usługowe, kulturalne, administracyjne, polityczne, handlowe, rozrywkowe. W Łodzi **CENTRUM** stanowi tylko część administracyjnej dzielnicy Śródmieście. A poza tym jest to **CENTRUM**, które dopiero się staje, którego kształt bardziej jest widoczny w projektach niż w rzeczywistości.

Wyjaśnienie drugie: Łódzkie Śródmieście — i to zarówno ta część, która stanowić ma pierwszy etap budowy nowoczesnego **CENTRUM**, jak i cała dzielnica — jest najbardziej zagęszczoną dzielnicą miasta, zaniedbaną, gdyż nowoczesność jest tu dopiero szansą, nadzieją i postulatem. Trzeba przeorać łódzką przeszłość i to zarówno materialnie, jak i w społecznej świadomości, aby „na gruzach" starego stworzyć nowe.

DZIELNICA ŚRÓDMIEŚCIE zajmuje 683 ha, jest więc najmniejszą łódzką dzielnicą, ale też najgęściej zaludnioną. Jeśli na Bałutach — największej łódzkiej dzielnicy — na 1 km kwadratowy przypada 3 625 mieszkańców, to w Śródmieściu — 18,5 tysiąca. Tutaj pracuje 32 proc. wszystkich łódzkich sklepów, w tym 45 proc. sklepów sprzedających artykuły przemysłowe. Nic więc dziwnego, że tutaj dokonuje się 40 proc. wszystkich obrotów łódzkiego handlu. Już tylko te dane ilustrują dosadnie problemy dzielnicy: kłopoty komunikacyjne, natężenie ruchu, potrzeby budowlane.

TAKIE SĄ WARUNKI

...w których przychodzi działać Komitetowi Dzielnicowemu PZPR, wybranemu na XVIII Konferencji Sprawozdawczo-Wyborczej. Bieżąca kadencja i następne będą dla władz dzielnicy, a więc i dla władz politycznych, okresem szczególnie intensywnej pracy. Nowy Komitet Dzielnicowy PZPR w Śródmieściu, na czele którego stoi I sekretarz — **Józef Niewiadomski**, będzie musiał włożyć wiele wysiłku, aby zapewnić dzielnicy właściwy rozwój, aby dopilnować należytego tempa przemian. Rzecz bowiem w tym, że miasto przez ostatnie dziesięciolecie niebywale rozwinęło się na swoich obrzeżach, powstały nowe dzielnice, buduje się Retkinię i Widzew — Wschód, a centrum pozostaje bez zmian.

Każda z powstających dzielnic, każde z osiedli powinno mieć swoje centrum handlowo-usługowe. Te centra spełniają jednak funkcje podrzędne w stosunku do centrum wielkomiejskiego. Łódź ma kilka teatrów i choć są one ulokowane w śródmieściu, to przecież możemy spodziewać się, że w przyszłości swój teatr będzie posiadała Retkinia (miasto 60-tysięczne) i takiż teatr może posiadać Widzew — Wschód, albo Dąbrowa. Teatr Wielki w Łodzi będzie jednak jeden. Podobnie Galeria Sztuki, kino festiwalowe, Filharmonia. Podobnie wielki dom towarowy i lokale rozrywkowe.

W Łodzi zaczyna się coraz wyraźniej zarysowywać dysproporcja między wianuszkiem dzielnic peryferyjnych — budowanych coraz nowocześniej — a starym, dziewiętnastowiecznym śródmieściem. Ta dysproporcja zarysowuje się tym ostrzej, że nowe dzielnice nie posiadają ukończonych, swoich centrów peryferyjnych. Powoduje to, że oczy mieszkańców całej Łodzi — a do tego dochodzą mieszkańcy aglomeracji — patrzą łakomie na śródmieście, które z racji opóźnień w swoim rozwoju nie jest w stanie podołać oczekiwaniom i potrzebom. Stąd powszechne społeczne zainteresowanie sprawami śródmieścia. **Przebudowa CENTRUM Łodzi stała się już sprawą społeczną — sprawą całego miasta, a nawet i regionu.**

NOWOCZESNE CENTRUM

...jest więc nie tylko ambicją miasta, ale i koniecznością. Jeśli nie zacznie się szybko budować i spełniać swojej funkcji, to narastać będą i zaostrzać się sprzeczności między społecznymi potrzebami, a możliwościami miasta. Rozwiązanie tych sprzeczności to jedno z najpilniejszych zadań Śródmieścia. Mówiono o tym na Konferencji Partyjnej. XVIII Konferencja organizacji partyjnej Śródmieścia uznała, że w najbliższym czasie — w pierwszym etapie — należy zmodernizować 53 sklepy, dając im właściwe warunki dla ekspozycji towarów, handlowania i dla pracy personelu. W drugim etapie zmodernizuje się 27 sklepów, a w trzecim — już po 1976 roku — 32 sklepy. W ten sposób śródmieście Łodzi otrzyma należyte warunki dla spełniania swojej centralnej roli handlowej.

Drugim ważnym zadaniem jest modernizacja **układu komunikacyjnego śródmieścia.** Dokona się jej na trzech trasach:

— **Mickiewicza — Główna,** którędy przebiegnie łódzka trasa „W—Z", łącząca między innymi Retkinię z Widzewem — Wschód,

— **Narutowicza — Zielona,** co pozwoli na poszerzenie tego ciągu komunikacyjnego i włączenie go do ruchu na linii wschód — zachód, a przy okazji pozwoli odsłonić nowy kombinat gastronomiczny „Kaskada",

— **Zgierska — Zachodnia — Kościuszki,** przebijając al. Kościuszki do ul. Pabianickiej i włączając do sieci komunikacyjnej nowe osiedle mieszkaniowe „Świerczewskiego — Czerwona". Dzięki temu powstanie pełny ciąg komunikacyjny, umożliwiający szybki ruch na linii północ — południe, wyłączając z tego ruchu Piotrkowską.

Modernizacja tych tras wiąże się oczywiście z koniecznością wprowadzenia nowoczesnych rozwiązań architektonicznych. W tych też rejonach skoncentruje się wysiłki architektów i urbanistów. W latach nadchodzącej pięciolatki uwaga urbanistów, architektów i budowlanych skoncentrowana będzie na rejonie: **Ogrodowa — Północna — Kopcińskiego — Tuwima — Targowa — Milionowa — Wólczańska.** W tym rejonie projektuje się wybudowanie pierwszych zarysów nowoczesnego **CENTRUM** Łodzi.

Zadaniem śródmiejskiej instancji partyjnej jest inspiracja poczynań Urzędu Dzielnicowego i innych instytucji, od tempa pracy których zależeć będzie powodzenie tego przedsięwzięcia. Delegaci tej organizacji partyjnej doskonale rozumieją swoją odpowiedzialność, czemu dali wyraz w dyskusji, we wnioskach i postulatach. Powszechnym dążeniem jest — mówiono na XVIII Konferencji Partyjnej Śródmieścia — **aby CENTRUM Łodzi stało się wizytówką unowocześniającego się miasta.**

PRACUJE TU

...przeszło 25 proc. wszystkich zatrudnionych w mieście. Jest więc Śródmieście nie tylko dzielnicą instytucji, wyższych uczelni, kultury i handlu, ale też dzielnicą robotniczą. To prawda, że w toku przebudowy Łodzi wiele fabryk „wyprowadzi się" ze Śródmieścia. Wyprowadzą się **ZM im. J. Strzelczyka — „Ponar — Jotes"** — co umożliwi wreszcie przebicie al. T. Kościuszki aż do ul. Pabianickiej — **Zjednoczone Tkalnie Jedwabiu „Północ", ZPDz. „Olimpia"** — która posiada nowoczesny oddział na Nowych Sadach — **„Polopren".** Nowe siedziby otrzymają **ZPP „Feniks" i ZPDz. „Iwona". Zakłady Przemysłu Odzieżowego im. dr A. Próchnika** rozpoczęły już budowę nowych pomieszczeń, ale pozostają one nadal w dzielnicy, z tym tylko, że przenoszą się z ul. Sienkiewicza na ul. Milionową.

Pozostanie w dzielnicy **„Predom — Prexer", „Mera — Poltik", ZPW 9 Maja, ZPP „Zenit".** Otrzymały one fundusze na modernizację, postęp techniczny i nowe rodzaje wyrobów.

W przyszłości będzie mniej tu pracowało ludzi niż pracuje obecnie, ale nie zmienia to zadań i charakteru śródmiejskiej organizacji partyjnej. Jej najważniejszym zadaniem — jak to podkreślano na XVIII Konferencji Partyjnej — jest nadal polityczne kierowanie procesami społecznymi i gospodarczymi.

PRZEMIANOM

...podlega też struktura zatrudnienia w Śródmieściu. Rośnie liczba robotników wykwalifikowanych ze średnim wykształceniem i rośnie liczba pracowników z wykształceniem wyższym. Jest to naturalna konsekwencja modernizacji przemysłu oraz coraz większego napływu ludzi ze szkół średnich i wyższych miasta. Jednakże w strukturze tej występują jeszcze poważne nieprawidłowości. Prowadzony niedawno przegląd zatrudnienia pokazał, że w Śródmieściu jest 1 099 osób niewłaściwie wykorzystanych.

Zdaniem dzielnicowej organizacji partyjnej — o czym mówiono na Konferencji Partyjnej — istnieją znacznie większe możliwości wykorzystania ludzkich umiejętności i wiedzy, a przede wszystkim przez poprawę organizacji pracy. Organizacje partyjne w przedsiębiorstwach i instytucjach powinny bardziej wnikliwie przeanalizować istniejącą strukturę zatrudnienia, system organizacji pracy i pokazać te stanowiska pracy, które są ciągle jeszcze niewłaściwie wykorzystywane. Tego typu inspiratorska działalność partii przynosi nie tylko doraźne korzyści, przyczyniając się do poprawy stanu zatrudnienia, ale uczy też szerszego patrzenia na gospodarkę miasta, pozwala przezwyciężać szkodliwy partykularyzm zakładowy i dzielnicowy.

Uczestniczący w obradach XVIII Konferencji Sprawozdawczo-Wyborczej Śródmieścia I sekretarz KŁ PZPR — **Bolesław Koperski** szczególną uwagę w swoim wystąpieniu zwrócił na problem polityki kadrowej. Jest to bowiem problem kluczowy nie tylko dla Śródmieścia, ale i dla całego miasta. Rosnące zadania wymagają pełnego wykorzystania wszystkich ludzi, stworzenia im warunków dla spożytkowania ich umiejętności, doświadczenia i wiedzy. Nie można się dziś godzić na marnowanie ludzkich umiejętności, które tak są potrzebne gospodarce miasta. I dlatego — mówił B. Koperski — kierowników i dyrektorów przedsiębiorstw będzie się oceniać nie tylko według stopnia realizacji planów gospodarczych, ale również według umiejętności kierowania i wykorzystywania ludzkich kwalifikacji.

XVIII Konferencja Partyjna Śródmieścia dużo miejsca w programie działania poświęciła między innym sprawom polityki kadrowej.

ZŁOŻONY CHARAKTER

...śródmiejskiej organizacji partyjnej polega przede wszystkim na tym, że składa się ona z bardzo zróżnicowanych organizacji podstawowych, działających w instytucjach kluczowych dla funkcjonowania miejskiego organizmu. Ogółem członkowie partii (i kandydaci) stanowią 19,1 proc. wszystkich pracujących. Do partii należy 11,9 proc. robotników ze śródmiejskich przedsiębiorstw przemysłowych oraz 15,6 proc. pracujących tu kobiet.

Na 282 organizacje podstawowe 84 działa w zakładach przemysłowych, 18 — w budownictwie, 9 — w transporcie i łączności, 40 — w handlu, 3 — w służbie zdrowia, 2 — w wyższych uczelniach, 41 — w szkołach, 85 — w kulturze, spółdzielczości, urzędach, redakcjach. Wymaga to stosowania różnorakich form działania, różnicowania programów i metod kierowania tymi organizacjami, a jednocześnie podnosi rolę i znaczenie śródmiejskiej instancji partyjnej.

Przebieg XVIII Konferencji Partyjnej Śródmieścia pokazał, że organizacja partyjna tej dzielnicy rozumie swoją rolę i swoją kierowniczą i inspiratorską funkcję, a przyjęty przez nią program gwarantuje działalność sprawną i możliwie wszechstronną. Ta rola dzielnicowej instancji będzie wypełniona, jeśli wszystkie organizacje partyjne w jednakowym stopniu włączą się do realizacji dzielnicowego programu partyjnego.

M. RODAKOWSKI

OKO na GOSPODARKĘ

ZIEMIA KRYJE SKARBY

Otrzymałem list, a w nim postawiono takie pytanie: „Tyle się ostatnio mówi o kłopotach surowcowych, na różne sposoby — niekiedy wprost katastroficznie — ocenia się możliwości, zasobność naszego globu. No i w związku z tym — jak nasz kraj prezentuje się w tej dziedzinie?"

* * *

Rzeczywiście pasjonująca sprawa. Warto przy tym porozmawiać nie tyle o zasobach surowcowych, które są już od dawna znane i eksploatowane, lecz o najnowszych zdobyczach polskich „tropicieli" skarbów, które kryje w sobie jeszcze ziemia między Bugiem a Odrą.

No więc — jak to z tym naszym podziemnym bogactwem jest?

W ciągu minionych 10 lat wydaliśmy w Polsce około 23 miliardy złotych na badania geologiczne. Nie jest to bagatelna kwota, zajmuje ona poważne miejsce w naszych wydatkach na różnego rodzaju poczynania naukowe, a jej walor może jeszcze lepiej błyśnie, będzie wyraźniejszy, jeśli dokonamy pewnej konfrontacji: otóż może należy przypomnieć, że na rekonstrukcję Łodzi — tak miejskiej infrastruktury, jak i przemysłu zamierzamy do końca 1975 roku wydać ponad 40 mld zł, przy czym jest to równoznaczne z wybudowaniem około 150 tys. izb mieszkalnych i wielu nowych, dużych zakładów przemysłowych.

Więc — 23 miliardy złotych. Tyle kosztowało nas wiercenie w głąb ziemi. Oczywiście od razu nasuwa się pytanie, czy środki wcale przecież niebagatelne, sensownie wydajemy, czy owe poszukiwania i idące w ich ślad nakłady materialne mają swoje uzasadnienie.

Tutaj warto przytoczyć trochę danych o nieco ogólniejszym charakterze, ale ściśle wiążących się z podejmowanym tutaj problemem PO CO WYDAJEMY NA POSZUKIWANIA GEOLOGICZNE TYLE PIENIĘDZY, PO CO Z TAKIM UPOREM STARAMY SIĘ ODKRYĆ TAJEMNICĘ NASZEJ ZIEMI.

W ubiegłym roku w Bukareszcie odbył się Światowy Kongres Górniczy. Tam też m. in. ujawniono, że wartość surowców górniczych wydartych ziemi w roku 1970 szacuje się na około 93 miliardy dolarów. Przyznacie chyba, że jest to efektowna kwota. Trzeba jednak natychmiast dodać, że mimo całej swojej efektywności owe 93 miliardy dolarów są równoznaczne z ułamkiem światowej produkcji rozmaitych wyrobów i produktów, a dokładnie stanowią 4 proc. owej wartości globalnej światowej produkcji.

Owe cztery procent mają w istocie ogromną rolę dla rozwoju ekonomii wielu krajów. Surowce naturalne to dziś problem światowy i nie da się ukryć, że to właśnie one bardzo często decydują o przeszłości ekonomii, o możliwościach i szybkości rozwoju społeczeństw.

Jeśli tak — to pytanie, jak w tej dziedzinie przedstawia się nasza sytuacja, wyposażenie Polski w surowce naturalne, ma bardzo poważny ciężar gatunkowy.

Trzeba stwierdzić, że znajdujemy się w dosyć szczęśliwym położeniu, zajmujemy niezłą pozycję wśród krajów, które mogą się określać posiadaczami naturalnego skarbu, słowem — mamy przyzwoity wkład w owe 4 procent światowej produkcji surowców górniczych, w owe 93 miliardy, które człowiek wydarł ziemi w roku 1970. Niemniej warto tutaj sobie przypomnieć pewne fakty świadczące o naszej pozycji, a równocześnie uzasadniające dalsze poczynania w tej dziedzinie, sensowność nakładów, które na tę dziedzinę przeznaczamy. Otóż — obok znanych już zasobów surowcowych — na przestrzeni ostatnich lat odkryliśmy bardzo bogate złoża węgla kamiennego w województwie lubelskim, liczące się w świecie złoża cynku w okolicach Zawiercia i Olkusza, a budowana już kopalnia „Pomorzany" umożliwi ich eksploatację na bardzo dużą skalę. Wydaje się — tak przynajmniej twierdzą naukowcy — że jeszcze niedawno lekceważone złoża rud żelaznych w rejonie Łęczycy mogą być również obiecujące, no a wreszcie dotychczasowe rozpoznania przyniosły dobre rezultaty, jeśli chodzi o węgiel brunatny w Bełchatowie, nowe złoża soli potasowych, które zalegają w rejonie Zatoki Puckiej, złoża ropy i gazu ziemnego w rejonie Podkarpacia, a ponadto soli, molibdenu i wanadu, które odkryto na Suwalszczyźnie.

Jest to oczywiście niepełna lista, ale i ona wskazuje, że nasza ziemia kryje w sobie poważne bogactwo, a naszym zadaniem jest po nie sięgnąć, przetworzyć, by służyło całemu społeczeństwu.

Czy znaczy to jednak, że ziemia między Bugiem a Odrą nie przedstawia już dla nas żadnej tajemnicy, że wiemy już z pewnością, co w sobie zawiera i co możemy z niej wydobyć?

Właściwie za odpowiedź mogłyby służyć wieże wiertnicze, które tak łatwo można spostrzec w różnych rejonach naszego kraju. Tak więc w następne poszukiwania znowu włożymy miliardy złotych, ale chyba ich zasadności nie trzeba już teraz tłumaczyć, szczególnie właśnie teraz, gdy świat ciągle nie może się jeszcze otrząsnąć ze skutków kryzysu energetycznego i surowcowego.

Chciałbym jednak przytoczyć tutaj opinię doc. dr Juliana Sokołowskiego, którą wyraził na łamach „Życia Gospodarczego". Otóż stwierdził on, że poznaliśmy już bardzo dokładnie budowę geologiczną naszego kraju do głębokości rzędu 3 tys. metrów. Wiemy, jakie regiony i głębokości mogą okazać się obiecujące dla poszukiwań konkretnych surowców. Faktem jest jednak, że najbardziej obiecujące na przykład dla poszukiwań naftowych są odwierty prowadzone na głębokości 5—7 tys. metrów, a są i takie informacje świadczące o tym, że na świecie prowadzi się badanie o jeszcze większym zasięgu. I to jest jeden z wymogów, przed którymi staje nasza geologia, mająca wyposażyć nasz kraj w jeszcze większe bogactwo surowcowe. Drugim niewątpliwie zadaniem jest bardziej równomierne rozmieszczenie poszukiwań na terenie całego kraju, gdyż jak świadczą dotychczasowe wyniki, cały obszar Polski może i powinien być przedmiotem pracy geologa.

Faktem jest jednak, że do tej pory terenem szczególnie intensywnych poszukiwań był obszar Podkarpacia, gdzie na 1 km kwadratowy powierzchni przypada dziś około 60 m bieżących wierceń, natomiast w całej reszcie kraju ten sam wskaźnik nie przekracza 20 metrów. Oczywiście jest to równoznaczne z rezerwą, która jest także szansą na znalezienie surowców, górniczego skarbu, którego istnienie, jak do tej pory tylko przeczuwamy.

Podejmujemy lub podjęliśmy już wiele wysiłków, które racjonalizują naszą gospodarkę. Niewątpliwie sięganie po bogactwo, które kryje się w naszej ziemi, jest takim samym rozumnym działaniem. Nie warto też na nie oszczędzać miliardów, nawet, jeśli są one bardzo „ciężkie".

KRZYSZTOF POGORZELEC

ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, ANDRZEJ GRUN (redaktor graficzny), JAN JANICKI (redaktor techniczny), BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RZYMOWSKI, WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), LUCJUSZ WŁODKOWSKI (sekretarz redakcji), JERZY WILMAŃSKI (drugi sekretarz).
Stale współpracują: ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, KAZIMIERZ A. LEWKOWSKI, EWA NURCZYŃSKA, KRZYSZTOF POGORZELEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, MAREK WAWRZKIEWICZ.

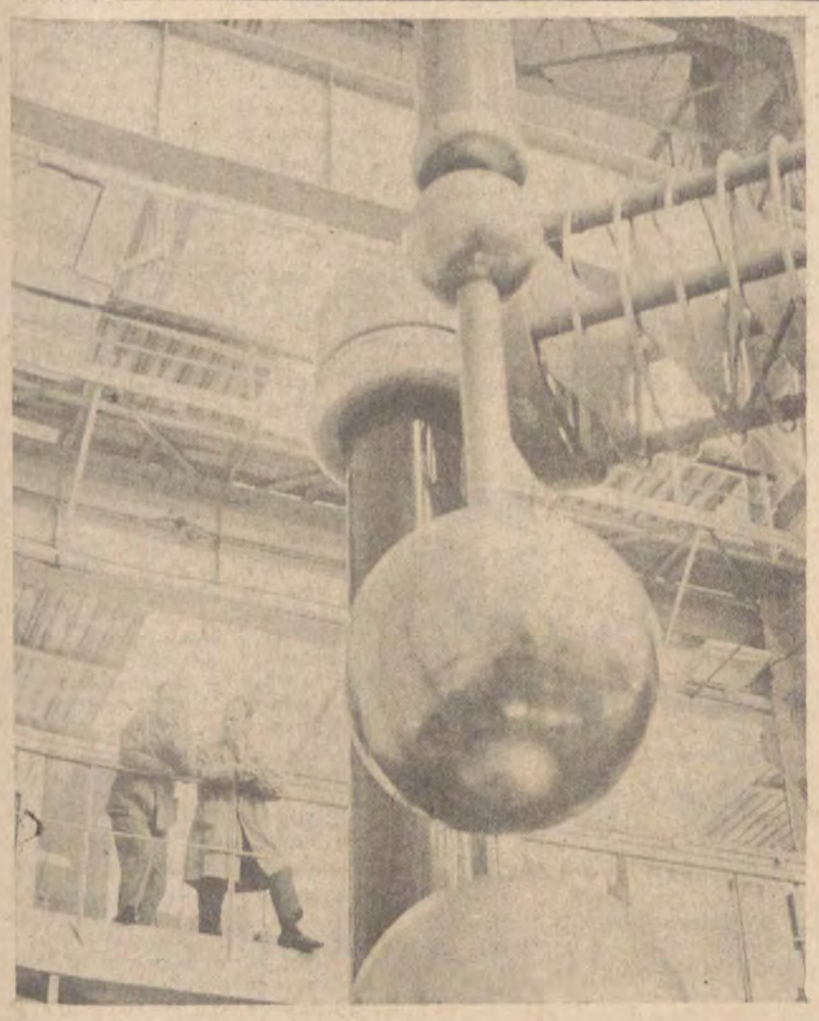

Fot.: G. Puciato

PIĘKNA KONCEPCJA I CO DALEJ?

Dalszy ciąg ze str. 1

— Koncepcja mogła być tylko jedna. Łódzki ośrodek nauki należy wybudować poza śródmieściem.

— Powód?

— Powodów jest kilka. Powód pierwszy — jasny i oczywisty moim zdaniem — to brak miejsca dla rozbudowy wyższych uczelni i placówek naukowych.

— Powód drugi?

— Konieczność powiązania przyszłego skupiska nauki z całym organizmem miasta.

— Brzmi to trochę paradoksalnie. Po to się wynosi coś poza obręb centrum, aby je z tym centrum wiązać.

— Paradoks jest tylko pozorny. Na świecie swego czasu panował kierunek prowadzący do wynoszenia ośrodków naukowych poza miasto i izolowania ich. Teraz się od tego odchodzi, gdyż — wiadomo — ośrodki nauki mają ogromną wartość kulturotwórczą i nie można ich zbytnio odsuwać od centrum wielkomiejskiego życia. I obecnie znów w wielu miastach szuka się możliwości ulokowania wyższych uczelni na przykład w śródmieściach.

My chcemy uniknąć tego, co praktyka pokazała, że jest wadliwe. Proponujemy powiązanie przyszłego ośrodka nauki z całością organizmu miasta i całej aglomeracji przede wszystkim poprzez wybranie racjonalnej lokalizacji, tak położonej, aby ośrodek nauki miał dogodne połączenie z wszelkimi formami życia miasta — kulturą, osiedlami mieszkaniowymi, centrami usługowymi i rekreacji.

— Do tej pory wymienił Pan dwa powody, ale wspomniał Pan, że powodów jest więcej. Jakie są więc dalsze?

— Następny choćby ten, że w światowych tendencjach ośrodki nauki lokuje się w korzystnym, żeby nie powiedzieć ładnym krajobrazie. A więc w pobliżu wody, zieleni, gdzie jest czyste powietrze, a nie tam, gdzie są zanieczyszczenia przemysłowe. Takich terenów w śródmieściu nie ma. Trzeba więc ich szukać poza śródmieściem.

Za lokowaniem ośrodka nauki poza centrum miasta przemawiają jeszcze doświadczenia innych krajów, choćby Związku Radzieckiego, gdzie koncentracja nauki w jednym miejscu, ale poza obrębem śródmieścia daje pozytywne wyniki.

Dlatego osobiście wyrażam pogląd, że przyszły ośrodek nauki w Łodzi powinien być ulokowany poza śródmieściem, w strefie obrzeżnej miasta.

Ale w łódzkich warunkach poza wszystkim powodem decydującym jest brak miejsca w śródmieściu.

— Trwają prace nad planem rekonstrukcji śródmieścia. Będzie ono miało w przyszłości inny kształt, wiele trzeba będzie wyburzyć, więc można byłoby znaleźć miejsce pod lokowanie wyższych uczelni i placówek nauki.

— Można byłoby znaleźć takie miejsce, ale to byłoby rozwiązanie bez żadnych widoków perspektywicznych. Za ileś tam lat wyższe uczelnie i placówki naukowe znalazłyby się w takim samym położeniu, w jakim znalazły się niektóre z nich dziś. Brak terenów pod dalszą niezbędną dla nich rozbudowę. A więc — moim zdaniem — Łodzi potrzebne jest takie rozwiązanie, które warunkowałoby możliwości rozwoju również i za 50 lat. I ten powód przemawia za lokalizacją na obrzeżach miasta.

Obecnie wyznaczono już tereny pod rozwój Akademii Medycznej i Uniwersytetu. Są to tereny położone między ulicami Narutowicza i Nowotki, leżące w kierunku wschodnim od śródmieścia. Tereny te wystarczą pod realizację programu rozbudowy tych uczelni do 1990 roku.

— A Politechnika Łódzka?

— Również posiada wyznaczone tereny i będzie się ona rozbudowywała w kierunku ulicy Wróblewskiego, a więc w kierunku południowym od obecnego położenia. Ale to również wystarczy dla realizacji programu rozbudowy do 1990 roku.

— A co później?

— Traktując rok 1990 umownie, a nie jako konkretną datę, bo moment ten może nastąpić dwa lata wcześniej, albo pięć lat później, w tym właśnie czasie nastąpi w Łodzi praktyczne wyczerpanie się terenów pod dalszą rozbudowę wyższych uczelni. I już dziś trzeba temu zapobiec.

— Dla wyższych uczelni nastąpi to około 1990 roku. A dla innych placówek naukowych? Znajdują się one już teraz w trudnych warunkach. Nie wszystkie wprawdzie posiadają programy swego rozwoju, ale te, które wybudowano, rozlokowano dość przypadkowo.

— Tutaj sytuacja jest jeszcze bardziej skomplikowana niż w przypadku wyższych uczelni. Tu występuje konieczność natychmiastowego wyznaczenia terenów pod przyszłą lokalizację, aby znów w ten sposób zapobiec nie sprzyjającemu dla przyszłości nauki rozproszeniu. Wiele placówek naukowych posiada bowiem lokalizacje nie sprzyjające koncentracji nauki i wzajemnemu jej powiązaniu — powiązaniu międzyinstytucjonalnemu. Poza tym wyznaczone lokalizacje nie stwarzają dalszych możliwości rozwoju przestrzennego tych placówek.

I jeśli nie weźmie się tych przesłanek pod uwagę, to można w przyszłości spowodować znaczne zahamowanie nauki w regionie łódzkim.

— Czy tylko ze względów przestrzennych?

— Nie. Nie tylko. Przede wszystkim dlatego, że łódzki ośrodek nauki znajduje się w sytuacji, w której działają wewnętrzne czynniki rozwoju, wynikające z powiązań środowiskowych, pomiędzy poszczególnymi uczelniami i dyscyplinami nauki, pogłębiania specjalizacji, wspólnego wykorzystywania pewnych elementów wyposażenia itp.

W najbliższej przyszłości, w ciągu 15 lat, nastąpi w kraju podwojenie potencjału naukowego i podwojenie liczby studentów. Obejmie to również i Łódź. Trzeba zatem dokonać dalszego pogłębienia specjalizacji, określenia jej kierunków dla całego ośrodka nauki w Łodzi. Wydaje się, że na przykład obok dalszego pogłębiania specjalizacji związanej z przemysłem lekkim słuszne byłoby też rozwijać specjalizacje związane z medycyną pracy, przemysłem poligraficznym, budownictwem, nie mówiąc o tych, które istnieją i stały się tradycją łódzkiego ośrodka nauki.

Jest to swego rodzaju odpowiednik selektywnego rozwoju gospodarki. W wyniku takiego wyboru specjalizacji łódzki ośrodek powinien w przeciągu tych 15—20 lat stać się ważnym ogniwem w krajowym systemie nauki, ogniwem o tendencjach dalszego dynamicznego rozwoju. Zdaniem naukowców przyszłość łódzkiego ośrodka nauki jest podstawowym warunkiem przyszłości Łódzkiej Aglomeracji Miejskiej. Bez ośrodka naukowego, dysponującego siłami do dalszego pomnażania swego potencjału Łódzka Aglomeracja Miejska nie będzie miała właściwego znaczenia w krajowym systemie aglomeracji.

— Jest w tym niewątpliwa racja. Ale też stawia to ogromne zadania przed miastem, zważywszy, że niemal wszystkie wyższe uczelnie i placówki naukowe mają już obecnie ogromne potrzeby.

— Gdybyśmy przyjęli, że nastąpi tylko podwojenie liczby studentów do 1990 roku, a będzie to niewątpliwie więcej niż podwojenie, to wychodząc z obecnego stanu posiadania łódzkich wyższych uczelni, który wyraża się 1,5 milionami m sześciennych kubatury pomieszczeń, do 1990 roku trzeba będzie wybudować nowych 5 milionów m sześciennych kubatury.

— Trzeba zatem wyrównywać braki i następnie powiększyć stan posiadany do potrzeb niezbędnych dla planowanej liczby studentów, jaką będzie miała Łódź w 1990 roku. Ale to dotyczy tylko wyższych uczelni. A co z placówkami naukowymi przemysłu.

— Ten wzrost powinien być jeszcze większy. Obecnie placówki naukowe posiadają pomieszczenia o wielkości 780 tys. m sześciennych. W 1990 roku powinny dysponować pomieszczeniami o 5 milionach m sześciennych. Wzrost jest niebywały.

— Potrzebne będą do tego ogromne tereny.

— Dla wyższych uczelni potrzebnych będzie około 300 hektarów, a dla placówek naukowych — około 330 hektarów.

— Wyższe uczelnie mają te tereny zagwarantowane do 1990 roku.

— Ale placówki naukowe nie mają ich już zagwarantowanych. A przecież ich rozwój — podobnie jak i wyższych uczelni — nie zakończy się po 1990 roku.

— Jakie jest więc wyjście?

— Trzeba już dziś podjąć decyzje co do lokalizacji placówek naukowych. Powinny one się znaleźć w pobliżu terenów, na których będzie się budowało wyższe uczelnie. Za takim rozwiązaniem przemawiają przynajmniej dwa powody.

— Jakie?

— Obserwujemy obecnie zanik zasadniczych różnic między wyższymi uczelniami a placówkami naukowymi. Na przykład przy rozwiązaniu konkursu dla Warszawskiego Ośrodka Naukowego, który planuje się zlokalizować w łuku siekierkowskim, przewiduje się, że placówki naukowe będą pełniły też funkcję dydaktyczne, podobnie — jak wyższe uczelnie — będą miały bardziej rozwinięte funkcje naukowo-badawcze.

Wydaje się więc, że w przyszłości zarówno placówki naukowe, jak i wyższe uczelnie będą pełniły takie same funkcje z tym tylko, że środek ciężkości będzie przesunięty na jedną z nich. W wyższych uczelniach na dydaktykę, w placówkach naukowych — na badania.

— A jaki jest drugi powód?

— Pobliskie ulokowanie placówek naukowych i wyższych uczelni daje większą możliwość integracji nauki, pozwala wspólnie korzystać z unikalnego wyposażenia. Laboratoria i pracownie instytutów mogą być wykorzystywane przez studentów wyższych uczelni i odwrotnie — aparatura i wyposażenie wyższych uczelni przez pracowników nauki z placówek naukowych.

Poza tym dzięki takiej lokalizacji można budować wspólne biblioteki, jedno centrum informatyki, wspólne ośrodki rekreacji i kultury. Stwarza to możliwość pełniejszego ich wykorzystania, a wspólne nakłady inwestycyjne dają możliwość lepszego wyposażenia, wprowadzenia nowocześniejszych rozwiązań.

— Gdzie ma powstać, zdaniem Pana, przyszłe łódzkie centrum nauki?

— Przyszłe centrum nauki powinno rozwijać się dalej w kierunku wschodnim za terenami wyznaczonymi pod budowę pomieszczeń dla Uniwersytetu Łódzkiego i Akademii Medycznej. Instytut Inżynierii Komunalnej Politechniki Łódzkiej przygotowuje na zlecenie Urzędu Miasta Łodzi ofertę dla instytucji naukowych, które będą się w przyszłości budowały.

— Na czym ta oferta polega?

— Projektujemy takie budynki, taki ich układ, aby można było tam ulokować placówkę naukową, której jeszcze nie znamy. Może to być zarówno placówka naukowa, jak i placówka dydaktyczna. Możliwość takich rozwiązań daje nam właśnie idea centrum nauki. W zespole placówek naukowych projektujemy wyposażenie międzyinstytucjonalne, swego rodzaju centrum obsługi, które służyłoby wszystkim współpartnerom, a to pozwala nam projektować uniwersalnie poszczególne siedziby placówek naukowych i oferować je dziś jeszcze nie znanym użytkownikom.

— A jeśli chodzi o teren, to w jakich zamykałby się on granicach?

— Między kierunkiem północnym a wschodnim — patrząc z centrum miasta. Wypadkowa prowadziłaby na Brzeziny.

— Rozpatruje się możliwość lokowania placówek naukowych w rejonie Bedonia — Gałkówka, a więc na linii kolejowej do Koluszek.

— Mieści się to w tym sektorze

— Czy budowany Instytut Włókiennictwa i Państwowa Wyższa Szkoła Sztuk Plastycznych również mieszczą się w tym sektorze?

— Tak.

— Pewne inwestycje stały się już faktem. Jak się przedstawia ich przyszłość w związku z tą koncepcją?

— Trzeba patrzeć realnie na rzeczywistość i przyszłość. Na przykład Politechnika Łódzka będzie się rozwijała do 1990 roku w miejscu obecnym, poszerzając tereny w kierunku południowym od ulicy Żwirki do ulicy Wróblewskiego. Czy to wystarczy tej uczelni po 1990 roku? Na pewno nie. Dalsze wydziały Politechniki Łódzkiej czy też „Politechnika Łódzka — bis" będzie musiała powstać w rejonie koncentracji nauki. Jakie szczegółowe rozwiązania przyjmie się — trudno dziś przewidzieć. Jedno tylko wydaje się pewne — wszystko wskazuje na konieczność również i po 1990 roku koncentrowania placówek nauki w powiązaniu z centrami obsługującymi większość naukowych placówek.

— Przyszła pięciolatka dla Łodzi — to przede wszystkim budownictwo mieszkaniowe. Taki kierunek dyktują potrzeby. Zrozumiałe więc, że do 1980 roku budownictwo nie będzie mogło zająć się inwestycjami wyższych uczelni w takiej skali, jakby to było konieczne. Jakie w związku z tym widzi Pan rozwiązanie?

— Po pierwsze — trzeba podjąć niezbędne decyzje i wyznaczyć rejon przyszłej koncentracji nauki.

— Do kiedy trzeba podjąć te decyzje?

— Już. Każdy miesiąc zwłoki piętrzy trudności, jakie w przyszłości trzeba będzie rozwiązać.

— A po drugie?

— Po drugie — trzeba przygotować plany, opracować projekty i zbilansować możliwości produkcyjne budownictwa, aby dziesięciolecie 1981—1990 było przeznaczone na intensywny rozwój budownictwa nauki i szkolnictwa wyższego.

— Koncentracja nauki w jednym rejonie nie pozostaje w sprzeczności z powiązaniem tego ośrodka z przemysłem, ani też nie przeczy zasadzie rozwijania filii wyższych uczelni w innych ośrodkach?

— Nie. Patrzymy na to realnie i uważamy, że w przyszłości niektóre placówki nauki, jak i wyższe uczelnie pozostaną poza centrum nauki. Szkoły artystyczne przede wszystkim. Poza tym zakładamy konieczność rozwijania filii zarówno w miastach Łódzkiej Aglomeracji Miejskiej, jak i poza ich granicami. Zakładamy konieczność istnienia filii Uniwersytetu Łódzkiego w Zgierzu i Piotrkowie Trybunalskim, filii Wydziału Włókienniczego PŁ w Bielsku-Białej. Być może powstaną również filie łódzkich uczelni i placówek naukowych w innych ośrodkach.

W Widzewie-Żdżarach rozwijać się będzie ośrodek kształcenia rolników, czy to na zasadzie filii Wyższej Szkoły Gospodarstwa Wiejskiego, czy też jako wydział Uniwersytetu Łódzkiego. W wielkich zakładach pracy będą musiały powstawać ośrodki kształcenia permanentnego. Ale ich działalność będzie mogła dokonywać się w oparciu o bazę istniejącą w centrum nauki.

— Czy jest Pan optymistą, jeśli chodzi o przyszłość tych koncepcji?

— Tak. Uważam bowiem, że przyszłości Łódzkiej Aglomeracji Miejskiej nie można budować tylko w oparciu o nowoczesny przemysł. Byłoby to rozwiązanie jednostronne. Nowoczesny przemysł musi być wzbogacany i zasilany coraz nowocześniejszymi rozwiązaniami naukowymi, wspomagającymi technikę i technologię, a przede wszystkim musi być stale wzbogacany dobrze przygotowaną kadrą specjalistów. Nie osiągnie się tego bez rozwoju ośrodka naukowego.

I ten pogląd zdobywa coraz więcej zwolenników.

Rozmawiał:
LUCJUSZ WŁODKOWSKI

NOWOCZESNOŚĆ NA WSI

MIECH NA STRYCHU

Dalszy ciąg ze str. 1

nie wypadł, jako frezer robi u Strzelczyka w Łodzi. Trzeci miał smykałkę do kowalstwa, ale ojciec na następcę upatrzył Wiesia. Skończył SPR, teraz uczniem jest u ojca. Będzie z niego kowal!

Kuźnia stoi obok młyna. Dobry punkt. Przyjedzie się z ziarnem, czeka się w kolejce, w międzyczasie można podkuć konia.

— A bogać tam, panie! Jak się wyjedzie z kolejki, to potem nie wpuszczą.

— Kowal jest potrzebny w Grabowie, prawda? — pytam gospodarza.

— W Grabowie jest ich trzech i nie mogą nadążyć z robotą! Kowal na wsi tak potrzeby, jak ksiądz albo doktor.

W województwie w prowadzonych przez GS placówkach świadczących usługi dla ludności, w roku 1973 było zatrudnionych 5214 pracowników, w roku 1974 — 6132; dynamika wzrostu 17,6 proc., lecz kowali ani na lekarstwo.

W roku 1974 mieliśmy w województwie 17.603 prywatnych rzemieślników, w tym na wsi 9.018. Ogółem w rzemiośle pracowało 3.307 robotników najemnych, z czego na wsi 1.434.

Kowale i ślusarze należą do branży metalowej. W tej branży pracuje 2.213 rzemieślników, w tym na wsi — 1.298. Ogółem najemnych — 261, z czego na wsi tylko 84.

Jak wynika z tych danych, i tutaj kowali malutko.

Mniej kowali, więcej murarzy. To widać wszędzie. Znikają zawody, których wykonywanie wymaga większego wysiłku fizycznego. Dotyczy to głównie kowali. W innych branżach „złote ręce" nie mogą już konkurować z przemysłem. Kołodziej jest niepotrzebny, ponieważ przemysł produkuje powszechnie używane, praktyczniejsze koła do wozów.

Ale czy kowala wyręczy przemysł?

2.

Przed wojną mój ojciec był kowalem. W małej wsi pracowało jeszcze dwóch takich, konkurencja silna, nadto ojciec był słabego zdrowia, toteż młot cisnął w kąt i poszedł do fabryki.

W wyobraźni kowal — to chłop jak byk. Kiedy wszedłem do starej kuźni w Grabowie, ujrzałem wątłego chłopaka o długich, jasnych włosach i twarzy dziecka. Spawał ogrodzenie do chlewni. To był **Wiesław Soja.**

Fot. Archiwum

Kowadło stało na swoim miejscu, ale mnie czegoś jeszcze brakowało. Zbliżyłem się do paleniska.

— Czego pan szuka? — spytał ze śmiechem Wiesław. Podszedł do ściany i przekręcił kontakt. Koks błyskawicznie rozżarzył się i pobłękitniał.

— Tamten stary miech wyciągnęliśmy z ojcem na strych — powiedział. **— Kowadło jest stare, pień pod nim też, dębowy, żeby nie rozleciał się szybko. Gdyby zacząć grzebać pod ścianą, kopać w kuźni i wokół niej, niejedną staroć by wyciągnął. To jest naglajz do robienia śrub. Trzy razy trzeba kręcić śrubę w gwintownicy, żeby wyszło jak trzeba. A to nowa gwintownica z wymienną częścią rozmiarową. Dzisiaj wiele rzeczy można kupić gotowych w sklepie.**

Dalszy ciąg na str. 4

NOWOCZESNOŚĆ NA WSI

MIECH NA STRYCHU

Dalszy ciąg ze str. 3

Ojciec Wiesława dużo przedmiotów wykonywał własnoręcznie, na przykład z pręta zwanego podkowianką, wyginał surowe podkowy. Przy drzwiach wisi na haku wielki, robiony w kuźni klucz. Ale zaraz obok widać zaskorupiałe imadło spawalnicze i samą spawarkę. Jest szlifierka elektryczna, a naprzeciw — elektryczna bormaszyna, czyli wiertarka.

— Kiedyś kręciło się korbą, żeby wywiercić otwór.

— Sporo tu robicie — mówię. — Gdyby tak przeliczyć na pieniądze tę waszą robotę?

— To nie takie proste. Zresztą niewiele by wyszło.

W województwie wartość usług świadczonych przez 3.202 placówki uspołecznione w roku 1974 wyniosła 501 mln złotych. Trudno określić wartość usług świadczonych przez 10.834 zakłady rzemieślnicze, z których 6.425 działa na wsi. Trudno, ponieważ wartość ta jest zaniżona. Rzemieślnik bowiem wykonuje usługę z własnych materiałów, ale do ogólnej wartości usług wlicza się tylko wartość robocizny. Natomiast kiedy uspołeczniona firma budowlana buduje rolnikowi dom, do wartości usług wlicza nie tylko robociznę, ale także wartość własnych materiałów budowlanych; cegły, wapna, cementu, drewna.

3.

— Robota zaczyna się o siódmej rano. Majster daje klucz, uczeń otwiera kuźnię i rozpala ogień. Przeważnie do południa przyjeżdżają rolnicy, aby podkuć konia. Ale teraz już rzadziej, niż na przykład przed pięciu laty.

— Dlaczego?

— No bo traktor zastępuje konia. Chłopi na dogodnych warunkach mogą w „trójkach" nabyć ciągnik, a konie sprzedają.

Wiesiek od dwóch lat pracuje z ojcem, ale konia potrafi już podkuć. No, jak się jest uczniem u własnego ojca! Nie wszędzie tak dobrze. Kiedy człowiek się rozejrzy, pogada z tym, z tamtym, może odnotować scenki przeniesione do współczesności z Prusowego „Antka". Wprawdzie organizuje

Fot. Archiwum

się kursy pedagogizujące dla mistrzów, wyniki egzaminów są zaskakująco dobre, lecz mimo to istnieje tzw. selekcja negatywna i trafiają się często „odpady". A nowoczesny zakład rzemieślniczy to odpowiedni lokal, którym winien kierować człowiek znający problematykę prawa, umiejący nawiązywać kontakty z klientami i przedsiębiorstwami, w których uzyskuje surowce. Dziś powinien to być człowiek światły. Niestety, wielu starych mistrzów nie posiada świadectwa ukończenia szkoły podstawowej.

Mistrz to człowiek o odpowiednich predyspozycjach psychicznych, wychowawca, opiekun i nauczyciel. Powinien spełniać te warunki, gdyż wiele czasu spędza razem z uczniem. Bywa jednak tak, że uczeń jest dla mistrza tylko robotnikiem, którego można eksploatować po dwanaście godzin dziennie. Mało uczyć, dużo robić, popić.

Wiesław Soja włącza miech, dym snuje się po kuźni, ulatuje szparami dziurawego stropu. W przyszłym roku trzeba będzie założyć betonowy strop. Pokazuje, jak wygląda podkowa gładka, na lato, a jak zrobiona na zimę na ostro. Gotowe, surowe podkowy kupuje się w sklepie.

Rozgrzewa surową podkowę chwyta w płaskie kleszcze wali młotem modelując kształt. Wątły chłopak a wali aż dudni na ulicy. Tu nie tylko siła, najważniejszy dryg i spryt.

Dalszy ciąg ze str. 5

WYCHOWANIE

TADEUSZ MICHALSKI

PRAWO i ŻYCIE

Jest to historia prawdziwa. Historia dna ludzkiej podłości i miłości najpiękniejszej, której na imię macierzyństwo.

Ilekroć wracam pamięcią do tamtego litopadowego, zaciągniętego stalowymi chmurami dnia, zadaję sobie pytanie — czy tak było rzeczywiście? Czy mogłem uczestniczyć w tym koszmarnym przedstawieniu?

Niestety, uczestniczyłem.

1.

— Hallo! Czy to kuratorium?

W słuchawce słyszę zdenerwowany głos kobiety.

— Chciałam rozmawiać z wizytatorem do spraw opieki nad dzieckiem.

— Tak. Słucham.

— Szukam pana od wczoraj. Jestem pielęgniarką społeczną. Musimy zaraz zabrać czwórkę dzieci do domu dziecka. Mam postanowienie Sądu dla Nieletnich, nakazujące umieszczenie nieletnich w placówce opiekuńczej w trybie natychmiastowym. Niech pan przyjedzie i zobaczy, co się tam dzieje. Czekam. Dobrze, zaraz tam będę. I jeszcze jedno. Proszę koniecznie z milicją. Mogą być trudności...

— Rozumiem.

2.

Mija godzina. Wraz z funkcjonariuszem MO melduję się w miejscu pracy mojej rozmówczyni.

— Panowie, dzieci muszą być dzisiaj koniecznie zabrane. — stwierdza stanowczo. — Jestem pielęgniarką społeczną i znam tę rodzinę od dawna. Opiekuję się nią, odkąd matkę wzięli do szpitala. Jest chora na raka narządów kobiecych. Powiedzmy sobie szczerze. Nie ma dla niej ratunku. Lekarze zresztą tak twierdzą. Tydzień temu wypisali ją ze szpitala. Koniec może nastąpić bardzo szybko. Ale dzieci trzeba ratować.

Jest wyraźnie zdenerwowana. Wiemy, że ma bardzo dużo do powiedzenia, że chciałaby powiedzieć wszystko natychmiast, jednym zdaniem.

— Jak była w szpitalu, wiedziałam co robić. Nawiązałam kontrakt ze szkołą i żłobkiem. Szkoła zresztą też znała tę sytuację. Działaliśmy wspólnie. Dzieci otrzymywały bezpłatne wyżywienie, odzież, długo przebywały w świetlicy. Najmłodszemu, półtorarocznemu Jackowi załatwiłam miejsce w tygodniowym żłobku. Ojciec pijak, degenerat. Z mieszkania wysprzedał, co tylko się dało. Zobaczycie zresztą sami. Czasami udawało mi się nawiązać z nim kontakt, przemówić do tego pijackiego sumienia. Powiem szczerze: chociaż nie przeszkadzał w zorganizowaniu opieki nad swymi dziećmi. Co prawda i nie pomagał. Ale jak na niego to i tak bardzo dużo.

Teraz nie wiem, co robić. Od chwili powrotu żony ze szpitala jest potworem w ludzkiej skórze. W domu odbywają się istne orgie alkoholowe. Całymi dniami, w towarzystwie takich jak on typów, pije bez żadnego umiaru. Gdyby nie moja pomoc, umarłaby z głodu. Przynoszę jej obiady z pobliskiego baru mlecznego. Myślicie, że ten typ podałby jej choć szklankę wody? Na kim tak się mści? Na tej dogorywającej matce? Czy chce jak najprędzej pozbyć się jej z domu? Nie wiem. Nie wiem!

Ale dlaczego w tym piekle mają żyć dzieci? Czy wolno, aby patrzyły na to, co się dzieje z ich matką? No, powiedzcie — czy wolno? Chodźcie, zobaczycie, czy nie mam racji.

3.

Mała czynszowa kamienica. Ponury, ciemny korytarz, ponura ludzka egzystencja. Pukamy do drzwi.

— Kto tam?

— Milicja. Proszę otworzyć.

— Milicja, znowu milicja — słychać zza drzwi pijany bełkot mężczyzny. — Zaraz otwieram. A czy to coś ważnego — pyta ponownie.

— Tak, tak ważnego. Proszę otworzyć.

Wchodzimy do mieszkania wielkości 18—20 metrów kwadratowych.

Na środku stół, na nim butelka po wódce. Zamroczony alkoholem młody mężczyzna, jak małpa, wymachuje pustą butelką, bełkocząc: — Nie ma, nie ma, a szkoda...

Przy oknie kołyska ze strzępami jakichś łachów, które kiedyś były chyba pościelą, a w nich ssący przez szmatę cukier malutki Jacek, obok na „amerykance" 9-letnia Kasia i 10-letni Grzegorz czytają gazety. W maleńkiej kuchence, oddzielonej parawanem od pokoju, kiwa się wśród sterty brudnych naczyń i porozrzucanej bielizny — ojciec.

A wzdłuż ściany, na wprost okna, pod pościelą czarną jak ziemia leży biała jak śnieg — Ona — Matka. W jej nogach, skulona, z rączkami na buzi — 4-letnia Ania.

4.

— Jak się pani czuje? — pyta pielęgniarka.

— Dzisiaj trochę lepiej. Nie miałam krwotoku.

— Będzie dobrze — pociesza pielęgniarka. Poleży pani jeszcze trochę i siły wrócą.

— Gdzie tam wrócą — odzywa się mąż. — Nie widzi pani, że jej godziny są policzone. Umrze na pewno. Po co to męczy siebie i innych. Po nocach spać nie daje, jęczy i jęczy. — Głos mu się plącze, macha ręką. — Ja wam mówię, że umrze.

Przerywam. Nie wytrzymuję:

— Panie, milcz pan, do diabła. Trzeba nie być człowiekiem, żeby tak bełkotać.

— Niech pani temu nie wierzy — stara się pocieszyć pielęgniarka. — On mówi głupstwa, jest pijany i bredzi.

Zwracam się do milicjanta z prośbą, aby wyprowadził go na korytarz. W drzwiach słyszymy jeszcze jego głos:

— Dobra, dobra, jak nie chcecie, to nie wierzcie...

5.

— Proszę pani — zwraca się ponownie do kobiety pielęgniarka. — Żeby wyzdrowieć, potrzebny jest pani spokój. Dlatego wspólnie z panem z kuratorium pomyśleliśmy sobie, że dobrze będzie, jak na razie zabierzemy dzieci do domu dziecka. Są jeszcze małe, sprawiają dużo kłopotów, hałasują, przeszkadzają, denerwują panią, a poza tym wymagają ciągłej opieki. Trzeba im dać jeść, wyprać odzież, bieliznę. Pani jest jeszcze bardzo słaba i nie sprosta tym obowiązkom. Na pomoc męża, jak pani wie, nie można absolutnie liczyć. Jak tylko wszystko będzie dobrze, zaraz dzieci wrócą do domu. Robimy to tylko dla dobra dzieci i pani. Zapewniamy panią, że dzieciom w domu dziecka nie stanie się żadna krzywda.

Kobieta słuchała uważnie z coraz większym zainteresowaniem. I nagle przemówiła głosem tak pełnym rozpaczy, że choć od tamtego tragicznego dnia minęło już kilka miesięcy, nie mogę go zapomnieć i chyba szybko nie zapomnę.

— Panowie, nie zabierajcie mi dzieci. Błagam, nie zabierajcie! Chcecie, żebym żyła, a zabieracie mi te kruszyny. Ja dla nich żyję. Jak ich nie będzie, po co mam żyć.

Odwróciła głowę do ściany. Milczała, tylko po policzkach spływały łzy.

— Boże, co ja miałam za życie. Wy tego nigdy nie zrozumiecie. Patrzcie, do czego on doprowadził. Patrzcie na te dzieci. Chcecie je zabrać? A z kim mnie zostawicie? Ludzie, trzeba mieć trochę serca.

— Wiem, że umrę — szlochała. — Wtedy zabierzecie. Ale teraz nie, błagam.

— Mamo, my od ciebie nie odejdziemy. Panowie nas nie zabiorą. — Trzy małe płaczące główki przylgnęły do łóżka matki.

6.

Na dworze siąpił jesienny deszcz. Szybko pożegnaliśmy się w milczeniu. Czy wolno było nam tak postąpić? Prawo nakazywało inaczej, a życie...

7.

Tydzień później troje małych dzieci odprowadziło swą matkę na miejsce wiecznego spoczynku. Wyzwolona matka wyzwoliła swe dzieci z „ojcowskiej opieki".

Są razem w domu dziecka.

NIE TYLKO HISTORIA

PIGUŁKI MYŚLI POLITYCZNEJ

Historia polskiej myśli politycznej — myślę oczywiście o myśli politycznej czasów nowożytnych, nie zaś epok dawniejszych — jest dziedziną tyleż ważną, co zaniedbaną przez nasze współczesne naukowe piśmiennictwo historyczne. Monografii z tego zakresu jest nadzwyczaj mało, dzieł o charakterze syntetycznym jeszcze mniej. Jest niezmiernie charakterystyczne, że nie doczekaliśmy się w Polsce całościowego ujęcia dziejów polskiej myśli socjalistycznej; opracowanie tego tematu zakrojone na kilka tomów ukazuje się od niedawna... na emigracji. Nie mniej wymowny jest też fakt, że ostatnim poważnym dziełem, które objęło całokształt problematyki dziejów polskiej myśli politycznej w czasach nowożytnych, jest wciąż książka Wilhelma Feldmana, zrodzona w atmosferze politycznych konfliktów początków naszego wieku, której drugie i ostatnie, jak dotychczas wydanie ukazało się w 1933 r.

W tych warunkach, skoro naukowa historiografia, jak by stroniła od problematyki dziejów naszej myśli politycznej w czasach porozbiorowych, jęła ją atakować publicystyka historyczna. Przykładem jest tu interesujące, ale bardzo kontrowersyjne pisarstwo Andrzeja Micewskiego, pobudzające niejednokrotnie do sporów i dyskusji, daleko wykraczających poza obręb publicystyki. Innym przykładem — z którym właśnie się spotykamy — jest książeczka Wojciecha Karpińskiego i Marcina Króla, zatytułowana „Sylwetki polityczne XIX wieku", wypuszczona świeżo w świat przez Wydawnictwo „Znak" (1974). Nad tym dziełkiem pragnęlibyśmy się właśnie zatrzymać. „Sylwetki" to tytuł nieobowiązujący, nie powiedziano nawet, że chodzi tu o sylwetki „wybitne", chociaż rozumie się przez się, że interesuje nas przede wszystkim myśl polityczna osób, które w tej dziedzinie rzeczywiście miały coś do powiedzenia, nie zaś myślicieli czwartego czy dziesiątego rzędu. Znakomity historyk Henryk Wereszycki, który poprzedził ten tomik swoim wstępem, powiada, że osoby w nim zaprezentowane nie zostały wybrane „wedle jakiegoś wyraźnego klucza", że autorzy „swobodnie selekcjonują portretowane postacie" i nie zamierzają dawać „jakiegoś skróconego, a przystępnego kursu dziejów polskiej myśli politycznej tej epoki". Ale przecież — wciąż wedle słów H. Wereszyckiego — przyświecał im jakiś syntetyczny zamysł, skoro jak napisał autor wstępu starali się „w jak najbardziej ogólnym skrócie scharakteryzować dzieje tego rodzaju historii polskiej, któremu na imię niewola". Czy więc słowa o dowolności doboru katalogu portretowanych postaci nie są po prostu jakimś kamuflażem, mającym ubezpieczyć autorów przed ewentualnością zarzutu czytelnika, że lista podanych portretów nie jest adekwatna do rzeczywistości, że nie odzwierciedla całokształtu kierunków naszej myśli politycznej w okresie zaborów? Nie wiem, ale tego rodzaju zastrzeżenia nasuwają mi się nieodparcie przy lekturze dziełka.

Popatrzmy bowiem: M. Mochnacki, działacze opozycji kaliskiej, politycy Hotelu Lambert, J. Słowacki, Z. Krasiński, C. Norwid i ojcowie Zmartwychwstańcy — toć to niepełny wachlarz poglądów i postaci nawet dla epoki Romantyzmu, a nie zmienia tego portret H. Kamieńskiego. Zabrakło miejsca dla E. Dembowskiego, brakło go dla działaczy Towarzystwa Demokratycznego Polskiego, którzy na pewno nie mniej niż czartoryscyzcy zasługiwali na naszą uwagę, brakło dla polskich utopijnych socjalistów... Idziemy dalej. Jest A. Wielkopolski, jest J. Klaczko, S. Tarnowski, W. Spasowicz, M. Bobrzyński, A. Świętochowski oraz J. L. Popławski, z politycznego kręgu stańczyków brakło bodaj najciekawszego J. Szujskiego. Nie ma również nikogo — dosłownie nikogo — z wybitnych działaczy i myślicieli polskiej lewicy drugiej połowy XIX wieku, choćby B. Limanowskiego. W przedmowie H. Wereszyckiego znalazły się mądre słowa o aktualności myśli politycznej XIX wieku dla czasów wiele późniejszych, tej aktualności, którą nieczęsto i niechętnie zwykle się przypomina. Ale czyżby miała ona ograniczać się jedynie do refleksji środowisk liberalnych i prawicowych, których przedstawiciele zdominowali katalog zaprezentowanych w książce portretów? Czyżby nie dotyczyła ona również innych jeszcze nurtów ideowych i politycznych? Jeżeli zamierzeniem autorów było — jak czytamy we wstępie — „przybliżenie polskiej myśli politycznej XIX wieku młodszemu pokoleniu", to czyż takie jej zawężenie, jakiego dokonali W. Karpiński i M. Król, nie jest zabiegiem bezpodstawnym, a jednocześnie wymownym? Czy nie ma żadnych aktualnych treści, godnych przybliżenia młodym pokoleniom Polaków, ani w myśli politycznej polskiej demokracji okresu Wielkiej Emigracji, ani w refleksji polskich utopijnych socjalistów, ani w myśli socjalistycznej drugiej połowy XIX stulecia?

Sądzę nawet, że znalazłoby się ich więcej u B. Limanowskiego, niż w rozważaniach ks. H. Kajsiewicza czy ks. P. Semenenki, choć ani mi w głowie kwestionować zasadność przypatrzenia się tym dwom postaciom. Skoro na wstępie książki powiedziano, że dobór sportretowanych w niej postaci jest „swobodny", czy nie mamy prawa zapytać się, czy nie jest on aby... dowolny?

Teksty zawarte w książce są krótkie, niekiedy zbyt krótkie, aby można było objąć w nich całość poglądów prezentowanych myślicieli. Są przy tym nierówne: obok znakomitych, jak np. rzecz o M. Mochnackim, czy eseje o H. Kamieńskim lub C. Norwidzie, są słabsze. Do tych ostatnich zaliczyłbym szkic o J. Klaczce, w którym entuzjazm eseisty dla opisywanej postaci przysłonił niektóre jej charakterystyczne cechy. Na przykład: autor powiada, że J. Klaczko był zawsze „bardzo ambitny i skromny", że „nie godził się na żadną pomoc od rodziny czy znajomych". Ambitny był na pewno, ale o skromności J. Klaczki jego współcześni mieli często swoje odrębne, ale zdecydowane zdanie, podobnie zresztą, jak o skromności innego z redaktorów „Wiadomości Polskich", W. Kalinki. Zaś co do niepobierania znikąd zasiłków, to wiemy, że J. Klaczko korzystał z bezzwrotnego stypendium jednego z polskich arystokratów ponoć przez lat tylko 15, a utracił je w okolicznościach, o których entuzjaści znakomitego eseisty nie mogli wspomnieć.

W ogóle drażni czytelnika nadużywanie słowa „zawsze": ileż to razy można mu zaprzeczać! Jak na przykład w szkicu o M. Bobrzyńskim, gdy mowa, że „idea jego zawsze była prosta". Otóż nie zawsze, bynajmniej nie zawsze, skoro zanim ten jakże wybitny myśliciel doszedł do sformułowania tej narodowej historiozofii, którą zawarł w swej historycznej syntezie, przechodził różne rozterki, bowiem również i on zaczynał... od poglądów romantyczno-lelewelowskich. A więc nie zawsze... Przerwijmy jednak ten wątek, zaprowadziłby on nas zbyt daleko.

W felietonie tym nie będzie pointy. Zamiast niej wystarczy zwrócić uwagę na istne curiosum wydawnicze: omawiana tu książka jest pierwszym znanym mi dziełem, w którym w spisie rzeczy po tekście opatrzonym numerem 1 podano trzeci, a dopiero następnie esej 2.

LEKTOR

KAZIMIERZ WYKA

DUCHY POETÓW PODSŁUCHANE

JAN KOCHANOWSKI

NA PACHOŁKA

(z fraszek „Dobrym towarzyszom gwoli")

Jeden, gdy jadzie na wojnę,
Pachołka doma ostawił,
W przygody by niespokojne
Strzegł paniey i czas jej zbawił.
Pohańcy wrychle zemknęli,
Więc do dom pan wraca nieczekan,
Alić najduje w pościeli
Pachołka, co brusi swój czekan.
Miecza co rychlej odpasze
I nuże walaszyć tryka.
„W potrzebie nowej, pry, gasze,
Zażyję waści mieczyka".

KAZIMIERZ TETMAJER

POŁUDNIE

Na lazurowej niebios głębi
Chmur ciche klucze płyną hen —
Skalnych krzesanic tłum się kłębi,
Jakby w granity ścięty sen.
Srebrnym pohrzękiem owiec stada
Szemrzą, gdzie upłaz pnie się w wyż,
I wiatr z kosówką cicho gada
Pośród zielonych, halnych cisz.
Południa cudna to godzina,
Dusza by pomknąć chciała w dal —
jak głaz ją więzi dawna wina,
Przygniata ból, zatruwa żal.

JAN LECHOŃ

JESIEŃ W TATRACH

Murzasichlem sina mlaka,
Bukowiną wichrów gon.
Upłaz cięty lotem ptaka
Bór rozpostarł w srebrny szron.
Owce martwej dolin cieśni
Już odjęły kopyt stuk.
W juhasowej halnej pieśni
Apollina zamilkł łuk.

TADEUSZ PEIPER

BY

By noc by noc co noc by noc co noc kotletem
by noc co noc nie bila kotletem marzeń
by dzień by dzień co dzień w mdłe okna nędzarzy
by dzień co dzień flagami nie warczał w świetle
flagami nie warczał w obłych wnętrznościach sadzy
by słowo by słowo krwistej nadziei nabiegło
słowo nadziei w tętnicach drzewców dzierżących pochody
by słowo nabiegło powtarzam ja, co noc co noc
powtarzam werbel, ja składacz zaimków wydrążonych,
powtarzam, — by
by

1910 1975

W dniu 19 stycznia bieżącego roku zmarł w Krakowie KAZIMIERZ WYKA, profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, znakomity krytyk literacki i wybitny historyk literatury. Odszedł w pełni sił twórczych, pracując do ostatniej chwili — przygotowywał właśnie książkę o twórczości Tadeusza Różewicza i i uzgadniał z redakcją „Literatury" propozycje esejów.

Fryderyk Hebbel, pisarz bardzo przez Wykę ceniony, jest autorem powiedzenia: „Kto chce poznać ludzi, niech studiuje, czym się usprawiedliwiają". Życie Kazimierza Wyki i nasza o nim pamięć usprawiedliwiona jest krytycznoliterackim i naukowym dorobkiem oraz obywatelską jego postawą.

Od momentu, gdy jako świeżo upieczony dwudziestodwuletni absolwent krakowskiej polonistyki zadebiutował w roku 1932 w warszawskiej „Kulturze" artykułem „Czas i człowiek w „Nocach i dniach", towarzyszył literaturze polskiej bez przerwy: w dwudziestoleciu międzywojennym dostrzegł zagrożenie kultury przez wojnę, w warunkach okupacyjnej konspiracji zajmował się literaturą nie tylko dla celów konsolacyjnych, bezpośrednio po wojnie postulował łączność nowej rzeczywistości społecznej i politycznej z żywotnymi tradycjami piśmiennictwa polskiego, po roku 1956 zaś jego krytyczna aktywność ogromnie wzrosła i koncentrowała się głównie na poezji. Dorobku twórczego Kazimierza Wyki, choć już zamknięty, nie można ogarnąć przy pomocy jednej formuły; będąc krytykiem i historykiem literatury równocześnie zajmował się eseistyką malarską, filmową, teatralną i historyczną, publicystyką kulturalną, wydał również — rzecz wśród profesorów uniwersytetów rzadko spotykana — tom pastiszów „Duchy poetów podsłuchane", stanowiący przekrój tego, co w poezji polskiej od Jana Kochanowskiego po Mirona Białoszewskiego najciekawsze i najbardziej typowe zarazem. Napisano o nim kilka lat temu bardzo trafnie, iż w badaniach historycznoliterackich kierował się gustem krytyka, w krytyce zaś ostrożnością i perspektywą historycznoliteracką.

Wyka uważany jest za twórcę tak zwanej krakowskiej szkoły krytyków w dziejach powojennej naszej literatury. Podstawowe jej cechy to antydoktrynalna postawa i pomysłowość, w stylu zaś żywość i błyskotliwość Charakteryzowało jego metodę częste obrazowanie wywodów, celne posługiwanie się metaforą, choć nierzadko zdarzał się łańcuch skojarzeniowy zakrawający na barok. W ten sposób uderzał we wrażliwość czytelnika, konkretnym obrazem uprzytamniał prawdy oczywiste, lecz nie zawsze dostatecznie uświadamiane. Wielką zaletę esejów stanowiła jawność dowodu. Czytelnik współuczestniczył niejako w kształtowaniu się koncepcji, w powstawaniu pomysłu, jakże często dowiadywał się, jaka niespodzianka wydarzyła się w toku postępowania badawczego. Był naukowcem, a przecież eseje i szkice, przedstawiające złożone najczęściej problemy, napisane zostały w taki sposób, że stanowią lekturę dostępną dla ogółu wykształconych Polaków.

Za twórczość krytycznoliteracką i eseistyczną oraz książkę „O potrzebie historii literatury" otrzymał w roku 1970 nagrodę tygodnika „Życie Literackie".

Dorobek Kazimierza Wyki w tym zakresie stawia go w jednym szeregu z najwybitniejszymi przedstawicielami polskiej krytyki literackiej: Maurycym Mochnackim, Stanisławem Brzozowskim, Karolem Irzykowskim.

Pracę naukową i dydaktyczną rozpoczął w roku 1934 jako asystent Seminarium Historii Literatury Polskiej Uniwersytetu Jagiellońskiego. Trzy lata później doktoryzował się na podstawie rozprawy „Studia nad programem Młodej Polski". Okres okupacji spędził w rodzinnych Krzeszowicach w pobliżu Krakowa. W tym trudnym niezwykle czasie kontynuował pracę twórczą oraz uczestniczył w tajnych wykładach uniwersyteckich. Wtedy też powstały eseje „Życie na niby", jedno z najbardziej wnikliwych studiów polskiego losu podczas okupacji niemieckiej. Po wyzwoleniu prowadził dalej pracę pedagogiczną i badawczą na UJ (w roku 1946 habilitacja pt.: „Cyprian Norwid, poeta i sztukmistrz"), pełniąc jednocześnie w latach 1945—1950 funkcję redaktora naczelnego miesięcznika „Twórczość". W roku 1948 został profesorem nadzwyczajnym, a sześć lat później — profesorem zwyczajnym Uniwersytetu Jagiellońskiego. Współorganizował i przez wiele lat (1953—1970) kierował Instytutem Badań Literackich w Warszawie. Był również członkiem rzeczywistym Polskiej Akademii Nauk.

Jakkolwiek aktywność naukowa profesora Wyki była wszechstronna, to najczęściej jednak zainteresowania jego koncentrowały się na twórcach i zjawiskach okresu Romantyzmu i Młodej Polski. Pisał między innymi o Adamie Mickiewiczu, Juliuszu Słowackim, Cyprianie Kamilu Norwidzie Aleksandrze Fredrze, Stanisławie Wyspiańskim, przedstawił obszerne studium modernizmu polskiego, był autorem wielu artykułów naukowych i rozpraw oraz współautorem podręczników uniwersyteckich i szkolnych. Za osiągnięcia naukowe otrzymał Nagrodę Państwową.

„Krytyk i obywatel" — tak powiedział przed laty o Kazimierzu Wyce Ludwik Flaszen. W określeniu „obywatel" kryje się wielka fascynacja polskością, przebijająca ze wszystkich niemalże wypowiedzi Wyki. W szkicu „Węgiel mojego zawodu" rzekł wprost, iż historykiem literatury został dlatego, by zajmować się książkami o polskości — „książkami nie tyle o narodzie, o historii, o samym obyczaju, chociaż każdego z tych objawów jest w nich po trochu, ale właśnie o polskości. O jej zaskakujących niespodziankach, o dziwacznych nieraz splotach i przerostach, o bytowaniu pod zmienioną maską"...

Zdając sobie sprawę z wysokiej pozycji, jaką zajmował w gronie najwybitniejszych naszych intelektualistów, nie zamknął się w „wieży z kości słoniowej" Nie stracił ani na chwilę kontaktu z życiem codziennym, nie tylko z tego względu, że „zawsze próbował odkryć to, co było sztuką w życiu i życiem w sztuce", ale również dlatego, iż potrafił żyć pełnią życia: dużo podróżował, posiadał wielorakie zainteresowania pozazawodowe. Wśród nich te „najnormalniejsze": był na przykład wiernym kibicem piłkarskim.

W wydanym przed kilku tygodniami poemacie „Córka rzeźnika" znany poeta i przyjaciel Zmarłego Jerzy Harasymowicz tak pisał:

...tam gdzie ma browar Wyka
gdzie musują słów drożdże
roznoszą w pył Krowodrzę
na rogu Teresy i Krowoderskiej
Karakulskiej i Krahelskiej
wykurzają, jak sowę Krakówek
burzą gwar starych przybudówek
zastygły z rękami w kieszeni
burzą stary wodewil
te balustradek drewniane laufry...

Kazimierz Wyka odszedł, pozostały musujące drożdże jego słów — poważna inspiracja intelektualna.

TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI

NOWOCZESNOŚĆ NA WSI

MIECH NA STRYCHU

Dalszy ciąg ze str. 4

Najpierw robi zagięcie z przodu, żeby podkowa nie latała na kopycie, potem przebija otwory, przebijaki po użyciu zanurza w wodzie, żeby się nie odkształciły.

Zagina jeden koniec podkowy, potem drugi, bez mierzenia a wychodzą równo. Trzeba mieć oko.

— Przyjeżdża chłop, wychodzę, oglądam kopyt (tak mówi) **i bez mierzenia muszę dopasować podkowę. Później, jeszcze gorącą, przystawiam do kopyta. Trochę śmierdzi, tak jak palone włosy, albo paznokcie.**

Pochyla się, kilka razy uderza młotem w podkowę, a potem dwa razy „tiń — tiń" w kowadło. Słychać jakby muzykę...

— Żaden koncert, proszę pana. W kowadło biję do taktu, żeby z rytmu nie wypaść. Ruchy muszą być równe, wymierzone. Dzięki temu nie potrzebuję tak się siłować.

Pokazuje długie, ostre podkowiaki (u nich mówią — ofnale).

— Kto się nie zna, ten nie zauważy, że koniec ofnala jest nieznacznie wygięty. Kowal musi być trochę weterynarzem. Powinien tak przyłożyć ofnal, żeby wbił się w twardy brzeg kopyta. Pomyli się, to ofnal wejdzie do środka, a tam kopyt miękki. Koń przejdzie kawałek, zaczyna krwawić i kuleć. Mówi się, że kowal zagwoździł konia.

4.

Młody Soja za rok ma odejść do wojska. Rzemieślników brakuje, wierzy więc, że go zwolnią. No, a gdyby nie, to w wojsku może przysposobić się do wielu specjalności zawodowych.

W Grabowie co krok metalowe, fantazyjnie wygięte, kolorowe ogrodzenia i bramy. Kowalska robota. W kuźni Sojów wisi na ścianie piękny wzór ogrodzenia. Długa, żmudna praca.

— Trzeba jechać na miejsce, sprawdzić, czy brama się wykłada do środka, czy na zewnątrz. Dokładnie wymierzyć, bo gospodarz zmierzy metrem, ja całówką, i wyjdzie różnica. Robimy tu ogrodzenia, bramy, stanowiska dla krów i świń, noże, nożyki do pielenia, graczki do hakania kartofli. Te ze sklepu popękane, zamalowane, bardzo miękkie. Trzeba w kuźni hartować.

Naczelnik wydziału oświaty i kwalifikacji w Izbie Rzemieślniczej, **Stanisław Letyński**, mówił mi, że prowadzi się liczne kursy dla rzemieślników, m.in. dla potrzeb motoryzacji (fiat), fachowców od pokryć dachowych i mechanizacji rolnictwa. Mówił też, że w celu przyciągnięcia chętnych do zawodu, organizuje się dla uczniów imprezy rozrywkowe, wycieczki, zawody sportowe itp.

Z moich obserwacji wynika, że w Domach Rzemiosła życie kulturalne nie toczy się wartko, a organizacja imprez też trafia na przeszkody. Wiesiek Soja nie był na żadnej imprezie, bo nie ma na to czasu, uczniowie są rozproszeni, trudno więc coś zorganizować. Wieśka puściłby ojciec na wycieczkę, ale fotograf w żadne święta nie zwolni ucznia.

— Kursy są bardzo potrzebne. Było tak, że musiałem budzić w nocy kierownika zakładu energetycznego, aby zezwolił mi spawać. Samochód nawalił turyście, proszę pana, więc w pierwszej kolejności do kowala! Ja nie chciałbym już tak pracować jak ojciec. Powinienem umieć naprawić traktor, motocykl, każdą maszynę rolniczą. Podkuć konia, ale również dorobić potrzebną część do samochodu i umieć ją zamontować.

No, pewnie, myślę, kiedy kołodziejowi rzadko trafia się zamówienie na koło, powinien zająć się dodatkowo stolarką.

Słyszałem, że raz pod Radomskiem zagranicznemu turyście nawalił wóz, który w mig naprawiono u rzemieślnika. Turysta nie mógł zrozumieć, jak w nie najlepszych warunkach można robotę wykonać tak szybko i sprawnie.

Idzie właśnie o te warunki. Połowa uczniów pragnie mieć w przyszłości własne warsztaty. A gdzie tokarki Fotografowi jeden pokoik może z biedą wystarczy.

— Ojciec obiecał mi kupno większej działki i postawienie nowej kuźni. Chciałbym, aby mój warsztat był nowoczesny, dobrze oświetlony i zmechanizowany. Potrzebne mi są elektryczne piły do cięcia metalu, spawarka acetylenowa, szlifierki, tokarka. Bez tego nie będę mógł wykonać zamówionej roboty.

Dzisiejszy kowal to uniwersalny rzemieślnik

Tymczasem Wiesiek wyszedł przed kuźnię, aby zrobić koniowi „manicure". Pod uderzeniami młotka nóż

Dalszy ciąg na str. 6

NOWOCZESNOŚĆ NA WSI

MIECH NA STRYCHU

Dalszy ciąg ze str. 5

miękko wchodził w kopyto i koński paznokieć nabierał gładkości pod podkowę.

5.

W południe wrócił **Kazimierz Soja.** Szczupły, o głowę niższy od syna, ale rękę ma silną. Wystarczy serdeczny, powitalny uścisk dłoni...

Teraz ojciec trzyma podkowę, a syn wali młotem, przycina. Skończyli.

— O żniwa pan pyta?

Chciałem sprawdzić w terenie, czy potwierdzą się słowa prezesa Izby Rzemieślniczej, **Tadeusza Rajpolda,** który powiedział, że rzemiosło to nie tylko chałupnicza dłubanina i zdzieranie pieniędzy od obywateli, ale również idące w miliony czyny społeczne (tu wymienił fontannę przed Teatrem Wielkim i prace na Zamku Warszawskim) oraz wielkie akcje, jak np. żniwa, w trakcie których przeszkoleni rzemieślnicy dyżurują w warsztatach dzień i noc.

— Robota trwa okrągły rok, ale ja żadnej się nie boję i przyjmę każdą. Kiedy było trzeba, naprawialiśmy drobne, łatwiej dostępne części w kombajnach. Kowal musi uczyć się co dnia, bo tego wymaga życie.

A w żniwa była lista zaangażowanych w akcję kowali, m.in. również ja. Sam wiem, jak to jest, kiedy ziemia sucha, bo mam gospodarstwo. Podorywki trzeba robić szybko, a lemiesze tępią się jak cholera. Ciężka robota, ale ostrzyliśmy te lemiesze, ile się dało. Nawet w pierwszej kolejności tym z POM i PGR, bo wiem, że oni też pomogą. Kiedy pracy będzie mniej, pchnę Wieśka do POM i niech się uczy na maszynach rolniczych.

Nawalały ciągniki, urywały się kosy, najczęściej psuły się aparaty do wiązania. Wieczorem u sąsiada koszenie i nagle awaria, ryzykowałem więc i spawałem. Mogłem po ośmiu godzinach zamknąć warsztat, ale przecież jestem potrzebny!

Myślę, że w takiej akcji u kowala powinny znaleźć się części zamienne. Z tymi krucho, dzisiaj akurat byłem po gwintowniki. A surowiec? Chodzę jak smotek po złomowiskach, wybieram, proponuję wymianę na złom niepotrzebny, leżący w kuźni.

— Dlaczego syn jest u pana uczniem?

— Wychowałem dziesięciu uczniów, otrzymywałem pochwały, pamiętają o mnie w Dniu Nauczyciela. Dwóch moich uczniów pobudowało w Grabowie kuźnie. Jeden pracuje w zakładach kolejowych, drugi ostrzy piły w tartaku, inny jest kierowcą! Ale oni wracają powoli do zawodu.

A dziś, proszę pana, trudno zwerbować ucznia. Należałoby chyba już w szkole podstawowej zachęcać zdolnych chłopców do podejmowania nauki. Poprawić płace, nie przeciążać pracą po godzinach. Są, proszę pana, źli mistrzowie, ale są też źli uczniowie. Potrafią wnerwić człowieka i wtedy trzeba umieć się zachować. A można się przecież dogadać, zwolnić chłopaka w każdej chwili do domu czy na jakąś imprezę.

Gdybym miał trzech uczniów, mógłbym ich odpowiednio rozstawić i robota szłaby lepiej.

Albo, proszę pana, kiedy wyrzucę krnąbrnego ucznia, grozi mi sąd koleżeński. Natomiast gdy mi uczeń ucieknie, nie zrobię mu nic. Gdyby tak spróbował w zakładzie pracy...

Trzech uczniów Soja nie zatrudni, ponieważ preferuje się zakłady jednoosobowe i dla nich stosuje się ulgi i zniżki.

Chłopak przerwie naukę, ucieknie, zda egzamin w zakładzie pracy i gwiżdże. A mistrz traci, ponieważ za doprowadzenie ucznia do pomyślnie zdanego egzaminu czeladniczego byłby otrzymał cztery tysiące złotych bonifikaty w podatku, a w unikalnych zawodach nawet dziesięć tysięcy.

Jeśli chłopak ma jeździć dziesięć kilometrów do kowala, to woli jeździć dalej, do szkoły przyzakładowej, gdyż zawiezie go i przywiezie z powrotem autokar. Tam nie musi pracować dwanaście godzin.

Jeśli jednak uczy się już u kowala, to musi dojechać do szkoły dokształcającej przy zakładzie pracy. Zobaczy, jak tam jest (o wiele lepsze warunki!), spotka się z kolegą z przyzakładówki, który po nauce nie goni do roboty u kowala, gdyż o piętnastej może sobie pograć w ping-ponga albo kopać piłkę, a wtedy — cześć, majster!

Dlatego w Grabowie stoi jeszcze jedna, czwarta kuźnia. Pusta kuźnia, w której walają się pordzewiałe narzędzia...

RYSZARD BINKOWSKI

HANDEL ZAGRANICZNY

Hermes jest nie tylko kupieckim patronem. Nie bez kozery mawia się, że rynkiem światowym rządzą, na równi z prawami ekonomii politycznej, brutalne prawa dżungli. Handlować chcą i handlują wszyscy. Przy silnej rosnącej nieustannie konkurencji zwyciężyć może tylko silniejszy, lepszy, sprytniejszy. Ten zaś tylko będzie lepszy, kto potrafi działać nowocześnie.

JACEK INDELAK

HERMES Z POLSKA ODZIANY

1.

„Textilimpex" osiągnął w zeszłym roku obroty handlowe sięgające czterech miliardów złotych dewizowych. Od chwili powstania podwoił wielkość eksportu, zmieniając zarazem korzystnie jego strukturę i geografię. Na tak duży wzrost obrotów handlowych, a także na zwiększenie eksportu wpływ miało wiele czynników.

Przeprowadzana od kilku lat na ogromnie szeroką skalę rozbudowa, rekonstrukcja i modernizacja krajowego przemysłu lekkiego odbywa się przy dużych, nie notowanych nigdy dotąd w tak wielkich rozmiarach, wydatkach na import nowych maszyn i urządzeń, surowców i technologii przemysłowych. Decyzje o szybkim rozwoju i unowocześnianiu przemysłu lekkiego podejmowane były wprawdzie z myślą o znacznie lepszym, ilościowym i asortymentowym zaopatrzeniu rynku krajowego w artykuły konsumpcyjne — doprowadziły jednak równocześnie do daleko idących przemian w zadaniach i zamierzeniach naszego handlu zagranicznego. Po prostu: jeżeli chcemy rozwijać nasz przemysł z myślą o rynku krajowym, musimy dużo kupować, aby jednak kupować — trzeba mieć czym zapłacić. Oczywiście, jeśli dewiz nie mamy, możemy je pożyczyć, ale — tak czy owak — musimy je w końcu, ze sporymi odsetkami, oddać. Jedyną więc sensowną drogą zapełnienia pustego portfela dewizowego jest odpowiednio duży eksport.

Takie są mechanizmy, które postawiły przed naszym handlem zagranicznym zadanie szybkiego i dużego wzrostu wywozu za granicę polskich wyrobów. Rzecz jasna, handlowcy — czego sami bynajmniej nie ukrywają — niewiele by zdziałali, gdyby po prostu nie mieli czym handlować.

2.

Duże sumy zainwestowane w przemysł szybko zaprocentowały. Odczuwalnej poprawie uległy nie tylko zaopatrzenie rynku wewnętrznego, ale i nasz handel zagraniczny otrzymał do dyspozycji ofertę eksportową w postaci naprawdę nowoczesnych i atrakcyjnych wyrobów włókienniczych, odzieżowych czy dziewiarskich, które mogły wreszcie podjąć śmiało konkurencję z podobnymi wyrobami rozwiniętych krajów świata. Dzięki temu eksport zwiększył się — jak już sobie powiedzieliśmy — w ciągu niespełna czterech lat dwukrotnie, a w tym samym czasie — co nie mniej istotne — udział wyrobów gotowych w ogólnej puli eksportowej wzrósł czterokrotnie, osiągając dziś siedemdziesiąt procent jej całości. Słowem, udział półfabrykatów — tkanin czy włóczki — które w naszym eksporcie stanowiły do niedawna podstawową pozycję, zmniejszył się niepomiernie, czyniąc tym samym nasz eksport znacznie bardziej opłacalnym.

— Zamiast perkalików do Afryki, eksportujemy teraz do Paryża modne płaszczyki — w taki lapidarny sposób skwitował dyrektor **Bogusław Lesiński** z „Textilimpexu", przemiany, jakie zaszły ostatnio w polskim handlu zagranicznym. Sformułowanie to sygnalizuje dwa pozytywne zjawiska, z których jedno — dotyczące zmian strukturalnych — omówiliśmy pokrótce już wyżej. Drugim zjawiskiem jest pogłębiająca się coraz bardziej zmiana geografii eksportu.

Dzięki bowiem znacznej poprawie jakości i asortymentu eksportowej oferty naszego przemysłu udało się nie tylko zwiększyć umowy handlowe ze Związkiem Radzieckim i innymi krajami socjalistycznymi, ale również z wysoko rozwiniętymi krajami kapitalistycznymi. W tej chwili proporcje między eksportem do krajów socjalistycznych a kapitalistycznych uległy już całkowitemu wyrównaniu, dzieląc się po połowie na obie grupy państw. Zasadniczą rolę przy tym odgrywa fakt, że udział państw wysoko rozwiniętych w całości eksportu przeznaczonego dla naszych kapitalistycznych kontrahentów sięgnął osiemdziesięciu procent.

Słowem, geografia eksportu wyrobów polskiego przemysłu lekkiego ukształtowała się już w sposób bardzo korzystny. W przyszłości więc podstawowym kierunkiem działania na tym polu będzie dalsze umacnianie wpływów na zdobytych już rynkach zagranicznych. I tak „Textilimpex" będzie powiększał wywóz towarów do Związku Radzieckiego, jak i do — na przykład — Czechosłowacji, NRD i Węgier — w stosunku do których byliśmy jeszcze do niedawna tak zwanymi netto-importerami. Duże też nadzieje, poparte pozytywnymi doświadczeniami, wiązać można z innym kierunkiem eksportowej ekspansji — krajami arabskimi dysponującymi ropą naftową, a więc i sporymi pieniędzmi. Trzecim ważnym kierunkiem działania jest Ameryka Północna — zwłaszcza Stany Zjednoczone — która obecnie stała się naszym najpoważniejszym kontrahentem wśród państw kapitalistycznych, zakupując już teraz jedną piątą całego eksportu, przypadającego na świat kapitalistyczny.

Do handlu ze Stanami Zjednoczonymi nakłania również i ten fakt, że tylko one w zasadzie i Kanada rządzą się nadal prawami wolnego rynku. Chłonność ich jest zatem bez porównania większa niż europejskich krajów kapitalistycznych, w których obowiązuje tzw. obrót kontyngentowy w handlu zagranicznym, ograniczający wwóz obcych towarów do określonego i sztywnego — a przy tym dość niskiego — poziomu wielkości. O wejściu zaś na rynek amerykański decydują nie jakieś, narzucone przez państwo, ograniczenia, lecz tylko atrakcyjność ofert handlowych, dla których jedyną przeszkodą jest silna konkurencja. Wobec takiego stanu rzeczy, do zamierzeń planowych wstawione zostało zadanie uzyskiwania z roku na rok co najmniej stuprocentowego wzrostu rozmiarów eksportu do Stanów Zjednoczonych...

Fot. Archiwum

3.

Siedzę w gabinecie dyrektora naczelnego **„Skórimpexu" — Józefa Duraja,** który pokazuje mi zadrukowaną komputerowymi czcionkami płachtę papieru. Jest to sporządzony przez elektronową maszynę obliczeniową meldunek o aktualnym stanie obrotów handlowych. Dokument czytelny i zrozumiały nawet dla laika. Po lewej stronie wykaz kilkudziesięciu pozycji asortymentowych: surowe skóry cielęce, surowe skóry świńskie, rękawiczki i tak dalej. Dalej rubryki planów eksportowych i importowych, ich wykonania, kontraktacji i tym podobne. Wszystko zaś to oznaczone dokładną datą: miesiąc, dzień, godzina z minutami. Datą — a raczej chwilą — z której pochodzą te dane. Na tak zwanych komputerowych wydrukach otrzymać można w ciągu kilku sekund najświeższe sprawozdanie, nad sporządzeniem którego kilkudziesięciu pracowników księgowości prześlęczeć by musiało ładnych parę godzin. Te syntetyczne sprawozdania pochodzą z zakładowego ośrodka elektronicznej techniki obliczeniowej, w którym przeszło dwa lata temu zainstalowane zostały dwa komputery typu „Auditronic", zaprzęgnięte do błyskawicznego sporządzania szczegółowych rozliczeń obrotu handlowego, przygotowywania niezbędnych dokumentów do kalkulacji, zestawiania faktur i specyfikacji, dostarczania szczegółowych rozliczeń opłacalności eksportu i wykonywania wielu innych czynności, z taką szybkością i precyzją, do jakiej nie jest zdolny żaden, nawet najsprawniej funkcjonujący, dział administracyjno-gospodarczy.

Za kilka tygodni przybędzie do towarzystwa „Auditronicom" następny — większy i nowocześniejszy — komputer typu „ICL". Już wiosną elektroniczny ośrodek obliczeniowy będzie mógł, dzięki temu, podjąć nowy — odpowiednio zmodyfikowany — program pracy, dostarczając na każde żądanie o każdej porze dnia i nocy informacje, a tym samym umożliwiając przedsiębiorstwu jeszcze nowocześniejsze i skuteczniejsze działanie.

Działanie takie jest dla „Skórimpexu" warunkiem koniecznym wobec wzrastających w szybkim tempie zadań, jakie stawia przed nim nasza polityka gospodarcza. Już w zeszłym roku obroty handlowe centrali przekroczyły osiemset dwadzieścia milionów złotych dewizowych, w tym udział eksportu wyniósł czterysta sześćdziesiąt pięć milionów, a importu — trzysta pięćdziesiąt sześć milionów. W tym roku przekroczyć mają miliard złotych dewizowych.

Mimo niekorzystnej koniunktury, występującej na rynkach światowych w zeszłym roku, handlowcom „Skórimpexu" udało się odnotować wiele sukcesów, mających poważne niekiedy znaczenie dla funkcjonowania całej gospodarki narodowej. Jednym z tych sukcesów było osiągnięcie trzydziestodwuprocentowego wzrostu eksportu do krajów kapitalistycznych, które zakupiły w zeszłym roku wyroby naszego przemysłu skórzanego o wartości dwustu siedmiu milionów złotych. Po stronie aktywów może też centrala odnotować dalsze umocnienie się na rynku angielskim, na który trafiły trzy miliony czterysta tysięcy par polskiego obuwia.

I w wywozie wyrobów skórzanych — tak jak w eksporcie wyrobów przemysłu włókienniczego czy odzieżowego — poważnym przemianom ilościowym towarzyszyć będą nadal nie mniej istotne — związane zresztą z podobnymi tendencjami — zmiany jakościowe.

„Skórimpex" dokonał szczegółowej analizy opłacalności eksportu poszczególnych towarów, której wynikiem stała się daleko idąca selekcja, prowadząca do zestawienia listy wyrobów najbardziej opłacalnych dla naszego przemysłu w eksporcie, jak i też konkretnych rynków, na których polskie towary mają największe szanse na uzyskanie dużych osiągnięć handlowych, a więc tym samym i finansowych.

Bardzo skrótowo można ten nowy kierunek ująć w sposób następujący: zamiast, powiedzmy, tanich sandałów czy obuwia skóropodobnego eksportować będziemy teraz obuwie luksusowe, o wysokim standardzie, za które też każemy sobie odpowiednio płacić. Ponadto coraz dalej będziemy ograniczać eksport surowców skórzanych, zwiększając jeszcze bardziej wywóz wyrobów gotowych. Tu — na przykład — przyjęto planowe zamierzenie trzykrotnego wywozu odzieży skórzanej.

Oczywiście, znów realizacja tego rodzaju planów w sposób bezpośredni jest uzależniona od współpracy przemysłu, który przyjąć musi inną, również bardziej nowoczesną i elastyczną organizację produkcji. W tej dziedzinie „Skórimpex" poczynił już odpowiednie kroki, zmierzające do podjęcia ścisłej, odpowiednio ukierunkowanej współpracy z producentami.

4.

Charakterystycznym rysem nowych form współpracy jest odejście od typowego do niedawna przygotowywania przez producenta oferty eksportowej, dla której dopiero po jej wytworzeniu szukało się nabywców, co nie zawsze prowadziło do robienia najszczęśliwszych interesów handlowych. Nową formę współpracy z handlem zagranicznym podejmują — między innymi — fabryki w Łukowie i Słupsku. Te dwa zakłady przemysłowe specjalizować się będą w produkcji eksportowej przeznaczonej dla amerykańskich odbiorców, wykonywanej — co ważne — pod konkretne zamówienie. W praktyce będzie to wyglądało w ten sposób, że obie fabryki wprowadzać będą — a raczej już to robią — do produkcji nową kolekcję obuwia, sporządzoną pod gusty amerykańskich nabywców i w uzgodnieniu z tamtejszymi handlowcami.

Innego typu specjalizację podejmie gnieźnieńska fabryka obuwia, która część swych wyrobów — także stanowiących wynik uzgodnionego wzornictwa i technologii — oddawać będzie do dyspozycji słynnej firmy handlowej „Bata", która posiada w osiemdziesięciu dziewięciu krajach swoje agendy oraz ogarniającą cały świat sieć bez mała dziesięciu tysięcy sklepów.

Nie trzeba chyba dodawać, że taka organizacja produkcji będzie miała istotny wpływ również na zaopatrzenie rynku wewnętrznego. Całe bowiem ciągi technologiczne nastawione na produkcję „amerykańskiego" obuwia nie będą zapewne wytwarzać tegoż obuwia w ilości ograniczającej się do zamówień eksportowych, lecz — na skutek wydłużenia serii przy nieznacznych, co najwyżej, zmianach wzorniczych — produkować będą także na potrzeby rynku wewnętrznego.

W tym też miejscu należy przypomnieć, że zawsze do końca uświadamianą sobie przez wszystkich mieszkańców naszego kraju — oczywistą prawdę o sprzężeniu zwrotnym, jakie działa na płaszczyźnie współpracy przemysłu i handlu zagranicznego, którego to sprzężenia efektem jest bezpośrednia i odczuwalna — w dłuższym wymiarze czasowym — korzyść dla poziomu zaopatrzenia rynku wewnętrznego. Otóż, producenci, nieustannie dopingowani przez handlowców do nieustannego podnoszenia jakości, nowoczesności i atrakcyjności swoich ofert eksportowych w rezultacie coraz lepsze i modniejsze wyroby dostarczają też na rynek wewnętrzny. Zadania eksportowe niejednokrotnie bronią nas wszystkich, klientów, przed bezwładem i zastojem, jaki mógłby ogarnąć poniektórych producentów, gdyby nie nieustanny doping handlu zagranicznego.

Optymistyczne prognozy wróżą Hermesowi z polską odzianemu, w polską odzież i polskie obuwie, szybką i zawrotną karierę na zagranicznych rynkach, której rychłym już finałem stać się ma trwałe zdobycie dla polskiego przemysłu renomy jednego z najlepszych krawców i szewców świata.

DLA NASZEGO DOMU

Dla gospodarki narodowej, a dla przemysłu lekkiego w szczególności, nie jest to wielki problem. Właściwie jedna tylko fabryka w Skopaniu koło Tarnobrzega zajmuje się przede wszystkim wytwarzaniem firanek z włókien sztucznych. W innych jest to zaledwie dział produkcji. Ale dla gospodyni domowej, a już dla młodych pań domu, które po długim oczekiwaniu otrzymały wreszcie upragnione mieszkanie — jest to wcale niemały problem.

BOGDA MADEJ

SPOJRZENIE zza FIRANKI

Dla kobiety — a tak myśli większość kobiet — czystość i świeżość mieszkania kojarzy się z trzema elementami: umytym oknem, wyczyszczoną podłogą i świeżą firanką. Po okresie mody na gołe okno, okraszone tylko zasłonami, znów powróciły firanki. Stwarzają one wrażenie przytulności w mieszkaniu i wrażenie intymności. Wprawdzie nowe bloki buduje się dość daleko od siebie, ale na upartego można zupełnie dobrze zobaczyć co dzieje się u sąsiadów z przeciwka. Chroni przed wścibstwem innych właśnie firanka. Najlepiej ta gęsta.

Więc firanki są potrzebne. Są poszukiwane. Są kupowane. W „Centralu" na przykład, kiedy nadejdą nowe i odpowiadające gustom klientów firanki, dzienny utarg przekracza 30 tys. zł. W „Uniwersalu" — sięga czasem nawet 100 tys. zł.

SĄ, CZY ICH NIE MA?

Ale klient szukający firanek do nowego lub starego mieszkania, chodzący od sklepu do sklepu, zadaje sobie pytanie: są firanki, czy ich nie ma?

No, bo tak: stajesz przed sklepową ladą i widzisz półki pełne firanek. Wprawdzie nie najlepiej eksponowane. Kiedyś podkładano pod firanki kolorowy papier, aby klient mógł sobie z daleka choć wzór firanki obejrzeć. Teraz na ogół leży to pozwijane w belach i szukasz na oko tego, co byś chciała sobie kupić, o czym marzysz od dawna. Prosisz więc ekspedientkę, a ta owszem grzecznie ci nawet usłuży, czasem doradzi, ale to wszystko trwa dość długo. Inni też chcą firanki obejrzeć. Odchodzisz więc z kwitkiem, bo nie znalazłaś tego, czego usilnie szukasz.

Nie można więc powiedzieć, że firanek nie ma. Są, ale jak to zwykle bywa w naszym handlu, aby znaleźć to, o czym dusza marzy, trzeba dobrze się nachodzić, napilnować, ponaprzykrzać w sklepach. I odnosisz wrażenie, że firanki są, ale nie ma takich, jakich poszukujesz.

Zapytałam więc handlowców w **„CENTRALU"**, czy ich zdaniem firanek jest pod dostatkiem?

Odpowiedziano mi, że nie, że przydałaby się jeszcze jedna fabryka. Że firanki — owszem — leżą, ale jak przyjdą poszukiwane wzory, to szybko robi się kolejka i te właśnie wzory znikają niemal błyskawicznie.

Podobnie w **„UNIWERSALU"** — poszukiwane są przede wszystkim wzory tradycyjne.

Zapytałam więc o to samo w **Zjednoczeniu Przemysłu Jedwabniczego i Tkanin Dekoracyjnych.** Ale ich zdaniem podaż równoważy się z popytem. Problemu nie ma. **„Miranda"** z Turka i **„Wisan"** w Skopaniu produkują razem około 25 mln m kwadratowych rocznie. Do tego dochodzi jeszcze produkcja firanek z przemysłu bawełnianego oraz łódzkich dwóch fabryk: **„Fako" i „Lenty".**

Fot. Jerzy Grzegorski

Zupełnie gdzie indziej dowiedziałam się, że w Polsce na jednego statystycznego mieszkańca przypada metr kwadratowy firanki. Mogłoby się wydawać, że rzeczywiście nie ma problemu. Tylko dlaczego klient w sklepie nie może znaleźć tego, o czym marzy i czego szuka?

CO POWIESIĆ W KUCHNI?

„Lenta" jest fabryką pasmanteryjną, a firanki produkuje „ubocznie". Posiada po prostu maszyny, na których można robić bardzo ładne firanki. A że akurat na takie firanki znalazł się zagraniczny kupiec, więc **„Lenta"** zaczęła też je produkować. Firanki te — przeważnie w dwu kolorach: pomarańczowe i żółto-brązowe — można spotkać w kawiarniach lub restauracjach. Świetnie nadają się do przykrycia wielkich płaszczyzn, a poza tym mają tę zaletę, że się szybko nie brudzą. Pokazały się one też swego czasu w niewielkiej ilości w **„CENTRALU"** i poszły jak woda.

„Fako" jest natomiast fabryką koronek. Przemysł odzieżowy i dziewiarski dokładnie już zaspokoiły swoje potrzeby na koronki, a poza tym moda na koronki przeszła. Więc **„Fako"**, aby ratować się przed „niedorobieniem" zaczęła wytwarzać koronki dekoracyjne — inaczej: firanki koronkowe. Widziałam próbki ich produkcji i muszę przyznać się, że są to ładne firanki, ale... drogie.

Jest rzeczą zupełnie naturalną, że nasze fabryki produkują nie tylko dla potrzeb kraju, ale też i na eksport. Żaden kraj nie może się normalnie rozwijać, jeśli nie będzie utrzymywał kontaktów handlowych z innymi krajami. Wszystkiego nie jesteśmy w stanie wytworzyć sami, trzeba więc kupować u innych. Ale aby kupować, trzeba samemu sprzedawać firanki też. Zresztą handel zagraniczny firankami jest odpowiednio bilansowany. Takie same ilości, jakie sprzedajemy różnym zagranicznym partnerom, kupujemy przeważnie w NRD.

Jednakże niezbędność wymiany zagranicznej i produkowania dla potrzeb zagranicznych odbiorców, bardzo często według ich wzorów i wymagań kolorystycznych, rodzi pewne sprzeczności. **„Fako"** produkuje na przykład dla Kanady firanki... granatowe i fioletowe. Nasz, rodzimy klient takich firanek nie kupi.

Młodzi są nawet odważni i chętnie sięgają po kolorowe firanki. Ale młodzi chodzą czasem do sklepu z mamą, która im to i owo finansuje. Kiedy mama widzi uśmiech w oczach na widok kolorowej firanki, powiada: — Czyś ty zgłupiała? Ludzie cię wyśmieją, w mieszkaniu będzie ciemno i kto widział, aby kupować takie cudactwo. Czy ja miałam kiedyś takie świństwo w oknach?

I córka lub synowa bierze tradycyjne, ze szlaczkiem, z wzorami w kwiatki.

U producentów, dysponentów tą dziedziną produkcji i w sklepach pytałam o firanki do... kuchni. Patrzono na mnie ze zdziwieniem. Też wymagania? W kuchni wiesza się to, co w pokoju tylko trochę gorsze i tańsze. Taki już zwyczaj. A przecież nawet łódzki producent — **„Lenta"** — robi kuchenne firanki na... zagraniczne zamówienie. W zagranicznych magazynach reklamuje się firanki do kuchni, inaczej wieszane, zszywane, z falbankami, podwiązywane. U nas firanek prawie wcale się nie reklamuje, nie lansuje się żadnej mody w tej dziedzinie. Dlaczego? Czy nie ma takiej potrzeby? Czy też nie ma komu tego robić?

KTO MA RACJĘ?

Opowiadano mi taką historię: W jednym z miast dom towarowy prowadził sprzedaż towarów zagranicznych. Były tam również firanki z NRD. Tuż obok nich niczym specjalnie nie wyróżniając — położono firanki **„Fako"**. I ludzie kupili. Nie podaję ani miasta, ani nazwy domu towarowego, aby nie narazić autorów małej mistyfikacji na niepotrzebne przykrości. Nie ma w tym nic zresztą złego. Ale wniosek z tego jest bardzo prosty — jeśli coś się zareklamuje odpowiednio, jeśli stworzy się właściwą oprawę, to ludzie chętniej kupują. Taka jest stara zasada handlowania. A zatem jest potrzeba i eksponowania firanek, i ich reklamowania.

„Lenta" będzie miała niedługo swój sklep firmowy i tam zrobi należytą ekspozycję firanek swojej produkcji. W **„Lencie"** mówią, że gdyby handel wiedział, jakich firanek poszukuje klient poza tradycyjnymi, to oni są gotowi zrobić na zamówienie, tak jak to robią dla zagranicznych odbiorców. Ale handel trzyma się tradycji. Zamawia głównie to co idzie, na co jest zapotrzebowanie. Jest to normalne i zrozumiałe do pewnego punktu. Dopóki na gospodarkę nie patrzy się jako na całość. Dla zrobienia planów obrotów jest to dobre. Z postępem w produkcji nic to nie ma wspólnego. A przecież na całym świecie przemysł się modernizuje, wprowadza coraz to nowe wyroby i umie je lansować. Nowoczesność w produkcji nie może odstawać od metod i sposobów handlowania. A trzeba chyba sobie powiedzieć, że nasz handel — przynajmniej jeśli chodzi o firanki — jest bardzo staroświecki.

„Fako" też chętnie pomoże w urządzeniu ekspozycji, gdyby ktoś zwrócił się do fabryki z taką propozycją. W fabryce powiedziano mi nawet więcej: **„Fako"** jest gotowe dać handlowcom swoje nowe wzory w... komis. Proszę bardzo, niech pokażą ludziom, niech je właściwie wyeksponują, niech próbują przekonać klienta, że nie tylko białe firanki są ładne. Niech dojdzie do konfrontacji z gustami klienta. Nie trzeba bać się ryzyka. **„Fako"** tego ryzyka nie boi się. A handel?

Jeden z wybitnych handlowców powiedział niedawno publicznie, że mody nie tworzy się z fantazji projektantów, a tylko z potrzeb przemysłu. Stara to prawda, ale widać u nas nie zawsze doceniana, jeśli trzeba było ją przypominać. Więc można byłoby zająć się organizacją popytu, tym bardziej, że ludzie ciągle dostają nowe mieszkania, przeprowadzają się, robią porządki, odświeżają mieszkania. A właśnie zbliża się czas kolejnych świąt i co za tym idzie wiosennych porządków. Będzie zapotrzebowanie na firanki. Będą ludzie chodzić po sklepach i szukać tego, co im potrzeba, co sobie wymarzyli. Może więc skorzystać z tej okazji i pomyśleć realnie o należytej ekspozycji i reklamie firanek. Ale też i nie skończyć — tylko na myśleniu. Niechby i klient nabrał wreszcie przekonania, że komuś na nim zależy.

SŁOWNIK PISARZY ŁÓDZKICH

ANTONI KASPROWICZ

Antoni Kasprowicz urodził się 16 maja 1908 r. w Łodzi. Krótki był okres jego szkolnej edukacji, przerwanej przez pracę fizyczną i biurową. Podczas wojny wywieziony na roboty przymusowe, zbiegł na tereny Łotwy i Litwy. Z chwilą wyzwolenia został nauczycielem w progimnazjum na Wileńszczyźnie, skąd powrócił w 1945 roku do rodzinnego miasta. Tu był najpierw kierownikiem fabrycznej świetlicy, później wydziału w rozgłośni Polskiego Radia, następnie zaś pracował jako urzędnik, w tym przez kilkanaście lat kierował Łódzkim Inspektoratem ZAIKS-u.

Debiutował wierszem „Na poddaszu" w r. 1928 na łamach „Hasła Łódzkiego", w 1935 ogłosił zbiór wierszy „Słońce za murem", po którym wydał jeszcze dziesięć zbiorów: sześć poetyckich („Chwasty płonące" 1937, „Flet czarodziejski" 1939, „Poemat łódzki" 1957, poprzedzone słowem wstępnym Władysława Broniewskiego „Wiersze wybrane" 1961, „W cieniu Orłona" 1967, „Z czterdziestu lat" 1968) i cztery prozatorskie, obejmujące ponad 30 opowiadań („Złodzieje owoców" 1964, „Pod kwitnącym kasztanem" 1966, „Dzielnica plebejuszów" 1971, „Opowiadania łódzkie" 1972).

Znany jest przede wszystkim jako autor wierszy; zaczął je bowiem pisać przed czterdziestu siedmiu laty (wkrótce — złoty jubileusz!). Rozpoczął swą literacką drogę pod znakiem poezji robotniczej, zasłuchany w muzę autorów „Trzech salw", głównie zaś Władysława Broniewskiego. Wiersze umieszczone jako juwenilia w ostatnim retrospektywnym tomie A. Kasprowicza oraz liczne utwory z jego książkowego debiutu (np. „W celi 16" — wyraźnej transkrypcji „Magnitogorska albo Rozmowy z Janem") najoczywiściej świadczą o tym przemożnym wpływie. Tematyce niedoli społecznej, buntu i budzenia się świadomości klasowej towarzyszyły, wprawdzie ubocznie, akcenty inne — bądź wywodzące się z nadziei jeszcze lat dwudziestych i wizji szklanych domów, bądź z rzeczywiście osiąganych, jak np. budowa Gdyni, sukcesów, lecz i z przepuszczanych przez nie już skrzywionych widoków mocarstwowych. W pierwszym tomie objawiło się też, przechodzące potem w twórczości Kasprowicza różne wcielenia, ale nigdy jej nie opuszczające, a w prozie specjalnie rozwinięte, zainteresowanie i gorąca sympatia dla lumpa, najróżniej przekształconego później socjalnie i rodzajowo.

Objawił się w tomiku Kasprowicza także dar słowa i językowe wyczucie, uznane wkrótce przez krytykę za główne i rozwijające się znamiona jego talentu. Ich rozwój mógł prowadzić i do oryginalności i do poetyckich upodobnień — i po obu tych drogach zdarzało się autorowi stąpać. W połączeniu z niehamowaną i nieukrywaną naczelną postawą emocjonalną (w prozie dochodzi do tego jeszcze czasami konwencja humorystyczna) oraz szczerością i łatwością patosu dawało to bujność wypowiedzi, a w szczodrych kolokwializmach utworów prozatorskich nawet jej pewną superatę.

Narratora i wielu bohaterów Kasprowicza cechuje nieposkromiona swada i zamaszystość mowy iście sarmacka, choć bohaterowie ci wyrażają się niekiedy łaciną zgoła inną niż pan Pasek (odprysków prawdziwej też zresztą nie brak w ustach jakiegoś lumpa-inteligenta, konstrukcji dla opowiadań Kasprowicza nieoczekiwanie znamiennej, wdzierającej się do nich niekiedy gwałtem i każącej główny mit jego twórczości, rzekomego poety-robotnika, opatrzyć dużym znakiem zapytania, jeśli wręcz nie przeczeniem). Powiedzmy od razu, bo szacunek i sympatia nie usprawiedliwiłyby tu, ani nie dopuściły przemilczenia, że za sprawą owej bujności prozę Kasprowicza obciąża pierworodny grzech narracyjnych niekonsekwencji, z których winni byli pomóc pisarzowi ją uwolnić pierwsi krytycy, jakimi są redaktorzy i wewnętrzni recenzenci każdego wydawnictwa. Kasprowiczowi pomoc taka należała się tym więcej że od pierwszego poetyckiego tomu uchodził za okazowego twórcę samorodnego. Mimo bowiem widocznych w jego poezji patronatów literackich (które w kolejnych przedwojennych tomikach będą się zmieniać, ale nie znikać) oraz mimo wskazanych tu walorów treści i języka, dzięki pewnej szorstkości wierszy i ich niedocyzelowaniu ta właśnie cecha, samorodność, podnoszona była przez przedwojennych krytyków, a w prozie powojennej, nie podpartej żadnym wyraźnym modelem, jest całkowicie bezsporna i zrozumiała.

Następnym swym zbiorem, poetycko chyba istotnie najcenniejszym, sprawił krytyce nową niespodziankę. Od problematyki społecznej, w hierarchii poetyckich obowiązków uznanej za pierwszą, przeszedł do poetyckiego rozpoznawania świata i panteistycznego zachwytu nad jego ogólnym kształtem. Przejście to, bez ignorowania dotychczasowej strefy troski, deklarował w wierszu „Flecistom", ujawniającym wyraźne inspiracje tuwimowskie, co potwierdzają także próby treściowej i wersyfikacyjnej transkrypcji „Nieznanego drzewa" Tuwima, podjęte w wierszu „Miłość ziemi". Wzorom tego poety pozostanie Kasprowicz równie długo wierny jak Broniewskiego (por. np. zadziorny fragment „W samo południe" z tomu „Z czterdziestu lat", instrumentowany w stylu Modlitwy z „Kwiatów polskich"). Wśród końcowych tekstów „Chwastów płonących" spotykamy wiersze najwnikliwiej penetrujące świat dostępny zmysłom, bez natrętnych zależności wykorzystujące zdobycze poetyki Bolesława Leśmiana. Zwraca też uwagę katastroficzny wiersz „Z Apokalipsy", sugerujący — jak można mniemać — genezę następnego tomu „Fletu czarnoksięskiego" z 1939 r., poddanego nastrojom franciszkańskim i fascynacjom ewangelicznym, zapowiadającym się we wcześniejszych „Chwastach" stylizacją modlitewną w duchu pieśni Franciszka Karpińskiego. Przenika ten tom wyraz znalezionego samoukojenia, góruje kompensacja doznanych od życia krzywd, motywy kosmologicznych rozmyślań, jakby spóźnione młodopolskie roztopienie się w tatrzańskim krajobrazie, a nawet tony religijnej ekspiacji.

Jest Kasprowicz nie tylko pisarzem łódzkim, ale i pisarzem Łodzi — często piszącym o niej w swych wierszach i opowiadaniach. Ściśle rzecz ujmując, pisarstwo to ma swoją jeszcze bardziej zawężoną topografię. Kasprowicz z upodobaniem lokuje swych bohaterów w południowej i wschodniej części miasta, rozległej zresztą. Jej południowym krańcem jest Ruda, wschodnim — Widzew. Arteriami — Pabianicka, Przędzalniana, Milionowa, Rzgowska. Dawnymi centrami mieszkaniowymi — Chojny i Szlezyng, nowymi — Rokicie, Kurak, Dąbrowa. Na Bałuty przedsiębrana jest oddzielna wyprawa, mało kto, trudno wierzyć, zapuszcza się na Piotrkowską, a i to nie poniżej Radwańskiej. Tego królestwa i jego peryferii Kasprowicz próbuje być — przekładając na stołeczne literackie stosunki — czasem Or-Otem, czasem — Wiechem. Gatunki, ku którym oscyluje — to realistyczny obrazek (co już podnoszono, przypominając podobne utwory Struga), gawęda i facecja, do których zdaje się szczególnie predestynowany, a także krwawa bądź mocno sentymentalna historia balladowa. Stara się chwytać życie „na gorąco", przy tym zazwyczaj przyciąga go ono swoją zewnętrznością. Sprowadza się więc to czasem w krańcowych wypadkach do czystego opisu, niczym w dawnej tradycji ustnej, wyimaginowanego życiowego fortelu. Będąc gawędziarzem, kozerem, łazikiem i zawadiaką jest też Kasprowicz przez słowa i czyny swych bohaterów i opowiadaczy zmyślaczem i fantastą — jak przystoi poecie. Czasem wypada to wdzięcznie, nigdy nie wypada zbyt serio. Czy cechy te zachowa w pisanej obecnie powieści? Czy może będzie chciał ją czymś urealnić? Na podorędziu zdaje się mieć kapitał, którego jeszcze nie uszczknął. Może to zresztą bardziej materiał na wspomnienia niż na powieść. Myślę o autobiografii. Przecież też nie musi być zupełnie prawdziwa.

RYSZARD WIERZBOWSKI

OBYCZAJE

Rozczarowanie spotkało kilku łodzian, którzy złożyli kupony z zakładami Totalizatora Sportowego na 4 i 5 stycznia 1970 roku. Gdy w środę, 8 stycznia, zgłosili się do kasy „Totolotka" po należne im wygrane okazało się, że kupony nie dotarły do skarbca centrali i wobec tego nie ma podstaw do uznania ich udziału w grze ani wypłacenia pieniędzy...

KONRAD TUROWSKI

GORZKI SMAK SZCZĘŚCIA

PECH

W gronie rozczarowanych znalazł się Jerzy K., robotnik jednego z zakładów na Teofilowie, pretendent do głównej wygranej. Wspólnie z kolegą Sławomirem S. wypełnił dwa kupony według systemu, jaki sobie mozolnie opracowali. Solidarnie zapłacili też 36 zł oddając kupony w kolekturze w czwartek, 2 stycznia po południu, gdy wracali z pracy do domu. W niedzielę wieczorem, po wysłuchaniu radiowego komunikatu o wynikach spotkań piłkarskich w lidze angielskiej, pewni byli, że trafnie odgadnęli rezultaty dwunastu meczy objętych zakładami. W poniedziałek powiadomili telegraficznie dyrekcję Przedsiębiorstwa „Totalizator Sportowy" podając datę, rodzaj zakładów, numery kolektury, kuponu i banderoli oraz imię i nazwisko Jerzego K., na którego kupon był wystawiony. Od lat grali w „Totka" ze zmiennym szczęściem. Raz, chyba ze dwa lata wcześniej, wygrali przeszło 16 tys. zł. Teraz pewni byli, że Fortuna szczodrzej się do nich uśmiechnęła. Spodziewali się otrzymania dokładnie 22 597 zł. Po drodze żartowali, że końcówkę w postaci 597 zł muszą chyba w całości przeznaczyć na następne zakłady, by utrzymać dobrą passę...

W podobnej sytuacji znaleźli się jeszcze dwaj inni gracze — Stefan A., który miał jeden kupon z jedenastoma trafieniami premiowany kwotą 1221 zł i trzy kupony z dziesięcioma trafieniami nagradzanymi po 147 zł oraz Janusz G. pretendent do wygranej w wysokości 1221 zł...

Wszyscy złożyli opłacone kupony tego samego dnia i w tej samej kolekturze na Teofilowie. Pewni byli, że ze swej strony dopełnili wszelkich warunków przewidzianych pouczeniem zamieszczanym przez Państwowe Przedsiębiorstwo „Totalizator Sportowy" na kuponach. Odcinki A, B i C kuponów, które złożyli w kolekturze wypełnione były identycznie oraz oznaczone tymi samymi numerami. Uiścili też należne opłaty. Dopilnowali przy tym, by opłata została uwidoczniona na kuponach naklejeniem przez kolektora właściwej banderoli przy zakładach prostych, a przy systemowych odpowiedniej sumy. Spokojnie poszli do domu zachowując odcinki C, na podstawie których teraz domagali się wypłacenia wygranych...

W dyrekcji łódzkiego oddziału PP **„Totalizator Sportowy"** grzecznie ale stanowczo odmówiono im premii. Dowiedzieli się, że kolektor, któremu powierzyli swoje kupony nie dostarczył ich w przewidzianym czasie do centrali. Odcinki A i B nie były więc zabezpieczone w sposób przewidziany regulaminem zakładów. Propozycję by włączyć je do zakładów uznano za nierealną i pozbawioną podstaw prawnych. Ustalono, że przesyłkę z kuponami kolektor nadał w urzędzie pocztowym już po zakończeniu rozgrywek piłkarskich w lidze angielskiej i po ogłoszeniu wyników przez radio BBC.

Reklamacja złożona do warszawskiej centrali PP **„Totalizator Sportowy"** właściwie dała tylko potwierdzenie stanowiska łódzkiego oddziału. W uzasadnieniu odmowy wypłaty powoływano się na paragrafy 6 i 7 części pierwszej regulaminu i instrukcji „Totka" piłkarskiego. Mówią one, że zakłady zostają zawarte z chwilą zabezpieczenia kuponów w centrali, a przedsiębiorstwo nie ponosi odpowiedzialności za czynności i zaniedbania kolektorów jak również za spóźnione nadesłanie kuponów bądź ich uszkodzenie.

SPRZYJAŁA IM OPINIA

Niefortunnym graczom rozgoryczonym takim postawieniem sprawy zaoferowano na zasadzie paragrafu 14 regulaminu zwrot wniesionych opłat. Rychło też drobne kwoty nadeszły drogą pocztową na ich prywatne adresy. Odmówili jednak ich przyjęcia. Sprawa stała się głośna w całym kraju wzbudzając szerokie poruszenie wśród licznej rzeszy graczy „Totolotka".

„— Przecież to niemożliwe! — publikował na swoich łamach listy czytelników „Kurier Polski". Totalizator jest poważną instytucją, której co tydzień tysiące ludzi powierzają niełatwo zarobione pieniądze. Taka instytucja musi ponosić całkowitą odpowiedzialność za swoich pracowników i współpracowników, do których przecież zalicza się personel kolektur. Przykład łódzkich graczy może tylko zniechęcić ludzi do brania udziału w zakładach Totalizatora i poderwać zaufanie do tej instytucji".

„Jest rzeczą nie do pomyślenia — pisał inny czytelnik tej gazety — by człowiek po zapłaceniu pieniędzy w kolekturze dowiadywał się później, że wygranej może domagać się na drodze sądowej i że płacić będzie mu ewentualnie niesumienny pracownik. Przecież to nie gracze a właśnie sam Totalizator Sportowy powinien występować w sądzie o odszkodowanie. Totalizator przecież a nie gracze angażuje kolektora".

„Życie Warszawy" pisało w notatce pt. „Elektro-Toto":

„Na marginesie totolotkowych perypetii z kuponami w Łodzi mam pytanie, panie Redaktorze: Czy w związku z niebraniem odpowiedzialności przez dyrekcję Toto-Lotka za postępowanie kolektorów kuponowych, można upewniać się w samej dyrekcji przed ciągnieniem, czy mój kupon bierze udział w losowaniu? W loterii pieniężnej nabywca losu ma prawo stwierdzić właśnie przed ciągnieniem czy jego numer jest umieszczony w ewidencji przedsiębiorstwa.

Czy w związku z tym Toto-Lotek ma zamiar zakupić komputer, czyli maszynę cyfrową z elektronicznymi zdolnościami tololotkowymi? Jeżeli tak — to doradzam jeszcze zakupienie odpowiednio zaprogramowanej zegarynki, która by udzielała żądanych odpowiedzi..."

PP „Totalizator Sportowy" wciąż jednak obstawał przy swoim uważając, że poszkodowanym graczom przysługuje regres wyłącznie w stosunku do kolektora, bowiem z jego wyłącznej winy zostali pozbawieni wygranych. Przedsiębiorstwo powiadomiło też graczy, że ze swej strony natychmiast rozwiązało umowę z niesumiennym kolektorem i jednocześnie skierowało skargę na niego do Prokuratury Powiatowej dla dzielnicy Bałuty.

W ŚWIETLE PRAWA

To jednak nie satysfakcjonowało graczy. Zwrócili się o pomoc prawną do adw. **Jarosława Nowickiego.**

— Moim zdaniem — oświadczył adwokat **— regulamin, na który powołuje się PP „Totalizator Sportowy" odmawiając wypłacenia premii należnych moim klientom sprzeczny jest z obowiązującym Kodeksem Cywilnym a w szczególności z artykułami 429 i 430 tego podstawowego aktu prawnego. Przedsiębiorstwo nie neguje, że moi klienci pozbawieni zostali premii z wyłącznej winy kolektora, który zaniedbał swego obowiązku przekazania we właściwym czasie kuponów do centrali. Jakże więc pogodzić odmowę wypłacenia premii z brzmieniem art. 430 KC, który mówi, że „kto na własny rachunek powierza wykonanie czynności osobie, która przy wykonywaniu tej czynności podlega jego kierownictwu i ma obowiązek stosować się do jego wskazówek, ten jest odpowiedzialny za szkodę wyrządzoną z winy tej osoby przy wykonywaniu powierzonej jej czynności"...**

W imieniu swoich klientów adw. **Jarosław Nowicki** skierował pozew przeciwko PP **„Totalizator Sportowy"** i 60-letniemu Henrykowi F., byłemu kolektorowi tego przedsiębiorstwa. Ze względu na siedzibę centrali pozwanego przedsiębiorstwa sprawa wpłynęła do Sądu Powiatowego dla Warszawy-Pragi. W uzasadnieniu podano m.in., że Jerzy K. i Sławomir S. pretendenci do głównej wygranej w zakładach na 4 i 5 stycznia byliby jedynymi w Łodzi a dziesiątymi w kraju zdobywcami tak wysokiej premii w tej kolejce zakładów. Łącznie domagano się wypłacenia na rzecz czterech poszkodowanych graczy sumy 25 480 zł oraz pokrycia kosztów postępowania. Zasądzenie należności miało nastąpić solidarnie, aby na wypadek nieściągalności dość znacznej kwoty od nigdzie wówczas nie pracującego Henryka F. musiało ją wypłacić PP „Totalizator Sportowy"...

W kołach prawników od początku uważano całą sprawę za precedensową i — nie ukrywano — dość wątpliwą, mimo jednoznacznego stanowiska opinii publicznej. Jeden z wybitnych prawników o uznanym autorytecie przewidywał, że wszczęty proces zakończy się dopiero w Sądzie Najwyższym. — Po wprowadzeniu w życie z dniem 1 stycznia 1965 roku nowego Kodeksu Cywilnego nie było bowiem tego rodzaju sprawy — dowodził. W podobnej sprawie Sąd Najwyższy orzekał w 1960 roku, jeszcze pod rządami dawnej Ustawy,

MAXIM WSTRZYMUJE WYPŁATE

Dalszy ciąg ze str. 1

częli badać możliwości sfatygowanych potworów typu Bally Continental, śledząc uważnie układ figur na tablicy, częstotliwość trafień oraz czas, jaki mija od jednej większej wygranej do drugiej. Okazało się niebawem, że dwa małe automaty pod oknem są nieszczęśliwe (tłusto żrą, chudo plują), trzeci natomiast bez przerwy się zacina. Co się tyczy innych, można je czasami wyczekać i rozpruć na kilkaset złotych, jednakże, ogólnie rzecz biorąc, wynik meczu: człowiek-automat kończy się zwykle pięć albo sześć — jeden dla maszyny.

To też jest w porządku. Przecież w totolotku szanse są o wiele mniejsze. No i „Maxim" nie jest do cholery, instytucją zapomogową, tylko państwowym przedsiębiorstwem, które poza dawaniem rozrywki musi również wyjść na swoje.

Czego zatem chcemy od „Maxima"?

Ano, wielokrotnie zdarza się, że automaty zaczynają weryfikować szczęście. Sam padłem tego ofiarą, otrzymując w chwili wygranej piętnaście sztonów zamiast dwudziestu i trzydzieści sześć zamiast czterdziestu. Nie da się jednak mojego nieszczęścia porównać z tragedią zawodowców, którzy — jako się rzekło — przynoszą do „Maxima" cały swój wolny grosz. Fasą te nie nasycone potwory modlą się, zaciskają kciuki, ze stoickim spokojem znoszą porażkę za porażką wierząc, że w końcu uśmiechnie się do nich los. No i w końcu los pozornie się uśmiecha: wyskakują na tablicy trzy pojedyncze „bary", „gruszki" albo „grzybki", potwór zaczyna triumfalnie brzęczeć, gapie patrzą zazdrośnie na szczęśliwca, temu zaś serce skacze z radości do gardła, bo automat rzyga sztonami z rogu obfitości. Każdy szton ma wartość trzech złotych, a z tabeli wyraźnie wynika, że wygrana wynosi pięćset sztonów, czyli tysiąc pięćset złotych (w tym konkretnym wypadku), toteż zawodowiec zaczyna skrupulatnie łup przeliczać, bo coś mu się zdaje, że automat zaciął się nagle, zbuntował, zachrobotał. No i tak.. Zamiast pięciuset sztonów bezduszne urządzenie wypłaciło tylko trzysta sześćdziesiąt. Zawodowiec wali w nie pięścią — z początku łagodnie, później z wściekłością. Nic. Zatem woła mechanika. Nic. Zatem zwraca się z pretensją do kierownictwa...

I dialog:

— Oddajcie mi pieniądze!

— Jakie pieniądze?

— Automat miał wybulić pięćset, a wybulił tylko trzysta sześćdziesiąt!

— Awaria...

— No, właśnie... Awaria!

— Nic na to nie poradzimy.

— Jak to nic! Przecież to moje własne pieniądze...

— Punkt czwarty naszego regulaminu mówi, że jeśli automat zatnie się w czasie wypłaty, stratę ponosi grający, i to bez odwołania. Od straconej reszty przysługuje mu tylko jeden symboliczny szton. Zaraz panu wypłacimy.

— Nie chcę! — i zawodowiec udziela rady, co mogą sobie z tym jednym sztonem zrobić. Potem. — **Chcę zobaczyć ten regulamin! Dlaczego nie wywiesiliście go przed wejściem i na ścianie?**

— Bo tymczasem go nie ma.

— A gdzie jest tymczasem?

— Drukuje się.

Wynik meczu człowiek — automat powiększa się zatem do dziesięć — jeden dla maszyny. Ale grających i tak nie zabraknie. O dziewiątej wieczorem, kiedy zaczyna się nocna zmiana, pod oszklonymi drzwiami „Maxima" panuje wielki tłok. Sam wstęp, bez żadnej konsumpcji, kosztuje sto złotych od łebka, a przecież w dwie minuty później jest już komplet. Portier wywiesza tablicę **WSZYSTKIE MIEJSCA WYPRZEDANE** i nie zdejmuje jej do białego rana. Ci za drzwiami robią żałosne miny, napraszają się, skomlą, czekają całymi godzinami na szczęśliwy traf: a nuż ktoś wyjdzie i zwolni się parę miejsc.

Tam, w środku, nie ma gdzie siedzieć. Stoliki w barku i fotele w dyskotece są zajęte. Pozostaje więc wyjść na parkiet i zawracać głowę nogami, albo stanąć pod ścianą i przyglądać się tańczącym, albo wykupić w kasie sztony i zająć kolejkę do jednego z automatów.

— Widzisz pan tego grata! — pyta mnie znajomy ptaszek, celując palcem w maszynę.

Mówię, że, owszem, widzę.

— No to ja panu zaraz zrobię charakterystykę. On nie jest tak szczęśliwy, jak ta szafa w rogu, ale ma swój przyjemny feler, tak? Jak panu wyskoczy z wajchy „wisienka" na pojedynczy szton, to powinieneś pan dostać za to, według taryfy, dwa sztony, tak? A tu zaczynają się, szurubu-ru, wielkie dziwy: automat zaczyna płacić — jednym sześćdziesiąt, innym dziewięćdziesiąt, mnie raz trafiło się ponad sto.

— A co na to obsługa?

— Jak przyuważą, to próbują zabrać nadpłatę.

— A często zdarza im się przyuważyć?

— Prawie zawsze. O! pod każdą maszynką stoi jakiś obserwator.

— Taki maleńki tajniaczek z ramienia przedsiębiorstwa?

— Zgadza się.

— A dlaczego automaty tak często szwankują?

— Panie, przecież to są stare graty. Zarobiły już na siebie w zachodniej Europie, zarobiły w Warszawie, to teraz zarabiają w Łodzi.

— Później podrzucimy je do jakiejś budy w Piotrkowie?

— Chyba tak.

Siedząca w rogu kasjerka ma pełne ręce roboty. W przeciągu godziny potrafi nieraz sprzedać dwa tysiące sztonów (za sześć tysięcy złotych), kiedyś sprzedała podobno pomiędzy jedenastą a dwunastą cztery tysiące, co jest wynikiem w granicach rekordu Polski. Ludzie kupują różnie — po dziesięć sztonów (dla zabawy) i po pięćset (dla hazardu).

W czasie mojej wizyty ostatni automat po prawej stronie (okiennej) był okupowany od początku do końca przez dwóch tych samych, młodocianych graczy. O tym, żeby kogoś dopuścili, nie mogło być nawet mowy. Przeżywali wzloty i upadki. Zaczęli — trzymając sztony w ręce, potem w kieszeniach, jeszcze później w przeznaczonym do tego woreczku. Po północy ich twarze wyrażały bałwany zachwyt dla maszyny, która szczodrze sypała srebrem. Wór pęczniał; potrząsali nim radośnie, drażniąc gawiedź i personel. Wydawało się, że wkrótce będą musieli skorzystać z drugiego worka i że ich rodziny będą miały zapewnioną przyszłość aż po trzecie — czwarte pokolenie. Raptem jednak coś się popsuło. Automat — powoli lecz konsekwentnie — zaczął odrabiać straty. Około drugiej nad ranem, klnąc bez żenady, biegali na zmianę do kasy, żeby wrzucić jeszcze trochę metalu w paszczę wrednego potwora.

Fot. Paweł Duraj

Drażnił mnie pięćdziesięcioletni lowelas w przybrudzonej koszulce i zasypanym łupieżem garniturku; wciąż krążył od maszyny do maszyny, polując na szczęśliwą passę: tu się przyłączył, tam kogoś wyłączył; z chwilą,

która wskazywała, że grający na loterii bądź zawierający zakłady podporządkowują się ogłoszonemu regulaminowi z chwilą wykupienia biletu loteryjnego czy poprzez inną formę wyrażającą przyjęcie wzajemnych zobowiązań. Wówczas też Sąd Najwyższy wydał orzeczenie niekorzystne dla poszkodowanych graczy. Teraz jednak orzecznictwo Sądu Najwyższego może być inne niż przed 1965 rokiem. Obowiązujący Kodeks Cywilny wskazuje bowiem, że wszelkiego rodzaju regulaminy i inne przepisy wewnętrzne niezgodne z Ustawą automatycznie stają się nie zobowiązujące. Rozstrzygnięcie — czy instrukcja i regulamin Totalizatora Sportowego będą uznane za przepisy niezgodne z nowym Kodeksem, a więc nie zobowiązujące dla stron — należy wyłącznie do kompetencji sądu — ostrożnie wyrokował znany i ceniony znawca prawa cywilnego.

NA SALI SĄDOWEJ

Sala Sądu Powiatowego dla Warszawy-Pragi, w której wyznaczono termin rozprawy łódzkich graczy występujących przeciwko PP **„Totalizator Sportowy"** i Henrykowi F, wypełniona była po brzegi. Obok licznego grona prawników przybyli też inni gracze zainteresowani procesem i zaniepokojeni, że uzyskanie wysokich premii pieniężnych nie tylko zależy od trafnego wypełnienia kuponów, które po opłaceniu przewidzianych należności, powierzają kolektorom.

Sąd Powiatowy dla Warszawy-Pragi uznał jednak, że przedstawione dokumenty nie stanowią kompletu materiału dowodowego i postanowił zawiesić postępowanie do czasu zakończenia się prawomocnym wyrokiem sprawy karnej wytoczonej byłemu kolektorowi Henrykowi F.

W dwa tygodnie później odbył się przed Sądem Powiatowym w Łodzi proces 60-letniego Henryka F., znanego w okresie międzywojennym piłkarza, który też był bramkarzem w reprezentacyjnej drużynie narodowej. Zarzucano mu, że jako kolektor PP „Totalizator Sportowy" zaniechał wykonania swoich obowiązków przez to, że w przewidzianym czasie nie dostarczył do centrali powierzonych mu kuponów co spowodowało wyeliminowanie ich z gry. Naraził w ten sposób przedsiębiorstwo na straty w wysokości ok. 5 tys. zł, które trzeba było zwrócić graczom z tytułu poniesionych przez nich opłat przy powierzaniu kolektorowi kuponów.

W toku postępowania dowodowego ustalono, że w grudniu poprzedniego roku nie rozliczył się z pobranych opłat wzbudzając nieufność pracodawcy co do swojej uczciwości i rzetelności w wywiązywaniu się z przyjętych obowiązków.

Sąd Powiatowy skazał Henryka F. na karę dziesięciu miesięcy pozbawienia wolności oraz zapłacenie grzywny w wysokości 1,5 tys. zł. Wykonanie kary pozbawienia wolności warunkowo zawieszono mu na okres 2 lat.

Po uprawomocnieniu się wyroku, od którego Henryk F. się nie odwoływał, wróciła na wokandę Sądu Powiatowego dla Warszawy-Pragi sprawa sporu łódzkich graczy z „Totolotkiem".

Proces trwał jeden dzień. Sąd w pełni uznał wszystkie roszczenia poszkodowanych graczy i zasądził solidarne zapłacenie wygranych premii w łącznej wysokości 25 480 zł przez PP „Totalizator Sportowy" i Henryka F., który nie stawił się na rozprawę.

Wytrawni obserwatorzy procedury sądowej zdawali sobie jednak sprawę, że do prawomocnego wyroku jeszcze daleko. Jak łatwo było przewidzieć, PP **„Totalizator Sportowy"** odwołało się od wyroku pierwszej instancji...

Sąd Wojewódzki w Warszawie, w składzie trzech sędziów, po rozpoznaniu sprawy z powództwa łódzkich graczy przeciwko PP **„Totalizator Sportowy"**, na skutek rewizji pozwanego przedsiębiorstwa, postanowił przedstawić Sądowi Najwyższemu do rozstrzygnięcia następujące zagadnienie prawne budzące w sprawie poważne wątpliwości: **czy i jaki stosunek prawny powstaje między grającym a PP „Totalizator Sportowy" w związku z przyjęciem przez kolektora od grającego odcinków A i B?**

W rok później **Sąd Najwyższy**, zgodnie ze swoimi uprawnieniami, wyjątkową i precedensową sprawę przejął do rozpoznania w składzie trzech sędziów SN. Zaskarżony wyrok Sądu Powiatowego dla Warszawy-Pragi zmieniony został w ten tylko sposób, że Sąd Najwyższy oddalił powództwo w stosunku do pozwanego przedsiębiorstwa. Ta uprzejma formuła prawnicza w istocie kryła w sobie przegraną „totkowiczów". Od początku przecież nie łudzili się, że ściągnięcie należności od byłego kolektora stanie się kiedykolwiek realne...

„Sąd Powiatowy uznał — czytamy w uzasadnieniu wyroku Sądu Najwyższego, — **że pozwany Henryk F. odpowiada za szkodę wyrządzoną swym zaniedbaniem a pozwane przedsiębiorstwo odpowiada za niego z mocy artykułów 429 i 430 KC, ponadto z tytułu własnego zaniedbania polegającego na zatrudnieniu kolektora choć raz zdarzyło się, że nie rozliczył się z powierzonych opłat. Sąd Powiatowy uznał też, że paragraf 7 regulaminu przedsiębiorstwa nie ma w sprawie zastosowania bo powszechnie jest wiadomo, że przy zawieraniu zakładów ani nie otrzymuje się regulaminu, ani nie ma zwyczaju się nim posługiwać, ani też nie można go z łatwością nabyć. W związku z tym powództwo uznane zostało w całości.**

Dalszy ciąg na str. 12

FELIKS BĄBOL

KLONDYKE POD GIEWONTEM

Nie chodzi wcale o to, że gazdowie i gaździny za jedną noc przespaną w byle jakich warunkach liczą sobie 100 zł od osoby, że młodzi ludzie z całej Polski wydają tu ostatnie grosze wysuplane nierzadko z sakiewek matek i ojców emerytów i przymuszeni naglą bryndzą wyprzedają na czarnym rynku zegarki plastykowe za 200 zł, że po lokalach snują się falangi facetów z prywatnej inicjatywy, którym nie w smak szastać forsą w swoim Peimiu, Rajgrodzie, czy innym Pipidówku i wolą ją upłynniać w Zakopanem...

Rzecz w tym, że Zakopane roku 1975 wykształciło już chyba szczytową atmosferę cwaniactwa i gorączki złota. Żaden właściciel dorożki konnej (gdy nie ma śniegu) czy sanek (gdy śnieg spadnie) nie operuje już takimi kwotami jak 40, 60 czy 80 zł, gdyż w jego wyobraźni istnieją już tylko okrągłe setki i pięćsetki. Więc za najmniejszy kurs żąda się tu 200, 300, 400 zet. W lokalach, nawet tych pod szyldem FWP, serwuje się wczasowiczom jedynie najdroższe koniaki i napoje firmowe, nikomu tu bowiem nie opłaca się fatyga zaopatrzenia zakładów gastronomicznych w zwykłe, „ludzkie" trunki, wody sodowe i mineralne, nikomu nie chce się przygotować dla gości choćby kanapek, nie mówiąc już o daniach tanich i barowych. Rządzi wszędzie niepisane prawo maksymalnego wykorzystania okazji, kiedy to zjechało nagle 60 tys. żądnych wrażeń i naiwnych cieprów, kiedy ambicja każdego gazdy, każdego kierownika lokalu, kelnera i barmanki jest szybkie ogołocenie przybysza z tych środków obiegowych, jakie z sobą przywiózł.

Zakopane uczy, jak nie powinien wyglądać stosunek do klienta. Doszło na tym tle do licznych absurdów i nonsensów, jak choćby ten, że milionowe inwestycje wczasowe, wypoczynkowe i turystyczne nie są racjonalnie wykorzystywane, czego rażącym przykładem jest najładniejsza w Zakopanem kawiarnia (w DW „Hyrny") cały dzień zamknięta na cztery spusty i oferująca swym gościom wspomniane wyżej koniaki dopiero wieczorem, kiedy to zjawia się w pracy etatowa orkiestra, kiedy można zażądać opłaty za wstęp, upłynniać masowo produkowany napój, robić duże obroty, inkasować wysokie marże.

GDZIE IŚĆ?

Dokąd więc ma pójść szeregowy wczasowicz, jeśli wszędzie prawie obowiązuje „konsumpcja", jeśli wszystko obliczono tu na najwyższy zysk przy minimum nakładów i własnej pracy. Kilka godzin musi czekać na miejsce w kolejce linowej na Kasprowy, a z powrotem — z Kuźnic — naraża się w miejskim autobusie na uduszenie, gdyż zatłoczone są do granic szaleństwa. Zaryzykowałbyś nawet 15 czy 20 zł za taksówkę, ale taksówkarzom nie opłacają się takie kursy, a gazdowie za 2-kilometrowy zjazd do Zakopanego sankami żądają co najmniej stówę. W turnusie wczasowym na przełomie stycznia i lutego nie zwiększono ilości autobusów do Kuźnic i nikogo nie wzruszały dantejskie sceny dziejące się choćby na trasie spod Kuźnic.

Młodzież szkolna spędzająca ferie zimowe w Zakopanem zapamięta je na czas dłuższy, gdyż ani miasto, ani ośrodki wczasowe nie przygotowały się do zwiększonego napływu rodziców z dziećmi. W wypożyczalni sprzętu sportowego w „Skalnicy" obsługującej wszystkie domy wczasowe brakowało sanek i nart, i matki nie wiedziały co robić ze swymi pociechami. Urządzano więc masowe wycieczki w góry. Masowość ich sprawiła, że któregoś dnia, gdyśmy wybrali się do Morskiego Oka, nad jego brzegiem zebrały się tak nieobrzeźrane tłumy wycieczkowiczów, że setki dzieci, które chciały „zaliczyć" ten piękny fenomen Tatr, w ogóle Morskiego Oka nie ujrzały.

Młodzież nieszkolna, a więc najczęściej bezrobotna, wystawała w tym samym czasie w hallach drogich restauracji walcząc o miejsce przy stolikach na popołudniowym czy wieczornym dancingu. Duże grupy tej młodzieży przyciąga do Zakopanego przepływający tu stale strumień pieniędzy. Chce się ogrzać ciepłem złota, znaleźć się choćby w przedsionku krainy, w której króluje niepodzielnie kategoria „S", strip-teasy i mikroskopijne bezsztyki tatarskie po 60 zł. Wielu młodych ludzi wysiaduje godzinami przy stolikach służbowych, asystując w kawiarniach i restauracjach znajomym kelnerkom i bufetowym. Jest tu, widać, taki zwyczaj, że każda z nich musi mieć swego wysportowanego i zarośniętego opiekuna, stawia mu wieczorem jedną czy kilka kolejek, czasem trochę „odpali" z nie planowanych dochodów nocy.

GDZIE SĄ CHĘTNI DO PRACY?

Obserwuje się tu w szczytowym sezonie prawdziwą klęskę na rynku pracy. Kierowniczki domów wczasowych nie mogą sobie pozwolić na zwolnienie z pracy najgorszych nawet leni — sprzątaczek, kucharek czy pokojowych, bo na ich miejsce nikogo nie znajdą. Wiele kiosków „Ruchu" jest nieczynnych z braku personelu, w związku z czym cierpi upowszechnienie słowa drukowanego, sprzedaż grzebieni i kremu Nivea, mówi się też o możliwości zamknięcia na jakiś czas całego jednego piętra w najnowszym i najelegantszym hotelu „Kasprowy" (doba 460 zł), gdyż nie ma komu sprzątać apartamentów. Ze względu na chorobę i brak zastępstw w wielu sklepach i punktach usługowych skraca się godziny pracy, a w barze mlecznym na Krupówkach w kolejce po szklankę mleka czekać trzeba godzinę. Tak to jest, gdy nagle za dużo jest tych, którzy chcą wypocząć i za mało tych, którzy chcieliby pracować.

Łatwo więc można było odnieść wrażenie, że Zakopane „pęka już w szwach", że dotychczas istniejąca organizacja wczasów, turystyki masowej i pobytu w Zakopanem absolutnie nie zdaje egzaminu, że przeżyła się już zupełnie. Jak mi mówiono w zimowej stolicy kraju, ta organizacja nie zdawała egzaminu już 20 lat temu. Działacze społeczni i gospodarczy, ludzie myślący zdrowo i na przyszłość już wtedy mówili, że jak najszybciej trzeba zbudować kolejkę elektryczną z Zakopanego do Nowego Targu, że właśnie w tym pobliskim mieście powiatowym od lat powinno się rozbudowywać handel i usługi, domy towarowe i magazyny, a nie wszystko pchać do Zakopanego. Uratowano by w ten sposób tradycyjny charakter Zakopanego, jego bogaty folklor. Padło w owych czasach nieszczęsne w skutkach hasło: rozwijać turystykę i bazę wczasową w Zakopanem, ale przez całe lata budownictwa w tej dziedzinie nie było, rozwijano jedynie... akwizycję wczasowo-turystyczną, propagowano tylko pobyty w Zakopanem. Doszło w tej akwizycji do tego, że nawet najpoważniejsze w kraju zakłady przemysłowe licytowały się wzajemnie i podkupywały, walcząc o każde łóżko u gazdów, o każdą willę na wczasy dla własnych załóg. W efekcie takich licytacji jedna willę wartości z górą 400 tys. jej właściciel sprzedał pewnej fabryce za... ponad milion!

Właśnie tam, mówią mi — w Nowym Targu — powinno znaleźć się centrum turystyki tatrzańskiej, stąd bowiem prowadzą szlaki na Gorce, w Pieniny i Tatry, w Nowym Targu powinna powstać baza turystyczno-usługowa dla setek tysięcy przybyszów z całego kraju i zagranicy. Ale do tego niezbędna była budowa owej koleiki elektrycznej, skracającej drogę do Zakopanego do 20 minut. Na co się zdobyto w owych latach — to na „rozbiory" Nowego Targu. Gdy Zakopane poczęło się już dusić na swym terenie, gdy pilnie trzeba było nowych terenów pod inwestycje — włączono do Zakopanego dwie gminy czyli kilkanaście wsi, teraz mówi się już o przyłączeniu także Bukowiny Tatrzańskiej. Mówi się jednocześnie o dalszej zabudowie Zakopanego. Na przykład w dodatku do krakowskiego „Dziennika Polskiego" — w tzw. „Dzienniku Ziem Górskich" wyczytałem, że budować się będzie nowy hotel „Tatry", campingi na Harendzie, osiem dalszych pawilonów handlowych, jeszcze jeden hotel „Orbisu" i kilkanaście domków na wczasy rodzinne tuż obok hotelu „Kasprowy"...

TRZY STREFY

Zamierzenia te, na mój rozum, gryzą się nieco z perspektywicznym planem zagospodarowania całego Podtatrza. Plan taki został tu już zatwierdzony i — sądzę — kreśli rozsądny kształt przyszłości tego regionu. Mają więc powstać trzy strefy zaspokajające wszystkie potrzeby i ambicje tych, którzy przybywają do Zakopanego. W samym Zakopanem zorganizowana zostanie baza dla turystyki kwalifikowanej, taterników i alpinistów, dla sportu wyczynowego. Sądzę, że na te potrzeby nawet w obliczeniu na przyjazdy licznych grup sportowców z zagranicy istniejąca baza hotelowa prawie że wystarczy, jako że zwolni się Zakopane z obowiązku obsługi dziesiątków tysięcy wczasowiczów i taterników-amatorów, których co rusz trzeba ściągać toboganami na dół, jako ofiary niefortunnych wypraw na szczyty i przełęcze. Druga strefa (za Gubałówką) przewidziana jest na rozwój ośrodków wczasowych, trzecia — bliżej Nowego Targu — na rozwój turystyki krótkopobytowej i masowej.

Plan ten, należy przypuszczać, uporządkuje sytuację Zakopanego, które ma 27 tys. stałych mieszkańców i które jednocześnie odwiedza rocznie... 3 miliony gości, uporządkuje kierując główne fale przyjezdnych na właściwy teren, do odpowiedniej strefy.

Pozostaje jeszcze sprawa komunikacji. Nie chodzi o wspomnianą linię elektryczną Zakopane — Nowy Targ, ale o trasę Zakopane — Kraków. Czy załatwi ją koncepcja jedynie zelektryfikowania linii kolejowej na tej trasie? Chyba nie. W perspektywie kilkunastu lat przewiduje się, że na szosie Kraków — Zakopane znajdzie się każdego dnia 60 tys. samochodów osobowych, niezbędne jest więc już dziś sprecyzowanie koncepcji niezależnych od komunikacji drogowej i kolejowej. Jeden z projektów podobno już wpłynął. Jest to projekt kolejki nadziemnej, podwieszonej i nie kolidującej z ruchem samochodowym na tej trasie. Czy jednak zyska on sobie prawo obywatelstwa — najbliższa przyszłość pokaże.

Tak czy owak — nadszedł czas „drugiego Zakopanego", bo Klondyke pod Giewontem przestaje być magnesem, urąga dobrym obyczajom i zdrowemu rozsądkowi.

---

kiedy zaczął wygrywać, nie dopuścił nikogo, kiedy był zgrany, próbował zawierać okazjonalne spółki, jako że w grupie, wspólnymi siłami, łatwiej automat wyczekać. W antraktach podrywał nastoletnie dziewczyny, niby to udzielając im rad, ponieważ jednak co najmniej od roku nie mył zębów, odwracały się od niego ze wstrętem.

Zauważyłem, że hazard wciągnął również personel. Grali szatniarze, grały babki klozetowe, które u „Maxima", w przeciwieństwie do innych lokali, są atrakcyjnymi, dobrze ubranymi i umalowanymi dziewczynami. Grali również portierzy i prawdę mówiąc — mam im to za złe...

Wprawdzie ten w holu miał obwiązaną bandażem prawą rękę, co wymownie świadczy o tym, że nie leni się na bramce. Wprawdzie na sali był tylko jeden pijany, nikt się nie bił, nie awanturował, nie bluźnił ponad przyjętą normę, jednakże u „Maxima" zdążyły już zginąć jakieś płaszcze i jakieś torebki, należało więc zachować maksymalną czujność.

Z tymi torebkami, to ostatnio prawdziwe utrapienie, giną bowiem także w innych lokalach. Uwaga — kobiety! To się odbywa mniej więcej tak: wchodzi dwóch, rozglądają się po sali, potem jeden ściąga marynarkę, rzuca ją od niechcenia na krzesło, bądź fotel, gdzie leży torebka, prosi do tańca jakąś dziewczynę i wychodzi na parkiet, podczas gdy jego kolega, niby to opiekując się porzuconym łachem przyjaciela, zgarnia marynarkę z siedzenia z torebką i spokojnie wychodzi. Metoda ta, będąca złodziejskim szlagierem sezonu, przyniosła już doliniarzom obfite żniwo. Teraz pora więc na kajdanki i wyroki.

Prawdę mówiąc — nie mam nic przeciwko „Maximowi". Mądremu taki lokal nie zaszkodzi, zaś głupi potrafi stracić wszędzie. Panujący tu permanentnie tłok świadczy, że w Łodzi potrzebne są inne tego typu lokale — niekoniecznie hazardowe. Najmocniejsza stroną „Maxima" nie jest przecież tych siedem zdezelowanych automatów, a dyskoteka — świetny parkiet, znakomite, pulsujące, wciąż zmieniające się oświetlenie i wspaniała muzyka. Panowie! W Związku Radzieckim też już wolno tańczyć twista! W Warszawie i na Wybrzeżu takich dyskotek jest na pęczki, w Łodzi natomiast, poza „Maximem", można co najwyżej urżnąć się w Pijalni Piwa. Powtarzam to od lat do znudzenia — nie mamy w mieście ani jednego przyzwoitego kabaretu, nie mamy ani jednego klubu, gdzie grałby markowy zespół jazzowy czy beatowy, nie mamy co robić wieczorami w dzień powszedni. Sam wprawdzie nie przepadam za tańcem, uważam jednak, że tysiącom ważesających się po ulicach niedorostków i młodzieży należy się dach nad głową, a więc kilkanaście dużych lokali, gdzie wstęp byłby tani, a muzyka (choćby mechaniczna) na godziwym poziomie...

„Maximowi" pilnie potrzebna jest konkurencja.

Oto krytyczne uwagi bywalców pod adresem lokalu:

— Za drogi wstęp.
— Za drogo w barze.
— Za głośna muzyka.
— Za duży tłok, albo, alternatywnie, za mało miejsc do siedzenia.
— Za mało automatów — kupisz sztony, a nie możesz ich przegrać.
— Za duże kolejki w szatni.

Na tym lista skarg się zamyka. Podobno kierownictwo zrobiło już kilka radykalnych posunięć, zwalniając między innymi dwóch nie dość uważnych pracowników. Nie mają prawa ginąć torebki i płaszcze, nie mogą zacinać się automaty. „Maxim" startuje z pozycji przedsiębiorstwa trudnego, które z natury rzeczy zawsze będzie pod obstrzałem krytyki. Hazard, choćby w najniewinniejszej formie, zawsze budził sprzeciwy społeczeństwa. W tej sytuacji „Maxim" powinien we własnym interesie wywalczyć sobie opinię lokalu superwzorowego, tak, aby jego przeciwnicy zmuszeni byli przyznać, że oprócz automatów, które drenują ludzką kieszeń, jest tam jeszcze kulturalna obsługa, niskie ceny, bezpieczna atmosfera i dobry program artystyczny, mogący osłodzić człowiekowi gorycz przegranej.

ANDRZEJ MAKOWIECKI

LITERATURA

JURIJ PASZKOW

WENUS

Wieść niesie stara, iż żyła przed laty.
Jej rodzic, mówią, był prostym garncarzem.
Zoczył ją kiedyś stary imperator
I nie mieszkając posłał po nią straże.

Szeleszczą fałdy szkarłatnych chitonów,
Tchną wonią ambry kobierce teremu...
Wstał imperator ze złotego tronu,
Rzekł: „Podejdź do mnie, uściśnij mnie, Wenus".

I zadarł władca pożądliwie bródkę,
W zielonych oczach pycha lśni bez granic.
Wenus spuściła oczy i cichutko,
Ledwie słyszalnie wyszeptała: „Za nic!

Nie żądaj tego, przepotężny panie!
Gdy serce milczy, byłby to czyn niski.
Gdy mej miłości zaświta zaranie,
Dla oblubieńca chowam swe uściski."

Spąsowiał władca harde słysząc słowa,
Klasnął na sługi — potulne morderce,
„Niechaj spróbuje bez rąk obejmować,
Gdy zechce kochać. Odrąbcie jej ręce!"

Wraże siekiery odcięły ramiona
Pięknej dziewczyny, co wybrała prawość.
Za sprawą bólu jest w kamień zmieniona
I pochowana na wzgórzu, pod trawą.

Minęły wieki. Upadł Rzym. W popiele
Znaleźli Wenus pod całunem ziemi.
Stali kopacze, jakby cud ujrzeli,
Nie mogli odwieźć od leżącej źrenic.

Na jej obliczu ni śladu rozpaczy,
A tylko dobroć i nadludzkie piękno...
I my też z drżeniem patrzymy, nie bacząc,
Że podziwiamy Wenerę — bezręką.

(z tomu „Sirień cwietiet". Moskwa 1969)

przełożył
Tadeusz Chróścielewski

PASZKOW JURIJ WASILIEWICZ

Jurij Wasiliewicz Paszkow urodził się 8 grudnia 1930 roku w Kostromie. W 1948 roku wstąpił na Uniwersytet Moskiewski im. Łomonosowa, na Wydział Filologiczny. W tymże roku w gazecie miejscowej w Rosławiu opublikowano pierwszy wiersz J. Paszkowa „Demokraci z Wall-street". Jako student J. Paszkow kontynuował swoją twórczość pisarską, występował również w prasie jako recenzent (w gazecie „Moskiewski komsomolec"). W 1953 roku, skończywszy z wyróżnieniem uniwersytet, rozpoczął pracę w gazecie smoleńskiej „Smiena" jako kierownik literacki działu — „Życie komsomolskie", propaganda i agitacja

Od 1956 do 1965 roku był korespondentem „Komsomolskiej Prawdy" w obwodzie smoleńskim. W „Smienie" Paszkow prowadził dział satyryczny „Wasja Strużkin". W rubryce tej było opublikowanych niemało wierszowanych felietonów, satyrycznych czastuszek, baśni.

Pierwszy zbiorek wierszy poety — „Ziemska radość" ukazał się w Smoleńsku w 1959 roku.

W 1966 roku J. Paszkow uczestniczył we Wszechzwiązkowym Konkursie Poetyckim „Nasza Ojczyzna", zorganizowanym przez „Komsomolską Prawdę". Na stronicach tej gazety opublikowano kilka wierszy młodego poety. Jury przyznało mu jedno z pierwszych miejsc w konkursie. Najlepsze wiersze uczestników konkursu zostały opublikowane w zbiorku „Szkarłatne żagle".

W 1962 roku w Smoleńsku wyszedł drugi zbiorek wierszy J. Paszkowa – „Siedmiokolorowy most", otrzymując bardzo pochlebne recenzje w „Komsomolskiej Prawdzie" i „Raboczem Puti".

W 1963 roku Smoleński Związek Pisarzy skierował pisarza do Moskwy na IV Wszechzwiązkowe Sympozjum Młodych Pisarzy. Jego zbiorki („Ziemska radość", „Siedmiokolorowy most") były dyskutowane na seminarium, które prowadził poeta J. Smieliakow. Wkrótce potem J. Paszkow został przyjęty (maj 1963 rok) do Związku Pisarzy ZSRR

J. Paszkow często publikuje artykuły i recenzje na tematy literatury. Jest autorem artykułów o twórczości I. Sokołowa-Mikitowa, M. Isakowskiego, A. Twardowskiego, N. Rylenkowa, i innych.

Obecnie J. Paszkow jest sekretarzem Smoleńskiego Związku Pisarzy.

Województwo łódzkie już od 15 lat współpracuje z Ziemią Smoleńską. Jednym z trwałych dokumentów tej współpracy są tłumaczenia utworów pisarzy i poetów Ziemi Smoleńskiej i publikowanie ich w prasie polskiej.

Wysoko cenią to sobie Smolanie.

W liście sekretarza Związku Pisarzy w Smoleńsku, Jurija Paszkowa, skierowanym niedawno do Zarządu Wojewódzkiego Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej w Łodzi czytamy:

„Przekażcie pozdrowienia i podziękujcie poecie, Tadeuszowi Chróścielewskiemu za dobry przekład mojej „Wenery". Stanowi to dla mnie piękny upominek".

A poeta, Siergiej Maszkow, w ostatnim liście do Zarządu Wojewódzkiego TPP-R w Łodzi pisze:

„Wyrażam ogromną wdzięczność drogiemu Stanisławowi Ostapowiczowi za wspaniały przekład moich wierszy. Równie serdecznie dziękuję Janowi Huszczy za jego wiersze, pełne liryzmu i ciepła, przeniknięte zwykłymi ludzkimi przeżyciami. Styl Jana Huszczy jest bardzo prosty i to sprawia, że jego twórczość jest rozumiana i głęboko wzrusza".

Wiersze radzieckich poetów Smoleńska i Ziemi Smoleńskiej są bardzo proste, a jednocześnie oryginalne w wyrazie artystycznym.

WŁADYSŁAW STRZELECKI

LEONID KOZYR

LIPY pod WSIĄ RUSSKOJE

Spójrz: lipy. Podobne niełatwo już spotkać na Smoleńszczyźnie
Uroczyskach —
Tak zwaliste, tak sękate, gęstymi znaczone blizny
Pniska.

Ich konary jak rozłożyste i jakżeż w świt chabrowo —
Czarne!
Nie oracze to dłonie — i nie dłonie — a przecież, daję słowo,
Mocarne.

Spojrzę... prast czapką, o ziemię! Przeogromne, przegałęziste.

Kto was strzegł,
Że pod wichrami, piorunami przetrwałyście
Wieków wiek?!

Prastara smoleńska wieś o nazwie omszałej: Russkoje —
Starowieś —
Wielka, wzgórzysta. Tam rezerwat, przesmyki, wyboje,
Blask nad listowiem.

Światłocień lip miodowych zaklętym w świateł bursztynach pięknem
Do głębi wzruszy...
Tam pociągnąłem haust z nieśmiertelności Twej świętej,
Moja Rusi!

przełożył Tadeusz Chróścielewski

KOZYR LEONID IWANOWICZ

„Geograficzna skala wierszy Leonida Kozyra jest bardzo szeroka: od ukraińskich stepów do syberyjskiej tajgi. Poeta kocha przyrodę i stara się przekazać całe jej niepowtarzalne piękno, ale pejzaży, w których nie ma ludzi w twórczości Kozyra nie spotyka się. Przyroda ożywa u niego tylko tam, gdzie pojawia się człowiek" — tak charakteryzował twórczość Kozyra poeta N. Rylenkow.

L. I. Kozyr urodził się 22 września 1930 roku w Nieżynie, w rodzinie oficera W bibliotece domowej Kozyrów razem z tomami Tarasa Szewczenko, Łesi Ukrainki, Iwana Franko można było znaleźć Puszkina, Lermontowa i Niekrasowa... Swój pierwszy wiersz Kozyr zapisał między wierszami starej, zniszczonej książki. W czasie pełnienia służby w armii przebywał na Syberii, Zauralu, Zabajkalu... W 1953 roku wstąpił do KPZR. Uczył się w Leningradzie. Po ukończeniu studiów został korespondentem wojennym.

L. Kozyr — major rezerwy, deputowany Miejskiej Smoleńskiej Rady Związków Zawodowych, współpracownik smoleńskiej obwodowej gazety „Raboczyj Put'". Już piąty rok z rzędu pracownicy redakcji wybierają go sekretarzem organizacji partyjnej.

Pierwszy zbiorek wierszy L. Kozyra – „Wasz kolega z pułku" został wydany przez Wydawnictwo Literatury Wojennej w 1963 roku. Wstęp napisał do zbiorku N. Rylenkow. Następnie ukazały się: w Smoleńsku książka „Ulewy i tęcze", a w wydawnictwie „Moskiewski robotnik" – „Liść na asfalcie" i „Jar".

Oprócz wierszy L. Kozyr pisze eseje, scenariusze dla telewizji, zajmuje się również publicystyką. Jego ulubione tematy to — armia i jej ludzie, z którymi do dziś łączą go przyjacielskie stosunki, pracownicy produkcji, hobbyści, zbieracze i wykonawcy folkloru rosyjskiego.

Od 1961 roku L. Kozyr jest członkiem Związku Literatów.

W 1970 roku został przyjęty do Związku Pisarzy ZSRR.

ALEKSY MISZYN

* * *

Wiart spętany trawą,
Która w dymiącym swym łonie zanurza stada,
Nagle pochyli się rudą grzywą kurzawy
Nad samotnym w polu śladem.

Gdy słońce się zjawi, mgła stopnieje jak śnieg,
Promień do okna wioski pszczołą stroskaną zadzwoni.
Wychodzą ludzie i ziemia podnosi powieki
I daje im dobroć jak ciepło dłoni.

Dotknę sobą białoskórej brzozy,
Chciwie przytulę się twarzą do kwiecia —
Przypomnę sobie twarz matki wśród dojrzałych kłosów,
Młody uśmiech ojca do dzieci.

Kiedy nachylam się nad łąką wesołą,
W jej otwartych źrenicach zielonych
Widzę dawne twarze przemienione w pszczoły,
Czuję obecność moich ranków minionych.

Dlaczego w deszczach przelotnych i w żółtym tchnieniu jesieni
Niepokoi mnie wszystko, co czas nie przemienia.
Pewnie sama przyroda chce sobą utrwalić
We mnie, który przeminie, swoją odwieczną pamięć.

Przełożył z rosyjskiego Wasyl Kocznow.

MISZYN ALEKSIEJ WIKTOROWICZ

Poeta A. W. Miszyn urodził się we wsi Zujewka rejonu Rosławskiego obwodu smoleńskiego 18 października 1936 roku.

Po ukończeniu Technikum Transportu Kolejowego kontynuował naukę w Smoleńskim Instytucie Pedagogicznym. Pracował na Dalekiej Północy i w wagonowni smoleńskiej. Pracował też jako korespondent obwodowego radia i w Obwodowym Komitecie Komsomołu.

Wiersze Miszyna drukowane były w gazetach centralnych: „Życie na wsi", „Literacka Rosja", w czasopismach „Radziecki bojownik", „Młodzież na wsi", we wspólnych zbiorkach wydawnictwa „Moskiewski robotnik", a także w zbiorkach i gazetach wychodzących na Smoleńszczyźnie.

W wydawnictwie „Moskiewski robotnik" wyszedł zbiorek jego wierszy „Sam na sam z Rosją", w wydawnictwie „Młoda gwardia" — drugi zbiorek wierszy — „Koła(Pierścienie)"

Głównym tematem w twórczości poety jest rodzinny kraj. Pisze o współmieszkańcach, o kobietach rosyjskich, które przeżywały tragedie wojenne, a mimo to „wracały życie na spalonej ziemi".

Szczerość, elementy folkloru, liryzm wierszy A. Miszyna przyciągają uwagę czytelników, którzy w wierszach poety znajdują swoje własne myśli i uczucia.

SIERGIEJ MASZKOW

TAK RODZIŁA SIĘ PRZYJAŹŃ

Niedawno oglądałem wspaniały film, poświęcony bohaterskiej przyjaźni dwóch miast Leningradu i Gdańska. Ale nie był to film fabularny. Radzieccy i polscy dokumentaliści stworzyli emocjonalny, wzruszający szkic filmowy, w ramach którego przekonywająco i stopniowo odtworzyli poszczególne etapy rozwoju i utrwalenia przyjaźni oraz jedności dwóch miast nad Bałtykiem, w równym stopniu zniszczonych w latach drugiej wojny światowej. Jednak myśl przewodnia tego filmu przekracza ramy określone przez sam tytuł, gdyż jest przede wszystkim odzwierciedleniem bohaterstwa, wzajemnej pomocy i bezinteresownej przyjaźni, wiążącej polski i radzieckie narody. Ten film posiada tytuł „Zegar wieżowy (kuranty) dwóch miast". Gdy oglądałem fragmenty, przedstawiające dzisiejszy Gdańsk, przeszło mi raptem przez myśl, że zegar wieżowy Ratusza Gdańskiego wygrywa dobrze mi znaną melodię. Kiedy wyszedłem z kina, owa melodia jeszcze rozbrzmiewała w mej pamięci. Gdy wróciłem do domu, usiadłem przy fortepianie i kilka razy przegrałem ją od początku do końca... odżyły w pamięci surowe lata minionej wojny. Przypomniałem sobie maleńką, zagubioną wśród pagórkowatych pól, smoleńską wioskę — Jurkowicze. Zamajaczyły w pamięci przeszłe lata. Grudzień 1943 roku. Pierwsze miesiące odradzającego się życia, gdy oddziały Armii Radzieckiej wyzwoliły spod okupacji hitlerowskiej zniszczoną, niemalże całkowicie spaloną Smoleńszczyznę.

Pewnego mroźnego dnia, do wioski w której się znalazłem bezpośrednio po pierwszym zbombardowaniu Smoleńska w końcu marca 1941 roku, w wielkich wojskowych „saniach" ciągniętych przez parę małych mongolskich koników, przyjechało kilku ludzi ubranych w nieznane mi mundury wojskowe. Kształtnie, ładnie się prezentujący w swoich szynelach koloru „chaki" — i czapkach „uszankach", upiększonych białym orzełkiem, ludzie ci od razu wzbudzili powszechne zainteresowanie. I, prawdopodobnie, wiedząc o tym, jeden z nich, witając się powiedział, miękko wymawiając: — Należymy do Wojska Polskiego. Jesteśmy sojusznikami. Proszę wskazać, gdzie tu mieszka przewodniczący kołchozu? Drugi natomiast zapoznając się powiedział po rosyjsku. Dzień dobry. Zapoznajmy się — Piotr Dmitriewicz porucznik Wojska Polskiego — i szeroko się uśmiechając, dodał

— Nie lękajcie się chłopaki. Niebawem się zaprzyjaźnimy! Tak po raz pierwszy spotkałem się z oficerami Wojska Polskiego. A nazajutrz wieczorem, my podlotki już spotykaliśmy wkraczający do wioski jeden z batalionów strzelców dywizji, której dowódcą był Zygmunt Berling.

Słowa wypowiedziane przez porucznika Dmitriewicza istotnie już wkrótce znalazły pełne pokrycie. Żołnierze i oficerowie z batalionu, którego dowódcą był Kołosowski (niestety, czas wywietrzył z mojej pamięci jego imię oraz szarżę), rozkwaterowani w poszczególnych „izbach" wioski, już w pierwszych dniach swego pobytu odczuli pełen serdeczności i przyjaźni stosunek do siebie ze strony ludności naszej przytulnej wsi o dźwięcznej i ładnej polsko-białoruskiej nazwie — Jarkowicze.

Rozkwaterowani po wiejskich chałupach Polacy w czasie wolnym od zajęć jak mogli wyręczali swoje gospodynie w ich domowych kłopotach, rąbali drzewo, nosili wodę ze studni, uprzątali śnieg itp. Wieczorami zaś, niedługo już przed snem zbierali się na apel i wówczas, w mroźnym błękicie zimowych wieczorów we wsi rozbrzmiewała uroczysta i majestatyczna melodia „Roty". Właśnie ta melodia, którą po trzydziestu latach, usłyszałem i od razu rozpoznałem w dźwiękach płynących z ratuszowego zegara wieżowego w Gdańsku...

Po ojcowsku dobrotliwie traktowali nas, podlotków osiwiali starzy żołnierze, nieraz oddając nam swoją skąpą rację cukru. Nie, nie, żaden z nich nie żądał niczego w zamian, gdyż czuł się w stosunku do nas, jak ojciec, bo widział w nas, wychudzonych i zmizerniałych chłopakach, swoje pozostawione gdzieś daleko dzieci.

Rozumiejąc to i doceniając tę iście ojcowską szczodrość, myśmy przynosili dla nich chleb, który stanowił niezły dodatek do niezbyt obfitej w tych ciężkich latach wojny żołnierskiej racji.

W ten sposób każdy wiejski chłopak miał wśród polskich żołnierzy swoich przyjaciół. I ja także miałem przyjaciół. Wielkich, szczerych przyjaciół, szczególnie wśród artylerzystów z baterii przeciwpancernej, którą dowodził chorąży Aleksander Gutowski. Jeden z nich: Marian Koniasty był bardzo wesołym i towarzyskim chłopakiem. Mówił po rosyjsku dość płynnie, aczkolwiek posiadał specyficzną wymowę. Różnica wieku między nami była niewielka. Ja liczyłem sobie 15 lat. On zaś 18. Pochodził, o ile sobie dobrze przypominam, ze Lwowa. Był żołnierzem z plutonu łączności, który został zakwaterowany w izbie jednego z moich przyjaciół - rówieśników.

Pewnego wieczoru, w tajemnicy przed matką wpadłem do Mariana na papierosa. Miał bowiem wymiętą żołnierską machorkę — zalety której, niestety już wówczas były mi aż nadto dobrze znane. Kurząc „zakrętki", wyszliśmy z Marianem na ulicę. Tu, właśnie, bez niepotrzebnych świadków doszło do omówienia „interesu."

— Słuchaj, Ser, może potrzebujesz narty? Mogę ci tanio sprzedać... przystąpił do „sprawy" Marian.

— Ile?

— Dwa bochenki chleba.

— Zgoda!

Interes załatwiono.

Gdy przybiegłem do domu, opowiedziałem o wszystkim matce. No, powiedzcie sami, która to matka, mając najmniejszą chociażby ku temu możliwość, odmówi swemu synowi nabycia sprzętu tak naprawdę niezbędnego i potrzebnego każdemu chłopakowi? Znów, radośnie podskakując pobiegłem do Mariana. Interes został ostatecznie przypieczętowany. Pod osłoną wieczornych ciemności wróciłem do domu z nowiutkimi nartami. Marian zaś dostał dwa bochenki żytniego, wiejskiego razowca.

Narty schowałem na strychu. Już nazajutrz rano wgramoliłem się tam, aby lepiej przyjrzeć się moim skarbom. A narty istotnie były wspaniałe. Lekkie, długie, obficie wysmarowane pachnącym smarowidłem, mocne, pięknie i zgrabnie wykończone... wzbudzały one we mnie niepohamowany, chłopięcy zachwyt.

W wyobraźni już widziałem siebie, jak ślizgam się po iskrzącym się w blasku słońca białym dywanie śniegowym, zjeżdżam mknąc jak skała ze stromych pagórków. Tak! Teraz to były moje własne narty. Na połyskującej powierzchni narty wyryte były litery P.Z. (Pluton Łączności) oraz liczba 13. Później przekonałem się sam, że istotnie jest to liczba nieszczęśliwa.

Przez kilka dni chowałem swój skarb w tajemnicy przed światem. Jednak pokusa była tak wielka, że już wkrótce nie wytrzymałem. Z początku nieśmiało, później zaś nabierając odwagi, nawet w dzień rozpocząłem jazdę na nartach, które sprzedał mi Marian. Radość moja nie miała granic. Ale tu zdarzyło się coś całkiem nieprzewidzianego. Pokłóciłem się ze swoim przyjacielem, u którego mieszkał Marian. Pewnego razu, jadąc na nartach spotkałem się z nim. Zazdrosnym okiem spoglądając na mój skarb, zauważył on prawdopodobnie wyrzeźbione na nartach dobrze mu znane litery oraz liczbę „13". Nie mówiąc więc ani słowa, zawrócił się i poszedł do domu. Ogarnęło mnie nagle jakieś złe przeczucie. Jednak pragnąc je stłumić naśladując prawdziwego, wytrawnego wysokogórskiego narciarza, usiłowałem osiągnąć szczyt pagórkowatego wzniesienia... Nim zdążyłem zjechać na dół, przede mną, jak spod ziemi stanął plutonowy. Przełożony Mariana. Serce, oczywiście uciekło mi do pięt.

— Skąd masz te narty? — zapytał plutonowy.

Pozwolono mi trochę pojeździć... ledwie wyjąknąłem.

— Kto pozwolił?

— .....

— No, mów, kto? Może Marian?

— O...owszem.

— A może je sprzedał?

— Nie, po prostu pozwolił trochę się przejechać"... Odpowiedziałem bez mrugnięcia okiem, usiłując w ten sposób „ratować" Mariana.

Zwróciłem jednak narty plutonowemu i, ledwie powłócząc nogami poczłapałem do domu.

Niebawem dowiedziałem się, że Mariana wsadzono do „kozy".

Biedny Marian. Cierpiał z mojej winy. A, jednak, nie zdradziłem plutonowemu tajemnicy naszych handlowych pertraktacji.

MASZKOW SIERGIEJ MICHAJŁOWICZ

Poeta S. M. Maszkow urodził się 20 kwietnia 1928 roku we wsi Szczelkanowo obwodu smoleńskiego. Dzieciństwo i młodość spędził na Smoleńszczyźnie. Będąc w 1948 roku powołanym do armii, służył w wojskach powietrzno-desantowych jako radiotelegrafista.

Wybór pierwszych wierszy opublikował w 1951 roku. Po demobilizacji S. Maszkow powrócił do Smoleńska i w grudniu 1951 roku rozpoczął pracę w wagonowni smoleńskiej. Pracował jako elektromonter, ślusarz, tokarz i kontynuował przy tym swą pracę pisarską.

W 1954 roku przy poparciu N. I. Rylenkowa wydrukowano wiersz S. Maszkowa „Do przyjaciela", w almanachu „Literacki Smoleńsk". Od tej pory jego wiersze zaczęły regularnie pojawiać się na stronicach smoleńskich gazet — „Raboczyj Put'" i „Smiena", w almanachach i wspólnych zbiorkach, a także w gazetach „Sowietskaja Rossija" i „Gudok", w czasopismach „Młody kołchoźnik" i innych oraz przekazywane były na antenie radzieckiego radia.

W 1968 roku pojawił się zbiorek wierszy S. M. Maszkowa „Ciepły deszcz". Swoje wiersze poeta poświęca miastu nad Dnieprem-Smoleńskowi, jego historycznej, bohaterskiej przeszłości, mieszkańcom Smoleńszczyzny i ich pracy, przyrodzie rosyjskiej.

ŚWIAT • POLITYKA • WYDARZENIA • KOMENTARZE

U PRZYJACIÓŁ

W styczniowym numerze miesięcznika „Inostrannaja Litieratura" znalazło się kilka interesujących poloniców.

80-tą rocznicę urodzin Juliana Tuwima uczczono opublikowaniem wyboru satyrycznych i humorystycznych utworów pisarza, wydanych pod wspólnym tytułem: „Ironiczna proza".

W dziale recenzji tego pisma ukazało się omówienie opublikowanego przez wydawnictwo „Iskusstwo", obszernego zbioru „Współczesny dramat polski", obejmującego utwory kilkunastu współczesnych autorów, od Szaniawskiego, Kruczkowskiego i Iwaszkiewicza po Różewicza i Bordowicza.

„Polska sztuka dramatyczna — pisze recenzent tej gazety B. Rostocki — stale przyciąga uwagę radzieckiego czytelnika. Zainteresowanie to wzmogło się po zorganizowanych w ZSRR w 1965 i 1970 roku festiwalach polskiej dramaturgii.

Obecny zbiór będący w pewnym sensie kontynuacją wydanego w 1966 roku tomu „Współczesne sztuki polskie", rozszerza znacznie znajomość polskiej dramaturgii w Związku Radzieckim.

W omawianym numerze znaleźć można również informację o adaptacjach teatralnej i filmowej powieści Edwarda Redlińskiego „Awans".

* * *

Jedną z najznakomitszych tancerek świata jest Maja Plisiecka, odznaczona Nagrodą Leninowską i tytułem Ludowego Artysty ZSRR. W ostatniej „Junosti" artystka wypowiada się o własnej twórczości i sztuce baletowej w ogóle.

Oto jej odpowiedź na pytanie: czy posiada momenty zwątpienia i jak z nimi walczy:

—Nie powiem żebym przeżywała jakieś specjalne kryzysy, ale chwil wątpliwości i niewiary — mnóstwo! Co prawda, znikają one po każdym udanym występie, po czym wszystko rozpoczyna się od nowa... Ilekroć tańczę w „Jeziorze Łabędzim", a występów tych bez liku, na osiem taktów przed wyjściem na scenę, robi mi się wręcz niedobrze... No, cóż, wynika to po prostu z tego, że każdy występ baletowy to wielkie ryzyko. Nigdy się nie ma pewności sukcesu".

* * *

W Związku Radzieckim w chwili obecnej działają 553 teatry zawodowe w 226 miastach. Znajdują się wśród nich tak oryginalne i unikalne placówki, jak teatr operowy dla dzieci, teatr mimiki i gestu dla głuchych czy teatr — studio aktora filmowego. W najbliższym okresie czasu w ZSRR rozpocznie pracę blisko 50 nowych zawodowych scen. W Kraju Rad występują ponadto setki amatorskich zespołów operowych, baletowych i dramatycznych, działających przy klubach fabrycznych i pałacach kultury.

Kiedy zapada wieczór, przed gmachami moskiewskich teatrów spotkać można ludzi, którzy z nadzieją zwracają się do przechodniów z pytaniem, czy nie posiadają przypadkiem zbędnego biletu. Jest to chyba najlepsza odpowiedź dla tych krytyków, którzy przepowiadali spadek zainteresowania teatrem. Z wielkim też entuzjazmem spotykał się projekt tworzenia filii teatrów zawodowych przy pałacach kultury i klubach robotniczych Moskwy. Filie tego rodzaju zorganizowano już przy teatrach im. Mossowieta, Satyry i Sowremienniku.

Teatry zawodowe otrzymują dotacje państwowe, zespołami zaś amatorskimi opiekują się związki zawodowe. Bilety teatralne są tanie. Ich ceny są stałe i niezależne od repertuaru czy zespołu wykonawców. Od zakończenia drugiej wojny światowej nie podwyższono ich ani razu.

* * *

Przełomowemu wydarzeniu drugiej wojny światowej, jakim była bitwa pod Stalingradem, poświęcona jest panorama, nad którą pracuje grupa moskiewskich malarzy ze Studia im. Grekowa. Dzieło to będzie można oglądać w specjalnym budynku wznoszonym w Wołgogradzie, w pobliżu domu sierżanta Pawłowa, który wsławił się w obronie miasta.

Panorama bitwy stalingradzkiej będzie największym tego rodzaju dziełem na świecie. Jej wysokość wyniesie 16 metrów, a obwód będzie miał 120 metrów. Autorzy wybrali początek operacji okrążającej i likwidację hitlerowskiego zgrupowania w rejonie Kurhanu Mamaja. Znajdą się tu również niektóre inne bohaterskie czyny obrońców miasta. Każdy epizod ilustrować ma autentyczne wydarzenie, a każda przedstawiona w niej postać miała swego odpowiednika w rzeczywistości.

Wyszukiwanie materiału i dokumentów, spotkania z uczestnikami historycznych zmagań, oglądanie radzieckich i niemieckich filmowych kronik wojennych, cała ta praca dokumentacyjna zajęła twórcom kilka lat. Rezultatem tych wieloletnich wysiłków jest projekt panoramy, który zdobył aprobatę rady artystycznej Studia im. Grekowa, i uczestników bitwy stalingradzkiej. Na podstawie tego szkicu już w tym roku rozpoczną się prace nad panoramą.

Nadmienić należy, iż z ośmiu członków zespołu autorskiego, sześciu walczyło na frontach Wielkiej Wojny Ojczyźnianej.

(J)

WZYWAM PATROL 13–6...

NOC W DETROIT

Niedawno pewna stewardesa naraziła się na duże przykrości, kiedy podczas lądowania samolotu na lotnisku w Detriot powiedziała do pasażerów: „Witajcie serdecznie w amerykańskiej stolicy zbrodni!"...

A przecież prawdą jest, że pod względem przestępczości Detroit zajmuje pierwsze miejsce w Stanach Zjednoczonych. Statystyka ciężkich przestępstw w tym mieście, jak informuje prasa amerykańska, napawa przerażeniem. W okresie od roku 1967 do 1970 ilość ich wzrosła ze 110 tysięcy do nigdy dotąd nie notowanej liczby 160 tysięcy rocznie. Federalne Biuro Śledcze podaje, że w Detroit notuje się także największą ilość zabójstw w porównaniu z innymi miastami w USA.

W roku 1973 na każdych 100 tysięcy mieszkańców tego miasta przypadały przeciętnie 44 zabójstwa. Problem ten jest głównym tematem rozmów na spotkaniach towarzyskich, w restauracjach, kawiarniach, na ulicach.

Pewna mieszkanka Detroit, matka trojga dzieci, przyznała się reporterowi londyńskiego „Sunday Times Magazine", że już pięć lat nie była w centrum miasta. Co trzeci mieszkaniec miasta nosi przy sobie pistolet, przy czym niemała ich część należy do bardzo szanowanych obywateli miejscowego społeczeństwa. Z kolei policjanci, nawet jak na amerykański „standard", zbyt często naciskają na spusty rewolwerów.

Blisko trzy czwarte zabójstw w Detroit dokonują krewni lub bliscy znajomi ofiar. Dzięki temu policja wykrywa około 70 procent tego rodzaju przestępstw. Szef miejscowoej policji, Filip Thannion, opowiada, że w większości przypadków po przybyciu na miejsce zbrodni policja zastaje mamusię lub tatusia z dymiącym pistoletem w ręku. „Ale przecież — mówi szef policji — nie sposób posadzić policjanta w każdej kuchni". W czterech przypadkach na pięć — Murzyn zabija Murzyna. Ale w Detroit jest bardzo mało białych, przenoszą się oni bowiem do rozrastających się szybko osiedli podmiejskich, usytuowanych w promieniu kilkunastu, a nawet kilkudziesięciu kilometrów od śródmieścia.

Do najbardziej ekskluzywnych należy Hunters Ridge, położone około 30 kilometrów od centrum Detroit. Osiedle to, o powierzchni dwudziestu kilku hektarów, otoczone wysokim murem z cegieł „zwieńczonym" poczwórnym rzędem drutów kolczastych, przypomina z daleka średniowieczne umocnienie, „oazę bezpieczeństwa" na rozległej równinie stanu Michigan. Czynsz jest bardzo wysoki: wynosi około 300 dolarów miesięcznie i więcej. Mieszka w tym osiedlu niejako „specjalna klasa" ludzi i jeśli się nie zarabia minimum 20 tysięcy dolarów rocznie, lepiej tu nawet nie zaglądać. Mieszkańcy osiedla mogą zaspokoić każdą zachciankę, mają klub, basen z podgrzewaną wodą, ba, nawet fińską saunę. Projektodawcy osiedla, które, nawiasem mówiąc, przynosi im kolosalne dochody, uważają, że stworzyli coś w rodzaju współczesnej „krainy sielankowej szczęśliwości" ze wszelkimi szykanami. Jednakże największym magnesem osiedla jest zapewnienie bezpieczeństwa. W ogłoszeniach podkreśla się plusy życia na „strzeżonym i otoczonym murem terenie", a szczególny akcent kładzie się na fakt, iż „oazę" patroluje dniem i nocą dobrze uzbrojona straż.

Hunters Ridge nie jest w USA zjawiskiem unikalnym. W miarę jak zamożni Amerykanie opuszczają centralne rejony miejskie, podobnie obwarowane osiedla pojawiają się na obrzeżach wielkich miast na całym terytorium Stanów Zjednoczonych. Oczywiście nie wszystkie są aż tak wyizolowane, jak Hunters Ridge, ale przyczyny ich powstawania są wszędzie identyczne — stały wzrost przestępczości w wielkich miastach.

Niedawno reporter brytyjskiego tygodnika „Observer" spędził kilka godzin w samochodzie policyjnym patrolującym Detroit.

— Byłem w 13 komisariacie policji — pisze brytyjski dziennikarz — w rejonie, w którym szaleństwo zabójstw osiąga swoje apogeum. Jest to niewielki sektor centrum Detroit, zabudowany niegdyś pięknymi domami, dziś chylącymi się ku ruinie. Zamieszkują je Murzyni. Jest tu takie mnóstwo problemów społecznych: bezrobocie, alkoholizm, narkomania, prostytucja, itp, że nawet najbardziej zapalony socjolog dostanie zawrotu głowy. Każdego roku w tej dzielnicy, liczącej 91 tysięcy mieszkańców, popełnia się więcej zabójstw, niż w całym 8-milionowym Londynie.

Kiedy wszedłem do komisariatu, odniosłem wrażenie, że trwają tu przygotowania do jakiejś akcji bojowej. Żółty kolor lamp gazowych zawieszonych pod niskimi sufitami kontrastuje z gładką powierzchnią ścian z grubych szklanych płyt, które zastępują okna. Przedstawiam się. Dyżurny, Bob Osowski, załatwia mnie z miejsca: „Pan ma bzika! To nie jest kraj, gdzie śpiewają „Boże zachowaj królową!" Ludzi dziurawi się tutaj bez czesując" wszystkie dojścia do komisariatu. Ekrany mają jakieś hipnotyzujące właściwości: nie można od nich oderwać oczu.

W każdym możliwym miejscu tej wielkiej poczekalni umieszczono gabloty, w których leżą trofea policjantów: pistolety, noże, pałki itp. Jest tu również mała ekspozycja przeróżnych urządzeń do produkowania i ukrywania narkotyków. W rogu stoi automat z gumą do żucia.

Wchodzi oficer dyżurny, muskularny, barczysty porucznik Leo Caldwell. „Leje jak z cebra — mówi, ocierając twarz ręką. — W deszcz ludzie siedzą ciszej. Będzie pan miał spokojną noc."

Proponuje mi obejrzenie cel więziennych. Osowski rozparty w fotelu znów warczy: „Tu nie cackają się z przestępcami". Cele w męskim oddziale są małe jak klatki, na które podzielono jedno duże pomieszczenie. Światła nie ma i panuje w nich półmrok. Caldwell próbuje włączyć oświetlenie, ale nic z tego, urządzenie nie działa. Grube pręty krat, drewniane ławki. Cela przypomina klatkę goryla w prywatnym zwierzyńcu, którego właściciel dopiero co zbankrutował. W celach — dwóch zatrzymanych Murzynów. Jeden śpi, drugi siedzi na podłodze przy kratach. „Ciężko, ciężko" — mówi półgłosem, kiedy mijamy celę. Nawiasem mówiąc, na terenie 13 komisariatu na rok więzienia skazuje się przeciętnie co dziesiątą osobę.

O 20,35 wchodzi ekipa samochodu patrolowego nr 6. Kierowca — Jim Lyly, 32 lata, były robotnik budowlany. Drugi członek ekipy — Al Wilson lubi pożartować i śmiejąc się głośno kładzie ręce na biodrach. Ma 26 lat. Jest Murzynem, przyjechał do Detroit z Arkansas po demobilizacji z wojska. Z jednej wojny trafił na drugą. Ma miły dla ucha sposób przeciągania słów. Z szerokiego kowbojskiego pasa zwisają ciężko dwa rewolwery w czarnych kaburach, kaliber 38. Poza tym w samochodzie, przy tablicy rozdzielczej, w specjalnym schowku leży karabin śrutowy. Na siedzeniach leżą kuloodporne kamizelki i karabin. W bagażniku — karabin dużego kalibru z lunetą i zapas rakiet oświetlających.

Siadam na tylnym siedzeniu i ruszamy w drogę. Niebawem otrzymujemy przez radio pierwsze polecenie: dyspozytor kieruje patrol samochodowy 13—6 do domu odległego o kilkaset metrów od nas, gdzie, jak donoszą lokatorzy, próbuje się włamać jakiś mężczyzna. Prawdopodobnie uzbrojony. Lyly naciska pedał gazu. Podjeżdżamy pod wskazany adres, otwieramy drzwi. Przed nami drugie drzwi obite żelazną blachą. Dzwonka nie ma i Wilson puka. Drzwi otwiera młoda Murzynka, która od razu zaczyna gderać, że „wiecznie przysyłają do niej policjantów — Murzynów." Wyjaśnia, że pokłóciła się z sąsiadami i teraz wykrzykuje: „Niech tylko jeszcze raz spróbują! Postaram się o pistolet i wtedy im pokażę!" Powstrzymując śmiech Wilson przerywa „Okey, paniusiu, tylko przed strzelaniem wezwij najpierw nas". Salutuje i wracamy do samochodu.

Odjeżdżamy o 21,04. Uprzejmy i pedantyczny Lyly wyjaśnia przy okazji, że połowa alarmów o napadach z bronią w ręku na mieszkania nie odpowiada prawdzie. Jest to po prostu najskuteczniejszy sposób wezwania policji. Dalej patrolujemy nasz rejon. Na razie spokój. Mijamy uniwersytet Wayne'a, strzeżony przez własną policję i samochody patrolowe. Przecinamy dzielnicę „czerwonych latarń". Zostawiamy za sobą nocne kluby i trzeciorzędne lokale rozrywkowe. Dojeżdżamy do skrzyżowania ulic: Clarmont i Woodwarda — głównej ulicy Detroit. W przeddzień pewien reporter kroniki policyjnej w miejscowej gazecie namawiał mnie, żebym postał tu i sprawdził na zegarku, po upływie ilu minut zaczną do mnie strzelać. „No, Angliku, amatorze silnych wrażeń! Założę się, że nie minie nawet osiem minut" — straszył mnie amerykański dziennikarz.

Hamując przed sygnałem świetlnym dostrzegamy samochód, który mija skrzyżowanie w momencie, gdy zapala się czerwone światło. Widać bardzo mu się śpieszy. Nieznaczne naruszenie przepisów drogowych, ale Lyly gwałtownie zwiększa szybkość. Wilson mruczy z aprobatą i ruszamy w pogoń. Zbliżamy się do samochodu. Pełno w nim Murzynów. Bas Wilsona, wzmocniony przez megafon, wypełnia ulicę: „Jechaliście przy czerwonym świetle! Stać!" Ale i tam kierowca naciska na gaz. Samochód zaczyna się oddalać i gwałtownie skręca w lewo. Robimy to samo. Rzuca mną w samochodzie raz w prawo, raz w lewo. Lyly kieruje ostry strumień światła reflektora w lusterko przy kierowcy. Ale samochód skręca znów w lewo, i znów w lewo i jeszcze raz w lewo... Wilson poprawia się na siedzeniu i wyciąga z kabury swój potężny rewolwer... (cdn.)

JERZY CZECH

- **NOWA INICJATYWA W WIEDNIU**
- **SPOTKANIE GROMYKO – KISSINGER W GENEWIE**
- **ECHA MOSKIEWSKIEJ WIZYTY WILSONA**

Pisaliśmy już kilkakrotnie na tym miejscu, że **wiedeńskie rokowania na temat redukcji sił zbrojnych i zbrojeń w Europie środkowej są trudne,** a osiągnięty dotąd postęp nie jest zadowalający. Przedłożona w listopadzie 1973 roku kompleksowa propozycja krajów socjalistycznych wywołała zastrzeżenia Zachodu. Uwzględniając niektóre z uwag — socjalistyczni uczestnicy dyskusji zgłosili w październiku ub. roku nowe propozycje. Niestety, wymiana poglądów na ten temat przeciąga się. Aby nie tracić czasu i nie stwarzać sytuacji, że rozmowom o rozbrojeniu towarzyszy wzrost zbrojeń — **państwa wspólnoty socjalistycznej wystąpiły z nową inicjatywą.** Przewiduje ona, że w czasie rokowań 11 ich bezpośrednich uczestników utrzyma siły zbrojne na nie zmienionym poziomie. W tym celu złożą oni albo wspólną deklarację albo też każde państwo oddzielnie.

Nowa propozycja jest niesłychanie prosta. Nie rozwiązuje problemu zbrojeń, ale je zamraża. Nie zmniejsza też stanu bezpieczeństwa po obu stronach i nie przesądza o stanowisku żadnego z uczestników rokowań w sprawie zakresu, poziomu i etapów redukcji sił zbrojnych i zbrojeń w Europie.

Na przykładzie ostatniej inicjatywy krajów socjalistycznych widać, **jak elastycznie i z głęboką troską o postęp działają na arenie międzynarodowej kraje socjalistyczne.** Jeśli problem wymaga dłuższej dyskusji na skutek rozbieżności stanowisk — przedstawiamy propozycję zawężającą, która poprzedniej nie zdejmuje z porządku, ale pozwala posunąć się naprzód mniejszym krokiem. Nie trzeba dodawać, że tak postępują tylko kraje, którym naprawdę zależy na zapewnieniu pokoju i bezpieczeństwa.

Ostatnio z dziedziny rokowań rozbrojeniowych na uwagę zasługuje też drugi fakt — **spotkania w Genewie min. Gromyki z sekretarzem stanu Kissingerem.** Wiadomo, że ich rozmowa, pierwsza od spotkania władywostockiego, poświęcona była nowej rundzie SALT II. Przypuszcza się, że zapadły postanowienia, ułatwiające przygotowanie tekstu porozumienia o 10-letnim ilościowym i jakościowym ograniczeniu zbrojeń strategicznych.

Na genewskie spotkanie trzeba spojrzeć jeszcze inaczej — wykazuje ono, że **zakłócenie w stosunkach radziecko-amerykańskich, spowodowane omawianą na tym miejscu uchwałą Kongresu, nie hamuje rytmu zabiegów pokojowych.** W tym kontekście zwróciło ono uwagę niemal całej prasy światowej.

H. Kissinger odbył ostatnio dłuższą podróż po krajach Bliskiego Wschodu i Europy zachodniej. Już w Waszyngtonie zapowiedział, że za kilka tygodni powróci znów na Bliski Wschód. Swą wizytę w tym rejonie ocenił z dużą powściągliwością. Znamienne jednak, że powiedział o ścisłym kontakcie, w jakim USA pozostają ze Związkiem Radzieckim w celu dokonania kolejnego kroku w ostatecznym rozwiązaniu bliskowschodniego konfliktu.

W różnych kołach politycznych sądzi się, że **zbliżający się termin wygaśnięcia mandatu sił zbrojnych ONZ na Wzgórzach Golan i Synaju będzie wzmagał napięcie.** Kiedy w październiku i listopadzie ub. roku kończył się pierwszy okres mandatu tych wojsk — z większym prawdopodobieństwem można było oczekiwać jego przedłużenia niż obecnie. O tym zadecyduje polityczny rozwój sytuacji na Bliskim Wschodzie. Dlatego najbliższe trzy miesiące będą niezmiernie ważne.

Wizyta natomiast Kissingera we Francji potwierdziła ocieplenie na linii Waszyngton — Paryż. Jednym z tematów rozmów amerykańskiego sekretarza stanu w stolicy Francji było przedyskutowanie przygotowań do konferencji producentów i konsumentów ropy naftowej. Agencje przypominają, że to właśnie Kissinger miał zastrzeżenia do proponowanej przez Francję konferencji, twierdząc, iż odbiorcy nafty powinni najpierw uzgodnić opinię między sobą.

W dalszym ciągu w polu zainteresowania komentatorów utrzymuje się **moskiewska wizyta premiera Wilsona.** Niespodziewany dla obserwatorów zachodnich zwrot w stosunkach radziecko-brytyjskich szeroko omawiany jest na łamach prasy. Podkreśla się nie tylko **fakt podpisania sześciu wspólnych dokumentów, dynamizujących stosunki polityczne i gospodarcze, ale także identyczność lub zbieżność stanowisk w wielu kwestiach międzynarodowych.** Właściwie po raz pierwszy Wilson tak jednoznacznie opowiedział się w sprawie Eupropejskiej Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy. Zgodne są też opinie obu wielkich mocarstw na temat dróg rozwiązania konfliktu bliskowschodniego oraz niezależności, suwerenności i integralności terytorialnej Cypru. W. Brytania ustami swego premiera podzieliła też opinię co do konieczności takich działań na arenie międzynarodowej, aby pozytywne zmiany w świecie miały charakter nieodwracalny.

To jednoznaczne zaangażowanie się Anglii w najważniejsze problemy współczesnego świata obwieszcza jej powrót na szerokie forum międzynarodowe.

Skoro już o W. Brytanii mowa — zakończmy przegląd ostatnich wydarzeń odnotowaniem **zmiany na stanowisku przewodniczącego Partii Konserwatywnej.** Były premier Heath ustąpił miejsca **Margaret Thather,** która w rządzie konserwatywnym była ministrem oświaty. Reprezentuje ona bardziej prawicowe niż większość konserwatystów poglądy, co zapowiada, że partia przez nią kierowana zmierzać będzie w tym kierunku.

W. SŁAWSKI

RECENZJA

„NIEZALEŻNOŚĆ" GRUNA

Do Gruna nie czuję sympatii, ani mój krewny, ani rzecznik. Życie Gruna jest wyjątkowo mocno nasycone — jedni mówią — próżniactwem, zaś inni — pracą. Pragnę to opisać w wielkim skrócie i uproszczeniu.

Grun ma najmniej powodów, aby obawiać się konkurencji. W kozi róg zapędził trzynastu swoich rywali. Permanentnie rodzą się więc spory o dzieło Gruna. Choć nabierają one przecież za każdym razem trochę innego znaczenia.

Szczególnego rodzaju artysta grafik, satyryk, poeta, aktor, publicysta — zdaniem moim ten ekscentryczny surrealista jest na pewno jednym z największych agentów reklamowych Tygodnika ODGŁOSY. Nie jest wariatem, a przecież w rozmaitych sposobach i procederach ich użycia występują podobieństwa do „jednego z pięciu największych malarzy wszechczasów" Salvadora Dali.

W siedzibie Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich, Klubie, pozawczoraj spotkałem Andrzeja Gruna, a także sprawdziłem sprawiedliwym okiem i jego wystawę grafik. „Cześć stary!" „Jaksiemasz?" „Dobrze, szukam bidetu..." „Po co?" „Od czasu do czasu..." — „Cześć i chwała!" — Wtrąca się do naszego powitania artysta malarz Konstanty Mackiewicz. Ceniony mistrz krajobrazu i puryzmu polskiego, on dopatruje się w osobowości GRUNA jakiejś niezwykłości instynktu geniusza — zagrożonego bałamutną codziennością. Odczuwam tutaj pewną kryptonimowość. Odczuwam sugestię, że pod tymi kryptonimami teraźniejszości kryje się moralizatorska, wręcz intencja dydaktyczna — rozważając socjologię recepcji twórczości Gruna — jako sztuki, musiałbym zacząć od stwierdzenia: romantyczna energia Gruna, literacka przewrotna fabuła gazetowego cyklu „FRYZURY", poznawcza i intelektualna grafika warsztatowa, moralizatorska proza promieniuje i stwarza podstawę dla uznania dorobku autorskiego, do którego coraz bardziej przekonują mnie studia nad życiem tego artysty (o czym traktuję w katalogu do wystawy pt. „Fryzury", który właśnie drukuje się w GPD).

Bronię aktualnie jego osiągnięć. Jego prób artystycznych demaskowania osobliwej totalności, człowieka-wielosymbolu w zakłamanej kulturze masowej, absolutności tylko jednej tendencji w sztuce. Nie posuwam się tak daleko, by mówić: „geniusz". Istnieje on tylko jako autor (dzisiaj) powoływany za każdym razem z okazji nowej wystawy, nowej prozy, nowej satyry, nowej „Fryzury", wreszcie nowej awantury artystycznej... I wtedy cała historia z geniuszem, cała motywacja Konstantego Mackiewicza nabiera odrobiny sensu.

Należałoby sztukę Gruna rozpatrywać w perspektywie socjologii poznania. Ujawienie społecznych uwarunkowań postawy jego, mówiącego o kulturze, polityce i świecie a wypowiadającego się w danym systemie wizualnym i znaku — sprowadza się do tego, by sztukę w wyższym stopniu zdialogować, wprowadzić do niej wielogłosowość. Stąd wyjątkowa wprost metafora w sztuce Gruna; zaś ona właśnie drażni nas ciągle, bo próbuje budować nową alternatywę przyszłości — zalążek gorzkiej czasami refleksji socjologicznej nad zjawiskiem współczesności. Taki rodzaj próby, zdynstansowanej oceny i samooceny; i nie porusza się też wśród tych samych kilku frazesów.

Pamiętając o sposobie traktowania przez Gruna (krytyka plastycznego) umiejętności rzemieślniczych, można bez trudu przewidzieć, że nikłą rolę będzie on przypisywać przyjemnościom estetycznym w przypadku różnego rodzaju akcji konceptualnych, na śniegu, spektakli „czystego" światła uwikłanego w oświetlanie przedmiotów (np. zasuszone buleczki, ułożone pod światło, na piekarniczej desce) itd, itd. Rytmy i układy punktów czy kresek, wbitych w płaszczyznę gwoździ malowanych na biało — nie stanowią jego terenu zainteresowań lecz dramaturgię recenzji plastycznych. Bowiem wielokrotnie odkrywał swoje karty i wątki aternatywne w publicystyce — postawę! „NIEZALEŻNOŚĆ" artystyczna i przeciwieństwo tych dążeń występuje ze szczególną wyrazistością wtedy gdy Grun staje wobec zagadnienia treści w dziele plastycznym w ogóle, a przyjemności estetycznej w szczególności.

Świadczy również o tym jego trudne życie, w którym — wobec zagadnienia stosunku między ideałem estetycznym a zdolnością człowieka — jest cierpienie i czerpanie przyjemności i refleksji z piękna i nafty — konwencjonalnych form energii.

ANTONI SZRAM

KORESPONDENCJA z ZAGRANICY — JAPONIA

ZAKORKOWANY EKSPRESSWAY

JÓZEF POTĘGA

Tę drogę zaczęto budować przed tysiącem trzystu laty. Ówczesną Japonię podzielono wtedy na 8 okręgów i postanowiono, że nowa droga połączy stolicę państwa Kioto z jego granicami. Kiedy zaś w XII wieku do władzy doszedł słynny ród szogunów — Tokugawa, zbudowano na tej drodze zwanej Tokaido 53 stanice, w których czekały zawsze wypoczęte konie pocztowe.

Tokaido miała wtedy od 5 do 12 metrów szerokości, była zbudowana z kamienia przysypanego piaskiem, a po obydwu stronach rosły drzewa i krzewy. Już wówczas liczyła 514 km długości.

Dzisiaj szlakiem Tokaido przebiega ekspressway nr 1, czyli droga szybka — nowoczesna autostrada, bezkolizyjna oczywiście, która przecina osiedla i miasteczka, skroś wielkich aglomeracji zawsze w górze, po estakadach zbiegających się nierzadko w kilka... trzy, albo czteropoziomowe węzły. Jeden z nich kłębi się betonowymi łukami w samym centrum Osaka, niedaleko Grand Hotelu.

Ten supernowoczesny budynek, jak to się w tym kraju często zdarza, wznosi się kilkunastoma piętrami ku niebu i kilkoma, w tym przypadku dwoma, zagłębia się pod ziemię.

Tu w centrum Osaka wszystko lśni czystością, elegancją, solidnością, pewnością, zaufaniem i niezmąconą zda się niczym prosperity. Wieżowce obłożone od dołu czarnym, polerowanym granitem, czarne limuzyny...

Przykrym zgrzytem na tym tle jest stary robotnik budowlany, w białym kombinezonie, czerwonym hełmie, kiedy tak idzie zmordowany pod ścianami gmachów kryjących wielki japoński bussines, by w skromnym mieszkanku zjeść swoją wieczorną porcję ryżu i sałatki z morskiej kapusty polanej sosem sojowym... Człowiek ten wygląda jakby zabłąkał się tu z innego świata, ale on właśnie przypomina nam, zapatrzonych w cuda wysublimowanej cywilizacji technicznej, czyimi jest ona budowana rękami.

Expressway'e uratowały olimpijski honor Japonii, ale dzisiaj, mimo iż są nadal rozbudowywane i właśnie w centrum Osaka można oglądać ogromne betonowe lub stalowe podpory zakończone rozłożystymi głowicami, na których montuje się kolejne przęsła tych gigantycznych mostów — mimo to kraj ten zadusił się już komunikacyjnie...

Można tu bez trudu kupić samochód. Nowa Toyota kosztuje do 1,5 mln yenów (500 tys. y zarabia inżynier w dużej firmie, jednakże bez świadczeń emerytalnych; 130—150 tys. y zarabia nauczyciel szkoły średniej. 1 dolar USA = 300 y). Można więc bez kłopotu kupić nowy, lub odpowiednio taniej używany samochód, ale policja zarejestruje go dopiero wówczas, gdy właściciel udowodni, że ma go gdzie parkować! Jeżeli zdarzy się, że ktoś postawi swój samochód na miejscu ale zajmowanym przez kogoś innego, niewątpliwie zastanie umieszczoną na przedniej szybie kartkę z uprzejmym tekstem:

„Bardzo przepraszam, ale zajął pan moje miejsce parkowania. Bardzo uprzejmie pana proszę o niezajmowanie go nigdy więcej. Z poważaniem...

Kartka zaś jest do szyby przyklejona najlepszym japońskim klejem, i trzeba ją czasem przez kilka godzin zdrapywać...

Jeżeli właściciel samochodu zaparkuje go w miejscu nie dozwolonym, wówczas policjant znaczy kredą koła i asfalt przy nich. Po pół godzinie sprawdza, czy samochód stoi nadal. Jeżeli stoi, wówczas wzywa dźwig i platformę transportową. Samochód jest wywożony na jeden z policyjnych parkingów. Nie wiadomo tylko na który, a opłaty za takie „przechowywanie" są słone. Bywa więc, że zamożny Japończyk jeździ jednym samochodem podczas gdy dwa inne są „aresztowane" na policyjnych parkingach, bo się już nie opłacało ani ich szukać, ani płacić za wykupienie...

Kierowcy japońscy są ludźmi bez nerwów. Nie spotkałem ani raz, aby ktoś „za kółkiem" błysnął światłami, albo zwrócił uwagę klaksonem na jakieś wykroczenie drogowe innego kierowcy albo pieszego. Potrafią kwadransami stać w korkach z pełnym relaksem na twarzy. Zawsze dają pierwszeństwo pieszym, nawet jeżeli włażą oni pod koła. Kierowcy japońscy są uosobieniem spokoju, znakomitej techniki jazdy, kultury, opanowania, bez względu na to czy prowadzą solidną, elegancką limuzynę „Toyopet" (określenie „pet" Anglicy stosują wobec zwierząt hodowanych w domu: psów, kotów, żółwi itp. „Toyopet" — to taka domowa, oswojona Toyota...) wyposażoną w sześć świateł „stop" każde wielkości formatu A4, czy też maleńką „Mazdę" mniejszą chyba od „Fiata 126" wyposażoną w dodatkowe światła „stop" zainstalowane... wewnątrz samochodu, za tylną szybą... A jednak! A jednak w 1970 roku w wypadkach drogowych w Japonii odniosło rany prawie milion osób, niemal 17 tys, poniosło śmierć (10 proc. ofiar stanowią dzieci).

Japonia dusi się motoryzacją Każdy skrawek ulicy, placu, skweru zastawiony jest samochodami. Całe ich watahy przemykają kilkoma pasmami ruchu od skrzyżowania do skrzyżowania, by znowu w karnym ordynku czekać na zmianę świateł. Japonia dusi się. Mimo ekspresswayów!!! Taką właśnie kilkupasmową autostradą wracałem kiedyś do centrum Tokio z odległości ok. 40 km. W niedzielny wieczór ten niewielki dystans pokonaliśmy w ciągu... 2 godzin! (słownie: dwóch godzin!!!). Jechaliśmy w jednym ogromnym korku ulicznym, autostradą ponad dachami domków jednorodzinnych zajmujących ogromne przestrzenie tokijskiej aglomeracji zamieszkanej już przez przeszło 12 milionów ludzi. Ładne miasteczko, nie ma co!!!

Oczywiście za wjazd na ekspressway trzeba płacić, stosownie do rodzaju samochodu i odległości. Przy wjeździe na tę autostradę przejeżdża się między specjalnymi posterunkami mieszczącymi się w oszklonych kioskach i nie zatrzymując wolno jadącego samochodu płaci się: z Osaki do Kioto (ok. 60 km, autokar — 1000 y, za samochód osobowy — 300 y) (równowartość jednego dolara). Z Osaka do Tokio (ponad 500 km) za samochód osobowy — 3,5 tys. y, za autokar ok. 10 tys. y.

Autostrada biegnie na niektórych odcinkach jakby w korycie. Jest po obydwu stronach obudowana betonowymi murkami; albo też ujętymi w stalowe ramy płytami matowego szkła. Tamtego niedzielnego wieczoru byliśmy przez cały czas, jak w rysunkowym dowcipie otoczeni zewsząd wlokącymi się „noga-za-nogą" samochodami. Zwracała uwagę znakomita sygnalizacja. Na wszystkich zakrętach pulsowały rzędy pomarańczowych świateł, między jezdniami — takie same światła czerwone...

* * *

Jakże przyjemnie jednak po tych motoryzacyjnych emocjach, wieczorem pójść w Osaka do dzielnicy portowej, tam gdzie dyskretnymi neonami reklamują się niezliczone bary, barki, knajpki i spelunki. Oto bar „Siedem mórz", oto inny — „Skandynawia", tam zaś następny: „Metro", dalej „Domino" i „Windmill". Obok grzechoczą kulki w salonie „Pachinko". Za 100 yenów przy odrobinie szczęścia można wygrać tyle stalowych kulek, że ci za nie wypłacą kilkunastoma... szczoteczkami do zębów. Zajrzyjmy do małego sklepiku oferującego kolorowe pocztówki. Mimo bardzo późnej pory jest otwarty. Tu właśnie spotkamy piękną Japonkę. Jest ubrana w ciemnowiśniową, połyskliwą, jedwabną szatę z niewielkim dekoltem. Cerę ma jak płatek róży delikatną, wypielęgnowaną, wielkie ciemne oczy podkreślone umiejętnym makijażem i wydatne usta pomalowane nieskazitelnie opalizującą szminką.

Jest piękna, naprawdę piękna, tajemnicza, wyniosła. Kiedy przegląda niezliczone pocztówki, jedną ładniejszą od drugiej, kiedy wkłada wybrane przeze mnie do koperty, kiedy dodaje znaczki, potem wydaje resztę z pięciu tysięcy — nie mogę oderwać od niej wzroku. Wie o tym, uśmiecha się jakby leciutko świadoma swojej urody. Piękne, wypielęgnowane dłonie są jak skrzydła motyla muskające delikatnie powietrze. Nie mówi żadnym językiem poza japońskim. Nie mam już żadnego pretekstu, żeby tu jeszcze pozostać. Kłaniam jej się z uśmiechem. Odpowiada tak samo... Wychodzę na ulicę i wrzucam stujenówkę w otwór automatu. Oddaje mi bezzwłocznie: puszkę lodowatej „Coca-coli" oraz trzydzieści yenów. Pienisty płyn skutecznie mrozi wrażenia.

Ostatnie sklepy zamykają się. Przez uchylone drzwi barów dobiega muzyka, czasem nerwowy kobiecy śmiech. Nie mamy pieniędzy, żeby przyłączyć się do rozbawionych marynarzy i ich partnerek. Wracamy do portu.

Rankiem jedziemy na dworzec Shinosaka Station. Długie perony przykryte są oszklonym dachem. Czekamy kilkanaście minut, wreszcie biało-niebieskie, niskie cygaro o kuliście zakończonej części przedniej wolno i bezszelestnie wjeżdża i zbliża się do miejsca, gdzie nań oczekujemy. Nie pojedziemy niestety słynnym „Hikari", rozwijającym 260 km na godzinę. Tu, tą linią kolejową, której trasa pokrywa się także ze starożytną Tokaido jeździ codziennie ponad 100 składów pociągów. Wszystkie są takie same. Ale „Hikari" to tylko 2 pary pociągów na dobę. Poza tym jeździ tu pociąg pospieszny „Kodama". Nim właśnie pojedziemy do Kioto. To tylko, czy też aż... 60 km od Osaka.

Wsiadamy do wagonów. Stopień drzwi znajduje się dokładnie na tej samej wysokości co krawędź peronu, potem krótki, wąski korytarz i wreszcie wnętrze: cztery rzędy foteli zwróconych przodem w kierunku jazdy. Pośrodku wygodne przejście. Przez głośniki, jakby spiker stał nad uchem, powiedziano coś po japońsku. Brzmiało jak: „baszi... baszi..."

Nie udało mi się niestety uchwycić momentu kiedy pociąg ruszył. Odbyło się to bez drgnięcia. Przejście ze stanu bezruchu do jazdy absolutnie płynne! Powoli, niemrawo, jakby niechętnie nabieramy szybkości i już widzę nagle, że krajobraz za oknem: małe domki, wąskie poletka dojrzewającego, żółtego ryżu zacierają się jakbyśmy wyjeżdżali w mgłę.

„To przecież nie „Hikari" — myślę ustawiając jednocześnie długopis na stoliczku. Stoi! Ani śladu wibracji, trzęsienia, szarpania! Pociąg jedzie jak po puchowej poduszce!

I już oto wtacza się między coraz gęstsze zabudowania, a potem między perony stacji Kioto. Patrzę na zegarek i przecieram oczy ze zdumienia. Powiedziano mi w Osaka, iż „Hikari" owe 60 km pokonuje w ciągu 15 minut. Widzę najwyraźniej na mojej poczciwej szwajcarskiej „cebuli", że od momentu ruszenia z Osaka do momentu zatrzymania się w Kioto upłynęło... aż dziewiętnaście minut!

To było właśnie to, co mną — człowiekiem w kraju niemal profesjonalnie z koleją związanym — tam w Japonii wstrząsnęło najbardziej...

GORZKI SMAK SZCZĘŚCIA

Dalszy ciąg ze str. 9

W orzecznictwie Sądu Najwyższego — czytamy dalej w uzasadnieniu — **niezmiennie utrzymuje się pogląd utrwalony w uchwale siedmiu sędziów z dnia 16 maja 1960 roku, stwierdzający że przepisy Ustawy z dnia 9 lipca 1936 roku o Monopolu Loteryjnym stosuje się do każdej loterii zarządzonej lub zatwierdzonej przez właściwy organ państwowy. W myśl art. 14 tej Ustawy „plany loterii" i umieszczone w nich przepisy są wyłącznie miarodajne dla stosunku prawnego między grającym a przedsiębiorstwem prowadzącym „loterię". Wychodząc z tych założeń Sąd Najwyższy wielokrotnie stwierdzał, że dla stosunku prawnego między uczestnikami zakładów piłkarskich a PP „Totalizator Sportowy" tymi wyłącznie miarodajnymi przepisami są postanowienia „Regulaminu Wzajemnych Zakładów Piłkarskich". Błędny jest więc pogląd Sądu Powiatowego, że przepisy tego regulaminu nie odnoszą się do stosunku prawnego między powodami a pozwanym przedsiębiorstwem. Wbrew poglądowi tegoż Sądu powszechnie jest wiadomo, że wszelkie loterie, gry i zakłady prowadzone są według określonych przepisów. Fakt istnienia takich przepisów znany był powodom, gdyż zgodnie z nimi wypełnili kupony gry, złożyli je i opłacili w kolekturze a po ogłoszeniu wyników w oznaczony w przepisach sposób zgłosili posiadanie odnośnych odcinków C. Powodowie nie twierdzili też, że żądali okazania im regulaminu a kolektor odmówił im okazania go do wglądu czy też sprzedaży.**

W myśl wspomnianego regulaminu uczestnikami zakładów piłkarskich mogą być jedynie osoby, które złożyły w kolekturze identycznie wypełnione odcinki kuponu oraz uiściły opłatę w oznaczonej wysokości. Zakład zaś między tymi osobami — stąd też nazwa „wzajemne zakłady" — zostaje zawarty z chwilą, gdy odcinek B kuponu, wypełniony, opłacony, oznaczony przez kolektora numerem banderoli i złożony zgodnie z postanowieniami regulaminu, zostanie zabezpieczony w skarbcu, a odcinek A jest w posiadaniu przedsiębiorstwa.

W rozpatrywanej sprawie — stwierdza Sąd Najwyższy — **jest bezsporne, że do zawarcia zakładu w ten sposób nie doszło ponieważ kolektor nie przekazał we właściwym czasie odcinków A i B odpowiedniemu oddziałowi wojewódzkiemu przedsiębiorstwa. Sąd Wojewódzki trafnie uznał, że istotne znaczenie ma ustalenie, czy i jaki stosunek prawny powstaje między osobą składająca kupon w kolekturze a PP „Totalizator Sportowy". Otóż, wyłącznie miarodajne do określenia tego stosunku prawnego są przepisy regulaminu. Z brzmienia ich wynika, że PP „Totalizator Sportowy" jest organizatorem zakładów, których uczestnikami są osoby biorące w nich udział. PP „Totalizator Sportowy" nie jest więc uczestnikiem zakładów, a jedynie w interesie ich uczestników a także w celu popularyzacji sportu i uzyskania środków na inwestycje sportowe, organizuje te zakłady. Złożenie więc w kolekturze odcinków A, B i C kuponu nawiązuje między osobą składającą kupon a przedsiębiorstwem stosunek prawny umowy — zlecenia. Na podstawie tej umowy, określonej regulaminem, przedsiębiorstwo zobowiązuje się do dokonania określonych czynności. Należy do nich m.in. przyjęcie przez kolektora prowadzącego na podstawie umowy — zlecenia z przedsiębiorstwem kolekturę tegoż przedsiębiorstwa, złożonych odcinków A, B i C kuponu, pobranie należnej opłaty, zwrócenie odcinka C a następnie przekazanie przez kolektora we właściwym czasie odcinków A i B do oddziału wojewódzkiego przedsiębiorstwa. Gdyby więc roszczenia powodów oceniać w oparciu o przepisy Kodeksu Cywilnego pozwane przedsiębiorstwo ponosiłoby odpowiedzialność za szkodę wywołaną zaniedbaniami kolektora. Jednakże paragraf 7 regulaminu zakładów, który jest wyłącznie miarodajny dla stosunku prawnego między graczami a przedsiębiorstwem, stwierdza że nie ponosi ono żadnej odpowiedzialności za czynności i zaniechania kolektorów.**

Należy jeszcze rozważyć czy zastrzeżenie takie jest ważne w przypadku, gdy kolektor wyrządził szkodę umyślnie. Otóż, zgodnie z Ustawą o Monopolu Loteryjnym przepisy regulaminu są wyłącznie miarodajne, wobec czego w zakresie przez te przepisy uregulowanym, nie stosuje się m.in. przepisów Kodeksu Cywilnego. Należy stwierdzić, że wyłączenie przedsiębiorstwa z odpowiedzialności za czynności i zaniechania kolektorów jest zgodne z zasadami współżycia społecznego w PRL. Przystępując do zakładu z kilkunastozłotowym wkładem gracz ma szansę uzyskania wygranej sięgającej dziesiątków czy setek tysięcy zł. Pokusa takiej wygranej może prowadzić do trudnej do udowodnienia umowy między graczami a kolektorem aby w jej następstwie — mimo ryzyka skazania kolektora — wyłudzić wygrana sięgającą nawet setek tysięcy zł. Ryzyko takiej umowy — jak uczy doświadczenie — jest tak wielkie, że stało się konieczne zastosowanie radykalnych środków chroniących przed jej skutkami zarówno przedsiębiorstwo jak i uczestników zakładów.

Uczestnictwo we wzajemnych zakładach — podkreśla Sąd Najwyższy — **nie ma na celu zaspokojenia życiowych potrzeb obywateli przez przedsiębiorstwo działające na zasadach wyłączności, lecz jest zabawą, której reguły zostały określone a dobrowolne poddanie się im w całości jest warunkiem uczestniczenia w zakładach".**

Tak więc wyrok **Izby Cywilnej Sądu Najwyższego** rozwiał wszelkie wątpliwości wokół odpowiedzialności prawnej PP „Totalizator Sportowy" wobec graczy. Poszkodowanym tłodzianom pozostało dochodzenie swoich roszczeń wobec kolektora. Ten jednak, jak to zresztą od początku przewidywano, okazał się niewypłacalny. Czwórka graczy straciła nadzieję na otrzymanie wygranych premii Nie przestali jednak grać ani w Totka piłkarskiego ani liczbowego. Co tydzień uczestniczą we wzajemnych zakładach organizowanych przez PP „Totalizator Sportowy" ufając, że następnym razem, gdy trafnie wypełnia kupony, nie spotka ich rozczarowanie. Na rzetelność kolektorów muszą też liczyć tysiące innych graczy w całej Polsce. Jest to ryzyko, które trzeba wkalkulować w zabawę dającą w zamian za kilkunastozłotowy wkład szansę uzyskania dziesiątków czy setek tysięcy zł. Gracze przecież nie mają żadnych możliwości, by skutecznie zapobiec działaniu na ich szkodę ze strony kolektorów, którzy mogą zaniedbać swoich obowiązków zarówno wobec PP **„Totalizator Sportowy"** jak wobec osób powierzających im swoje kupony i pieniądze.

KONRAD TUROWSKI

TEATR

Fot. G. Wyszomirska

WSZYSTKO ZALEŻY OD ZESPOŁU

Z JANEM PERZEM — dyrektorem i kierownikiem artystycznym rozmawia Piotr Słowikowski.

— Teatr Ziemi Łódzkiej jest teatrem objazdowym. Praca tego typu teatrów różni się zasadniczo od pracy teatrów stacjonarnych. Trudno jest też porównywać efekty, a to najczęściej ze względu na warunki w jakich odbywają się spektakle. Mówi się ostatnio wiele o konieczności zmiany modelu pracy teatrów objazdowych. Może nawet o przywożeniu widza z terenu do teatru, a nie wizyt teatru w terenie. Chciałbym, by nasza rozmowa ujawniła Pańskie stanowisko na ten, między innymi, temat. Jaki jest dzień dzisiejszy teatru objazdowego w województwie łódzkim?

— Tylko 40 dni w roku przeznaczamy na występy w Łodzi. W pozostałym okresie pokazujemy nasze spektakle w terenie. Zasadniczo więc większą część miesiąca poświęcamy na wyjazdy. Rocznie przygotowujemy sześć premier. Tyle orientacyjnych danych statystycznych. Czy suchych? Chyba nie. Bo życie każdego teatru ma swoje okresy wydarzeń i codzienności. Teatry stacjonarne mają, jak sądzę, większe prawo, możliwości i warunki do „wydarzeń", my do „codzienności". Nie znaczy to oczywiście, że nie jest naszym pragnieniem by owa „codzienność", tam w terenie nie stawała się „wydarzeniem".

Trzeba przypomnieć tę starą prawdę o teatrze objazdowym, że spotyka się on najczęściej z trudnymi warunkami technicznymi. Zasadniczo tylko dwie sale w województwie łódzkim — w Kutnie i Radomsku są dostosowane do wymogów spektaklu teatralnego. Pomijam już sprawy zaplecza, garderób, urządzeń sanitarnych. Cóż, ale najłatwiej jest narzekać.... Powiedział ktoś, że „ograniczenie czyni człowieka mistrzem". Jest w tym dużo prawdy. Częstokroć bowiem rodzi się w zespole siła psychiczna, będąca przeciwwagą tych trudnych warunków. Skoro mamy tu grać, to grajmy jak najlepiej. Rzecz jasna nie jest tak zawsze. Tak, jak w każdym teatrze, są przedstawienia lepsze i gorsze. Lepsze bywają wtedy, gdy w pokonaniu przeszkód pomaga nam widownia, jeśli odczuwamy przychylność z jej strony.

— Wróciliśmy więc do podstawowego układu tworzącego teatr-aktor i widz. Przedstawienie, choć uszczuplone z tworzyw współbudujących jego całościowy klimat — jak scenografia, światło, muzyka — nie może obyć się bez aktora i widza. Czy można mówić o jednorodnym typie widza z terenu? Jakby go Pan określił?

— Widz z terenu jest „otwarty", bardziej niż odbiorca z wielkiego miasta. To określenie chyba najlepiej ujmuje jego stosunek do teatru. Trudno jest jednak bliżej go scharakteryzować, bo nie jest to odbiorca jednorodny. W większych miastach województwa obserwujemy dziwny proces. Zarówno sztuki klasyczne, jak i awangardowe spotykają się z jednakowym pytaniem — po co z tym do nas przyjechaliście? Tylko w obu przypadkach pytanie to ma inny sens. Spowodowały je inne przesłanki.

— Trzeba chyba spojrzeć na to zjawisko, jako na pewien socjologiczno-kulturowy fakt. Sygnalizuje on potrzebę j u ż innego teatru i nieprzygotowanie do odbioru tego jeszcze innego teatru. Tak się dzieje nie tylko, jeśli chodzi o widza z terenu.

— Tę potrzebę „już innego teatru" wykazuje szczególnie młodzież. I ją, jeśli mowa o widzu, należy wyodrębnić w osobną grupę. Młodzież jest chłonna, przychylna teatrowi, wrażliwa, zarówno jeśli chodzi o to, co pokazujemy i jak. Jest to widz ciekawy różnorodnych zjawisk teatralnych. Dlatego też w doborze repertuaru jego uwzględniamy najbardziej, licząc, że przedstawienia będą właśnie dla młodzieży powodem do przemyśleń.

— Czy jednak nie uważa Pan, że wizyty teatru są jakby aktem przerwanym?

— Niejednokrotnie tak. Wprawdzie listy jakie otrzymujemy głównie od młodzieży, świadczą o tym, że powodujemy dyskusje, spory, czy po prostu trafiamy do wrażliwości odbiorcy. Sądzę jednak, że większe związki z teatrem winni wykazywać pedagodzy upowszechniający wiedzę o teatrze i dramacie, a także Towarzystwo Przyjaciół Teatru czy koła zainteresowań, istniejące przy Klubach Książki i Prasy, Domach Kultury.

Słyszałem, że ma powstać Centrum Kultury Ziemi Mazowieckiej. Może już wkrótce korzystać będziemy z jego doświadczeń i może takie właśnie centra zmienią model pracy teatrów objazdowych. Sądzę, że byłby to właściwy punkt koordynujący poczynania kulturalne w całym województwie. Poczynania związane nie tylko z teatrem. Wierzę, że w wypadku naszego teatru, otrzymalibyśmy wtedy jakieś porządne locum i dobrą salę. To niezwykle ważna sprawa. Uważam, że powinniśmy przygotowywać spektakl w idealnych warunkach, tak, by te, zaistniałe w terenie, miały mniejszy wpływ ujemny na całokształt przedstawienia.

— I wierzę również w to, że takie centrum pomogłoby nam rozwiązać kwestie mieszkań dla aktorów i pracowników obsługujących przedstawienia w terenie. Przy półcygańskim trybie życia i pracy jest to sprawą bardzo istotną.

— Zatrzymajmy się na chwilę przy aktorach. Teatr telewizji, docierający dziś do milionów odbiorców, dysponuje najlepszymi nazwiskami aktorskimi. Jestem daleki od przekonań, że aktor dobry to aktor znany, z nazwiskiem. Mechanizmy robienia nazwisk przeczą często rzeczywistemu talentowi. Nie da się jednak ukryć faktu, że ludzie częściej, niż przed laty, spotykają się z wybitnymi aktorami właśnie na ekranach telewizorów. Czy ten argument nie przechyla szalki naszych rozważań na korzyść wizyt w teatrze — tym dysponującym znanymi aktorami?

— Proszę zauważyć, że nasi aktorzy są również często angażowani do teatru telewizji czy filmu. Prawdą jest jednak i to, że tak zwane wielkie nazwiska omijają teatry objazdowe. Wiadomo, trudniejsza praca, teren itd. Nie znaczy to jednak, że teatr objazdowy omijają artyści. Ludzie, którzy potrafią być swej pracy oddani, żarliwi i autentyczni w tym co robią. Teatr telewizji istotnie dysponuje znakomitymi aktorami. Ale nam nie jest w stanie odebrać atutu żywego spotkania z odbiorcą. Podniósł nawet wymagania widzów. To dobrze, bo w niepowtarzalnym klimacie dziejącego się spektaklu spotykamy się coraz częściej z widzem o wyrobionym smaku i wrażliwości teatralnej. Taki widz szybciej wyczuwa nasze starania. Więc, jeśli teatr telewizji stworzył nam jakby „przeszkodę", to i to „ograniczenie" jest nam pomocne. Oczywiście wtedy, gdy gramy dobry tekst, dobrą sztukę.

— Czyli, że najważniejsza jest potrzeba teatru, reszta zależy już tylko od zespołu.

FILM

DOBRE ZŁEGO POCZĄTKI

Jak dotąd, ten gatunek filmowy, ciesząc się ogromnym wzięciem u publiczności, nie stanowi jednocześnie przedmiotu zainteresowań naszych filmowców. Filmy sensacyjne i kryminalne stanowią niezbyt szeroki i niezwykle wątły nurt polskiej kinematografii. Przyczyna tkwi zapewne w dwu oczywistych źródłach — gatunki te żądają dobrych scenariuszy i bardzo sprawnej warsztatowo realizacji. Kto zaś te wymogi na gruncie naszego kina ma spełnić, jak na razie nie wiadomo.

Premiera filmu „ORZEŁ I RESZKA" w reżyserii Ryszarda Filipskiego przypomniała istnienie tego gatunku, przypominała też, niestety, wiele jego dotychczasowych grzechów. Piszę — niestety, gdyż pierwsza część filmu zapowiadała rzeczy nowe w sensie — lepsze.

Zacznijmy od bohatera. Marcin Nowak, wyposażony w sugestywną grę Ryszarda Filipskiego — aktora, jest postacią, w której zaszyfrowano prawdziwy dramat człowieka, jakby z innego filmu. Polityka skojarzona z sensacją bywa częstym motywem właśnie filmów sensacyjnych, zwłaszcza, oczywiście, tych, którym przydajemy określenie — szpiegowskich. Racje i problemy polityczne wytyczają też losy bohatera filmu „Orzeł i reszka". Są one związane z poszukiwaniem miejsca dla jednostki, dla której obca, a nawet wroga jest polityczna rzeczywistość powojennej Polski. W pierwszej części filmu ciekawie zarysowany został obraz człowieka uwikłanego w rozterki polityczne i narodowe, w których motywem głównym jest świadomość patriotyzmu jako postawy ostatecznie determinującej wybory.

Jednakże Ryszard Filipski — aktor i reżyser — realizował film sensacyjno-szpiegowski i uznał, może i słusznie, że postać bohatera wyposażyć należy w cechy, które procentować będą w jego wywiadowczej działalności, dzieje jego ukształtował zaś tak, aby sensacyjności tematu służyć mogło zarówno tempo zdarzeń jak i tempo dość nieoczekiwanych, wewnętrznych przeobrażeń bohatera. Toteż skomplikowana u początku opowieści osobowość prywatna i polityczna Marcina Nowaka niezwykle szybko prostuje się i od tej chwili mamy już do czynienia z zupełnie innym, typowym, w sensie stereotypowym dla wykonywanego zawodu, człowiekiem. Ostry, prawie sarkastyczny, ale może właśnie dlatego przekonywający ton politycznych sytuacji i dialogów, ustępuje szybko na rzecz coraz mocniejszego pogrążenia się właśnie w stereotypy, co tu dużo ukrywać, marnego filmu sensacyjno-szpiegowskiego. Sygnały tego odnaleźć już można wcześniej, bowiem mimo wszystko, połączenie w jednym człowieku umiejętności głębokiego życia wewnętrznego z umiejętnościami dżudo, manifestowanymi przez aktora Filipskiego przy każdej okazji, która przy tym nie zawsze jest koniecznością, budzi wątpliwości, które szybko się, niestety, konkretyzują.

Część berlińska filmu, czyli opis kontrwywiadowczej działalności bohatera na rzecz sprawy polskiej, przekreśla wszystkie pozytywy pierwszej części filmu. Już ostateczna deklaracja bohatera nie znajduje swego, jeśli pamiętamy wcześniejszą postawę Marcina Nowaka, ani psychologicznego, ani politycznego pogłębienia. I tak już leci dalej. Przeciwnicy Amerykanie stają się coraz bardziej naiwni. Obrazy filmowe wypełnia galeria postaci, fatalnie zresztą granych, ni to z komedii, ni to z kabaretu. Panie z półświatka, marni polityczni i handlowi gracze, coraz bardziej zgrywający się szefowie berlińskiej placówki i jeden mocny człowiek — nasz bohater. Dodajmy do tego łatwość, z jaką działał bohater i jego partnerzy, ów dziecinnie prosty napad na nie strzeżoną dywersyjną radiostację, czy ucieczkę nie tylko zdemaskowanego bohatera, ale i jego żony z dzieckiem, pełną idyllę zakończenia. Gdyby tylko na tych wyliczeniach poprzestać, trafiamy na ślad najbanalniejszych i najbardziej nieudolnych opowieści sensacyjnych — na szczęście dla naszej kinematografii i na nieszczęście widzów, nie tylko rodzimego chowu.

W ogólnej ocenie filmu aż się prosi trawestacja jego tytułu, przemienność orła i reszki jest bowiem jego cechą. Ciekawa pierwsza część filmu zmienia się w arcybanał. Nieoczekiwanie dobremu, jak na debiut filmowy, poziomowi realizacji, zwłaszcza w zakresie samej narracji i jej tempa, towarzyszą absolutne niewypały sytuacyjne i aktorskie, mające może swe źródła w scenariuszu, co jednak nie rozgrzesza reżysera.

EWA NURCZYŃSKA

LISTY

NOWE FUNKCJE... MPK

O łódzkiej komunikacji można mówić i pisać w nieskończoność. Do pewnych zjawisk zaczynamy się powoli z konieczności przyzwyczajać i kształtujemy w sobie nowe nawyki.

Posiadacze samochodów, którym zaoferowano nowy system oznakowania ulic śródmieścia Łodzi, jeżdżąc żółwim tempem, uczą się cierpliwości i ostrożności, złorzecząc w głębi duszy projektantom tego systemu i błogosławiąc wydział komunikacji. Podobnie uczą się cierpliwości i poszanowania dla MPK pasażerowie wyczekujący na jeżdżące stadami tramwaje i autobusy.

Wydawałoby się więc, że na tym polu nic bardziej ciekawego ani nowego wydarzyć się już nie może. Do niedawna również ja byłem tego samego zdania. Takie drobiazgi, jak na przykład zamykanie drzwi przed nosem pasażerów, pogawędki kierowców ze znajomymi podczas jazdy, czy „wychowawczy" stosunek kontrolerów i kierowców do pasażerów, stały się niemal codziennym obyczajem. Alisci spotkało mnie pewne „novum"...

Styczniowe popołudnie, przystanek autobusowy na ulicy Świerczewskiego przy al. Politechniki. Tłum zziębniętych pasażerów oczekuje od kilkunastu minut na autobus w kierunku Dąbrowy. I oto życzenie pasażerów spełnia się w „nadmiarze" — do przystanku podjeżdżają kolejno CZTERY autobusy linii 47... Ledwie pasażerowie zdążyli zająć miejsca, a już zaczyna się „mały raid Monte Carlo" — odcinek specjalny — jazda na czas słowem — wyścig czterech autobusów. Szczególnie kierowca pojazdu jadącego początkowo na końcu stawki (numer boczny 73), wykazuje sportowe zacięcie mijając po drodze dwa z jadących przed nim trzech autobusów. Komentarze pasażerów uczestniczących siłą faktu w tym wyścigu, jak i tych, którzy usiłowali wsiąść na kolejnych przystankach, były raczej jednoznaczne. „Zawodnicy" nie przejmowali się jednak tym zbytnio, a przynajmniej ten „nasz". Uczestniczący nolens volens w tej imprezie zrozumiałem że łódzkie MPK jest instytucją, jakich mało w naszym kraju. Spełnia bowiem dodatkowo wiele funkcji związanych nie tylko z komunikacją.

Przede wszystkim w MPK mają wspaniałe warunki „wyścigowcy" i wszelkiej maści „raidowcy". A umiejętność połączenia w sposób „harmonijny" pracy i sportowego treningu jest osiągnięciem trudnym do naśladowania w innych instytucjach zatrudniających „sportowców".

Ale to nie wszystko. Nie zapomina się przecież w MPK o szerokich rzeszach pasażerów oferując im „ścieżkę zdrowia" na trasie dom-zakład pracy czy dom-szkoła. Dorośli obywatele nadrabiają w ten sposób zaległości w gimnastyce rekreacyjnej, natomiast młodzież i studenci rekompensują niedobór zajęć z wychowania fizycznego. Wszyscy zaś dotleniają swe organizmy. Korzyści tych nie chcą jednak dostrzec „uparci" pasażerowie. Dla nich MPK jest zmorą numer jeden. Próbują walczyć więc z „rekreacyjną" praktyką tej instytucji, nie doceniając jej pięknych intencji. MPK oferuje nam wyścigi autobusów, auto- i tram-turnieje, tudzież przystankowy totalizator — typu — przyjedzie czy nie przyjedzie, a także „ścieżkę zdrowia" dla pasażerów.

Co na to ludzie? No cóż, czekają dalej na przystankach. Na co? Czyżby marzyły im się zmiany.

M. STYPNIAK

MOŻNA BEZ PUNKTÓW I OCEN

Koniunktura na tematykę szkolną utrzymuje się na poziomie określającym jej prawdziwą rangę.

Ostatnio licznych komentarzy doczekał się realizowany przez szkołę program oswajania młodzieży z pracą fizyczną, a także związany z tym programem postulat pogłębienia zainteresowania młodzieży różnymi formami działań na rzecz szkoły i środowiska. Wydaje się, że akcentowanie w pracy szkoły tych treści wychowawczych wynika istotnie nie tylko z ich doraźnego znaczenia, ale i z roli, jaką mają odegrać w kształtowaniu osobowości i przekonań przyszłego obywatela, uczestnika życia zbiorowego i jego współtwórcy. Stąd też jednym z elementów, który można uznać za zasadniczy, jest wyrobienie właściwego stosunku do takiej wartości, jaką jest praca — w czystej formie wysiłku fizycznego, trudu towarzyszącego nie zawsze atrakcyjnym zajęciom.

Zadaniem szkoły jest utrwalenie w świadomości wychowanków przekonania o materialnej i moralnej wartości pracy na każdym stanowisku roboczym, bo młody człowiek musi znać smak pracy nie tylko z lektury, lecz z czynnego uczestnictwa. Jednocześnie nie należy mieszać tej kwestii z faktem pracy społeczno-użytecznej aczkolwiek obydwie mogą wystąpić w jednym akcie działania. Świadomość różnicy nie jest bynajmniej potrzebna do formalnej klasyfikacji i oceny, odnosi się przede wszystkim do istotnej różnicy postaw. Przekonałem się o tym podczas pracy z młodzieżą, kiedy przychodziło do konfrontacji teorii z praktyczną jej realizacją.

Rozplanowanie prac fizycznych i prac społeczno-użytecznych, musi być poprzedzone wyraźnym określeniem celów, jakie ma się osiągnąć: praktycznego i wychowawczego. Między tymi celami zachodzi ścisła zależność. Rodzaj pracy, przygotowanie stanowisk, organizacja zespołów decydują o efekcie wychowawczym. W zależności od wieku uczniów, czynniki te podlegają wnikliwej ocenie młodych pracowników.

Istotna więc rzeczą jest, aby młodzież zetknęła się z tym wszystkim, co świadczy o nowoczesności, głównie w zakresie organizacji i techniki wykonania. Stopień trudności winien być zróżnicowany, a ocena wysiłku skorelowana z możliwościami dziewczyny lub chłopca, skorelowaną też ze stopniem dojrzałości. Na tym tle wynikało do tej pory sporo nieporozumień. Rozdzieranie szat nad punktami i przewidywanie fatalnych z tego powodu skutków bierze się po prostu z niewiedzy. Szybkość i konkretność oceny ma dla dzieci klas np. I—IV istotne znaczenie. Wyróżnienia honorowe mogą spełnić swoją rolę w wypadku młodzieży starszej. Do uczucia satysfakcji i dojrzałego zrozumienia potrzeby pracy na rzecz szerszego ogółu dochodzi się w drodze systematycznego oddziaływania wychowawczego. Dlatego nie bez racji mówi się o tym, aby młody wykonawca mógł po zakończeniu pracy zobaczyć jej efekt. Słuszne jest tworzenie warunków do szlachetnej rywalizacji, do wyzwalania pomysłowości, inicjatywy pojedynczych uczniów i całych zespołów. To są ważne czynniki, które podnoszą atrakcyjność powtarzających się wciąż tych samych czynności. Wreszcie sprawa celowości podejmowanych prac.

Powiedziano na ten temat wiele. Młody człowiek szczególnie uczulony jest na użyteczność tego, co robi. Uporządkowany trawnik w sobotnie popołudnie i ten sam trawnik rozkopany w poniedziałek, pięknie wymalowana klasa na tydzień PRZED remontem, oto przykłady psujące krew, a co gorsze, uczące „odwalanki" i chyba odstręczające od rzetelnej pracy.

Dokonały się w naszym kraju przeobrażenia nadające pracy ludzkiej inny sens i wartość. Zmiana wartości nie pociąga za sobą — niestety — automatycznie zmiany postaw. Uczestnictwo szkoły w realizacji tego zadania jest bezsporne, chodzi więc o to, aby wzrastało tempo i skuteczność wysiłków szkoły. Jeżeli ma się do dyspozycji główny czynnik — dokonujące się przeobrażenia w naszym kraju, kształtowanie człowieka — świadomego uczestnika tych przemian, jest nie tyle potrzebą, co oczekiwaną konsekwencją.

W wąskim kręgu swoich doświadczeń wychowawczych należy widzieć tę szansę i ułatwiać jej widzenie młodzieży. Praktyczny kontakt z tym co dzieje się wokół jest chyba i potrzebny i skuteczny. Energia i zapał młodzieży mogą być spożytkowane w szeroko pojętym interesie społecznym. Ciekawy program wychowania przez pracę nakreślono w Łodzi. Rozstrzygnęły się dwie ważne sprawy, istotne z różnych wprawdzie względów, ale zazębiające się. Uniknie się być może w przyszłości swoistej partyzantki w organizowaniu tzw. frontu robót, czyli indywidualnego poszukiwania dysponentów skłonnych umożliwić młodzieży kontakty z pracą. Po wtóre młodzież będzie pracować na faktycznych stanowiskach pracy np. w budownictwie. Uzyska się to, o co rzeczywiście chodzi — wykorzystanie kapitału młodej siły i być może swoistej romantyki zbiorowego działania.

Jeżeli w ten sposób młodzież zaznaczy swoją obecność w ogólnokrajowym czynie na cześć jubileuszu Polski Ludowej, będzie to również sukces szkoły. I nikt nie będzie pytał: z a i l e. Bo można bez punktów, tabelek i ocen.

MICHAŁ DALECKI

ŁÓDZKA TRASA W-Z

W okresie minionych trzydziestu lat zmieniło się bardzo dużo w dziedzinie urbanistyki naszego miasta. Wszystkie te zmiany cieszą łodzian. Ostatnio wiele mówiło się o tzw. trasie W-Z, która ma przechodzić ulicami Mickiewicza i Główną. Miała to być (istnieje taki projekt) ulica biegnąca na niższym poziomie od jej przecznic. Stwarzało to doskonałe warunki bezkolizyjnego przejazdu z rejonu dworca Łódź-Kaliska, od Osiedla Młodych na Retkini aż do zbiegu z ulicą Promińskiego. W wyniku różnic poziomów ulice: Żeromskiego Al. Kościuszki, projektowana promenada — Piotrkowska, Sienkiewicza i Kilińskiego — tworzyłyby z trasą dwupoziomowe skrzyżowania.

W ostatnich jednak decyzjach zmieniono charakter łódzkiej trasy W-Z. Postanowiono, że będzie tylko jedno skrzyżowanie dwupoziomowe z ulicą Żeromskiego, a dalej trasa wyjdzie już na poziom Al. Kościuszki. Będzie tu zwykłe rondo i dalej na wschód — kolejne ronda z Kilińskiego i Promińskiego.

Przy obecnym ruchu samochodowym w Łodzi jest to rozwiązanie słuszne i celowe, a przede wszystkim — tańsze, wymagające mniejszego nakładu pracy. A co najważniejsze, jak podkreślili zmieniający pierwotny projekt — szybciej zostanie wcielone w życie. Rozpoczęto już pierwsze prace i są szanse, że do roku 1980 projekt zostanie w pełni zrealizowany.

Istnieją jednak pewne zastrzeżenia. Czy w roku 1980 i latach następnych wyodrębniona trasa będzie spełniała w pełni postawione jej zadania. Do tego czasu na pewno przybędzie miastu wiele tysięcy samochodów. Przy projektowanej trasie staną ogromne domy towarowe, gmach filharmonii i inne. Tu w przyszłości ma się koncentrować życie handlowe i kulturalne miasta. Tutaj też powstanie w sąsiedztwie ogromne osiedle mieszkaniowe „SDM". Należy przypuszczać że jego mieszkańcy również nie wyrzekną się posiadania samochodów.

Wydaje mi się, że należałoby jeszcze raz spojrzeć śmielej i dalej w przyszłość, aż do roku 2000 i przeanalizować powtórnie przyjęte założenia. To co robimy będzie służyło przyszłym pokoleniom. Z błędami kapitalistycznej zabudowy Łodzi męczymy się już dziesiątki lat. Do dziś nie możemy ich usunąć. Budujmy więc teraz tak, żeby w roku 2000 nie miano do nas pretensji o minimalistyczne spojrzenie na centrum Łodzi i jego kształt.

Dlatego postuluję ponowną analizę projektu łódzkiej trasy W-Z i powrót do pierwszej jego wersji. Z kilkoma dwupoziomowymi skrzyżowaniami. Warto nawet przedłużyć jej czas budowy o dwa lata, żeby w centrum Łodzi powstała trasa na miarę roku 2000. Trasa, przy budowie której łodzianie poświęciliby wiele godzin pracy społecznej. Można uznać budowę łódzkiej trasy W-Z za budowę priorytetową, przy której powstałby bank godzin pracy społecznej, godzin deklarowanych przez społeczeństwo, zakłady pracy i instytucje naszego miasta. Sam zadeklarowałbym ze 100 godzin pracy, gdyby powrócono do realizacji pierwotnej wersji planu.

„Uważny obserwator"
(nazwisko i adres znane redakcji)

ZDARZENIA i ZWIERZENIA

BAJKI WIECZNIE TRWAJĄ

Niedawno po raz pierwszy od wielu dziesiątków lat wydano książeczkę, a raczej wierszyk, otoczony już legendą, cytowany przez całe pokolenia i przez całe pokolenia recytowany.

„Kto ty jesteś? Polak mały. Jaki znak twój? Orzeł biały..." Bywało że i żartowano sobie z poczciwego pana Bełzy i jego infantylnego patriotyzmu, wierszyk bywał obiektem kpin... a jednak na nowo wydany w pomysłowej oprawie plastycznej nabrał treści — aktualnych i wciąż istotnych.

Można nawet przymknąć oczy na fakt, że wydawca pomylił chyba Bełzę z Jachowiczem, twierdząc w przedmowie, że wiersz ma... 150 lat. Gdyby tak było, musiałby go Bełza napisać ... zanim się urodził.

Znanych Bełzów mamy w polskiej kulturze trzech. Józef Bełza był chemikiem, Stanisław Bełza — publicystą i prawnikiem i dopiero Władysław Bełza (1847—1913) napisał ów wierszyk w roku 1900. W świadomości społecznej pozostał Władysław Bełza jako autor „Katechizmu polskiego dziecka", mało kto pamięta, że był to znany w swoim czasie poeta, publicysta i działacz kulturalny — założyciel pisma dla dzieci „Promyk", inicjator „Macierzy Szkolnej", autor wielu tomów poezji, gawęd o Mickiewiczu...

Cała twórczość i działalność Władysława Bełzy utonęła w zapomnieniu — w świadomości potomnych pozostał tylko jako autor wierszyka „Kto ty jesteś? Polak mały..." Tak bywa niestety w pisarstwie. Nikt nie może przewidzieć, jaki fragment twórczości oprze się czasowi.

Nie jest to zresztą nic nowego. Takie historie zdarzały się w dziejach literatury nieraz. Skoro jednak piszę o twórczości dla dzieci, przypomnijmy losy bajkopisarzy.

Hans Christian Andersen przez całe lata z uporem pisał romantyczne poezje i powieści. Bajki natomiast tworzył — ot tak sobie, na marginesie twórczości, nie przywiązując do nich zbytniej wagi. Wszystkie swoje ambicje i nadzieje pisarskie wiązał z poezją, której dziś nikt nie pamięta.

Pozostały tylko bajki — „Nowe szaty króla", „Brzydkie kaczątko", „Dziewczynka z zapałkami"...

A czyż podobna historia nie wydarzyła się braciom Grimm? Przecież ich nazwisko złączone jest w świadomości ludzi z bajką — „Bajki braci Grimm". A Jakub i Wilhelm stworzyli niemieckie językoznawstwo, wydali pierwszą gramatykę niemiecką, historię języka, pierwszy słownik niemiecki... Po prostu stworzyli germanistykę jako naukę o języku i literaturze.

Na zawsze jednak pozostaną bracia Grimm w świadomości czytelników jako autorzy „Sag starogermańskich" — bajek, które napisali niejako na marginesie swojej poważnej twórczości.

Była już Polska, Dania i Niemcy. Przenieśmy się do Francji. Otóż w XVII wieku żył tu wybitny pisarz, członek Akademii Francuskiej, wiodący wówczas dysputy z Boileau w istotnym dla francuskiej literatury sporze tzw. nowożytników ze starożytnikami.

Ów pisarz nazywał się Charles Perrault. Nikt o nim nie słyszał? A znacie bajki — „Czerwony Kapturek", „Kot w butach", „Kopciuszek"? Oczywiście cała twórczość Charlesa Perrault utonęłaby w zapomnieniu, gdyby nie napisał dla płochej zabawy tych paru bajek. Nie traktował ich poważnie — świadczy o tym fakt, że wydał je pod imieniem swojego syna.

Proszę popatrzeć, jaki ogrom wielkiej, poważnej twórczości kryje się za nazwiskami Władysława Bełzy, Hansa Christiana Andersena, Jakuba i Wilhelma Grimmów, Charlesa Perrault... A co pozostało? Bajki, wiersze dla dzieci.

Bajki wiecznie trwają. Stąd pewno tyle bajkopisarstwa w polskiej, współczesnej literaturze.

WIDOK

LEWYM OKIEM

CYWILIZACJA ROWEROWA

Od wielu lat powtarzają się w całej prasie żale i utyskiwania na poziom usług, pełnionych przez nasze koleje. „Odgłosy" też pisały wiele razy, próbowały powoływać się na przepisy nakazujące instytucjom reagować na krytykę prasową — e, tam, nic z tego. Spokojna, wyniosła cisza była nam odpowiedzią.

Dopiero z artykułu Szeligi w „Polityce" dowiadujemy się, że to cud prawdziwy, że niektóre pociągi się nie spóźniają, bo powinny się spóźniać wszystkie. I że użytkownicy kolei też są w znacznej mierze winni temu, że jest tak jak jest, bo chcą jeździć pociągami zamiast... chodzić pieszo lub jeździć na rowerach. Tak, dosłownie! Cytuję:

„Gdybyśmy mieli jaką taką cywilizację spacerowo-rowerową — o ileż łatwiejsze stałoby się życie kolejarzy!".

Macie wyjaśnienie sprawy: brak nam cywilizacji spacerowej, więc pociągi muszą się spóźniać i tylko cud mógłby zmienić ten stan rzeczy. Oczywiście — mowa o cudownym nawiedzeniu mas cywilizacją rowerową. Ciekawy jestem, co na to przemysł rowerowy — czy aby nie trzyma w zanadrzu argumentu że ludzie u nas za dużo chcą jeździć na rowerach? Przecież to właśnie pośpiechem produkcyjnym tłumaczono przed paroma laty puszczenie na rynek iluś tam tysięcy rowerów bez hamulców i ludzie sobie nogi łamali, jadąc z górki... A może to górki były winne?

Szeliga narzeka też, że za mało się u nas wozi towarów taborem samochodowym, oczywiście — na złość kolejom żelaznym. Przez wiele lat pracy w przemyśle miałem do czynienia z planowaniem transportu i dobrze wiem, jaka jest różnica kosztów przewozu i jak wiele różnorakich — absolutnie słusznych! — nacisków działa na przemysł właśnie w celu ograniczenia do minimum przewozów samochodowych na rzecz kolejowych. I teraz okazuje się nagle, że wszystko to robi się po to, żeby dokuczyć kolei!

Kolej ma multum argumentów na usprawiedliwienie swoich niedociągnięć i powinniśmy to wszystko rozumieć. Zrozumieć — to znaczy wybaczyć. Wiele rzeczy rozumiemy. Niech się jednak nikt nie zdziwi, że z tak zwanymi „mieszanymi uczuciami" czytamy w artykule Szeligi, iż „nie sposób wybaczać karygodnych zaniedbań i lekceważenia podstawowych obowiązków" w przemyśle taboru kolejowego. Mocne słowa, nie? Kolei trzeba wiele wybaczyć, kolej jest biedna i słaba. „Rozpaczliwy stan lokomotyw obciąża przemysł taboru kolejowego i trudno rozgrzeszać go z tych zaniedbań". A dlaczego to jednemu się nie wybacza i nie rozgrzesza, a drugiemu szuka się okoliczności łagodzących? W reportażu z fabryki taboru kolejowego znalazłoby się wiele usprawiedliwień, natomiast przekonano by nas, że nie wolno wybaczać karygodnych zaniedbań u któregoś z kolei kooperanta tej fabryki, na przykład — bo ja wiem — na przykład dostawcy łożysk, bolców i trzpieni. Tak się można cofać w nieskończoność, a każdy będzie miał rację. A podobno prawdziwa tragedia powstaje wtedy właśnie, kiedy wszyscy mają rację...

O poczcie też już było setki razy, przykłady znamy z własnych doświadczeń aż nazbyt dobrze. Wysoki urzędnik sektora pocztowego powiedział niedawno publicznie, że wszyscy są winni, bo piszą za dużo listów. Dużo przy tym padało liczb i wskaźników, pomiędzy którymi znów powinniśmy wyczytać, że tylko cud sprawia, że nie wszystkie przesyłki błądzą, spóźniają się, giną. Zgadzam się, że piszemy za dużo, oczywiście nie — my między sobą, ja do Jasia, Jasio do Stasia, tylko instytucje. Za dużo pism, a każde w tuzinie kopii do tuzina adresatów „Do wiadomości", a w praktyce — do szafy. Po co przy tym wszystkim organizuje się jeszcze „tydzień pisania listów" i namawia się dziatwę, żeby pisała, pisała, pisała? Czy to na złość poczcie?

Wprawdzie jakaś czytelniczka odpowiedziała filuternie wysokiemu urzędnikowi sektora łączności, że przy większej ilości przesyłek poczta więcej zarabia, więc chyba powinna się cieszyć? Interes się rozwija/ To jest jednak bardzo naiwne rozumowanie. Grunt to cywilizacja spacerowo-rowerowa. I oszczędzajmy pocztę!

ĆWIEK

PROPOZYCJE

KACZKA PATROSZONA

Na łamach łódzkich gazet pojawiła się nie tak dawno i nie chce zniknąć „KACZKA PATROSZONA". Biedna praprawnuczka Kaczora Donalda popadła w skrajny masochizm i reklamuje sobie siebie, zapewniając, że „NAJLEPSZA JEST PIECZONA — NADZIEWANA JABŁKAMI". Nie mam nic przeciwko kaczkom pieczonym, nadziewanym jabłkami, ale Lucyna Ćwierciakiewiczowa twierdziła również, że dobry jest pasztet z kaczki, potrawka z kaczki z parmezanem, jako też kaczki młode z kapustą włoską oraz potrawa z kaczek opiekanych. Ale „KACZKA PATROSZONA" jest innego zdania. Jej sprawa.

„KACZKA PATROSZONA" uwiła sobie również gniazdko na naszych łamach i występowanie przeciw niej można byłoby uważać za działalność całkowicie wywrotową, gdyż cotygodniowe udostępnianie miejsca masochistycznym skłonnościom ptaka daje nam profit i pozwala szybciej bez kłopotów zrealizować plan dochodów płynących z ogłoszeń. Ułatwia to też pracę Biura Ogłoszeń Łódzkiego Wydawnictwa Prasowego i gdyby Łódzkie Zakłady Drobiarskie wpadły na pomysł, aby „KACZKA PATROSZONA" ukazywała się przez 52 tygodnie w roku, to Biuro Ogłoszeń miałoby z nami kłopot z głowy. Ale dla „KACZKI PATROSZONEJ" byłoby to wtórnym samobójstwem.

Jeśli zdecydowałem się dokonać reanimacji biednego ptaka, to przede wszystkim dlatego, że jest on przykładem powszechnie panującego u nas nadużywania słów. Wprawdzie tekst obok rysunku ptaka jest nader skromny — to i dobrze — ale częstotliwość ukazywania się „Kaczki patroszonej" na łamach łódzkich gazet jest doskonałą ilustracją zjawiska. Myśl w tym jest na pewno racjonalna, gdyż przez powtarzanie można tylko utrwalać przekonania i sądy, ale dowcip w tym aby wiedzieć, kiedy to powtarzanie skończyć, aby tylko nie przeholować. Starożytni donjuani twierdzili, że cała sztuka w miłości polega na tym, aby wiedzieć, kiedy odejść. Dziś ta wiedza na nic, gdyż dziś kochankowie najczęściej się rozchodzą nim się cokolwiek na dobre zacznie. Dziś też, jak nigdy, mało szanuje się słowo. No może, nie jak nigdy, bo z wyjątkiem baroku, ale wtedy było to w modzie, należało do dobrego tonu. Dziś wynika to, albo z braku czegokolwiek do powiedzenia, albo z chęci ukrycia za potokiem słów tego, co powinno się powiedzieć.

Niedawno w „Polityce" Jerzy Urban zacytował zdanie: „Chyba w jakimś stopniu tak, że tak powiem", które w przekładzie na język polski tłumaczy się jednym słowem: TAK. Ale powiedzieć w publicznej rozmowie, przed kamerami telewizji, czy też odpowiedzieć dziennikarzowi w wywiadzie tylko jedno „TAK" na pytanie byłoby dla wielu rozmówców ponad siły. Przez kilka nocy dręczyłaby ich wątpliwość, czy ktoś przypadkiem nie pomyśli, że oni NIE mają nic do powiedzenia.

Gadulstwo jest niestety naszą chorobą społeczną. W potoku zbędnych słów gubią się niekiedy istotne treści. Najgorsze jednak jest to, że słowolejstwo kradnie nam czas. A przecież czas jest dzisiaj niezwykle cennym tworzywem, które decyduje o powodzeniu wielu gospodarczych przedsięwzięć. W procesie modernizacji gospodarki liczy się technika, technologia, surowce, energia i właśnie c z a s. Czy umiemy należycie gospodarować czasem? Czy nie tracimy go zbytnio na konferencjach i naradach, które tylko służą ku chwale sprawozdawczości? A przecież, ile czasu można byłoby zaoszczędzić, gdyby na różnych konferencjach i naradach mówiło się tylko to, co jest do powiedzenia i gdyby mówili tylko ci, którzy mają coś do powiedzenia.

Dyrektorom, naczelnikom i prezesom proponuję zajrzeć do kalendarzy i zastanowić się, czy przypadkiem różne narady i konferencje są naprawdę potrzebne, czy nie można tu czegoś skreślić. Lepiej jest skreślać zbędne narady niż skreślać z planu towary i inwestycje.

R. B Kemball — Cook, autor książki „LUKA ORGANIZACYJNA", pracownik P—E Consulting Group, przedsiębiorstwa, które zajmuje się organizacją innych przedsiębiorstw, wśród zadań, jakie stawia ludziom zajmującym się zarządzaniem, wyróżnia też (obok zadań kluczowych, szablonowych i pomocniczych) zadania z b ę d n e. Są to takie zadania, których celu nie można wykryć. Zaleca on dokładne analizowanie wszystkich zadań, by móc wykryć zadania zbędne i w ten sposób zwiększyć czas na realizację zadań naprawdę ważnych. Myślę, że tę uwagę można odnieść i do wielu narad i konferencji. Warto byłoby przed ich zwołaniem, zadać sobie i innym pytanie: co chcemy przez zwołanie tej narady osiągnąć? I jeśli cel wyda się nam istotny, to warto też zadać sobie drugie pytanie: ile nam potrzeba czasu, aby założony cel dla narady osiągnąć?

Propozycja moja zmierza również do tego aby wykorzystując racjonalnie czas, znaleźć też wolną chwilę na skosztowanie „KACZKI PATROSZONEJ" czy to w postaci pieczonej, czy pasztetu z kaczki czy też potrawki. Miejmy litość nawet nad patroszonym ptakiem, który tam uparcie nawołuje do skosztowania siebie.

MARCIN RODAK

LOBAGOLA

„Życiorys afrykańskiego dzikusa przez niego samego napisany" — taki tytuł nosi książka wydana ostatnio w Krakowie przez Wydawnictwo Literackie. Jej autor o wielce skomplikowanym „nazwisku" — **Bata Kindai Angoza Ibn LoBagola** — urodził się i wychował wśród pierwotnego plemienia żyjącego w afrykańskim buszu. I nie byłoby w ogóle tego osobliwego pamiętnika, gdyby autor, mając siedem lat nie zawieruszył się na statku podczas ładowania i nie odpłynął do dalekiej Szkocji, gdzie przypadkowi opiekunowie odesłali go do szkoły. Później LoBagola jeszcze niejednokrotnie będzie podróżować między Afryką a krajami Zachodu. Będzie szukał swojego własnego miejsca w świecie, szukał właściwej ojczyzny. Cywilizacja bowiem wywarła na nim trwałe piętno.

„Życiorys afrykańskiego dzikusa" to mieszanina obserwacji z życia afrykańskich współplemieńców i białych ludzi. Interesujące jest, jak widział i jak opisuje cywilizację białych syn dzikiego plemienia afrykańskiego. Trzeba tutaj pamiętać, że opisywane przez niego wydarzenia miały miejsce w końcu XIX i w latach 30-tych XX wieku.. Toteż ciekawsze niewątpliwie są obyczaje, wierzenia i obrazki z codziennego życia mieszkańców buszu, które szeroko, wiernie i barwnie przedstawia afrykański dzikus — LoBagola.

LoBagola — „Życiorys afrykańskiego dzikusa", przełożyła M. Traczewska, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1974, str. 317, cena: 30,— zł.

„BILLY KŁAMCA"

Film **Johna Schlesingera „Billy kłamca"** przywędrował do nas znacznie wcześniej niż książka według której został zrealizowany. Powieść **„Billy kłamca"** ukazała się dopiero teraz. Autor jest — **Keith Waterhouse**, współczesny pisarz angielski, jako 15-letni chłopak porzucił szkołę i przez pewien okres próbował pracy w różnych zawodach, by wreszcie rozpocząć karierę dziennikarską. Początkowo pisał w prowincjonalnej gazecie, później został jednym z najpopularniejszych brytyjskich dziennikarzy.

Twórczość literacką rozpoczął w wieku 28 lat. Jego debiut przypada na rok 1957. I już w dwa lata później, ukazał się **„Billy kłamca"**, powieść, która w jego dotychczasowym dorobku przyniosła mu najwięcej rozgłosu.

Tym, którzy filmu **Johna Schlesingera** nie oglądali należy się krótka informacja o tematyce książki. Na tle codziennego, nudnego życia małego miasteczka w północnej Anglii, autor kreśli wyrazisty portret młodego, narwanego marzyciela, który uwielbia kłamać i okropnie nie lubi pracować.

Ta interesująca powieść powinna zaciekawić nie tylko tych, którzy filmu nie widzieli. Warto bowiem skonfrontować literacki pierwowzór z jego filmową wersją.

Keith Waterhouse — „Billy kłamca", tłumaczyli: M. Bielewicz i Z. Bohdanowicz, Czytelnik, Warszawa — 1974, str. 237, cena: 22,— zł.

„PRZEDŚLUBNE SPOTKANIE"

Książki z serii prozy iberoamerykańskiej, których od pewnego czasu dostarcza systematycznie **Wydawnictwo Literackie**, zdobyły już swoich wiernych czytelników, z niecierpliwością oczekujących na kolejny polski przekład. Popularność tej, jak i znacznie starszej serii dzieł pisarzy skandynawskich, którą ciągle uzupełnia nowymi pozycjami Wydawnictwo Poznańskie, świadczy o potrzebie tego typu poczynań edytorskich, dających czytelnikowi możliwość głębszego zapoznania się z literaturą wybranych obszarów Ameryki i Europy. I za to obu wydawnictwom należą się słowa uznania.

Kolejną książką z kręgu literatury Ameryki Łacińskiej jest tomik opowiadań współczesnego pisarza meksykańskiego — **Sergio Pitola. „Przedślubne spotkanie"** to wybór 13 opowiadań pochodzących z trzech zbiorów. Ich akcja rozgrywa się w różnych miastach świata, także w Warszawie. Jest to odbicie globtroterskich upodobań pisarza, który wiele podróżował. Pitol pisze: **„...jestem zakochany w Polsce. Jak każda prawdziwa miłość i moja również jest najeżona pretensjami, nieporozumieniami, rozczarowaniami i okresami tkliwego pogodzenia. Bywam jej często niewierny i umykam do Londynu, Rzymu, Wiednia, Budapesztu i obu Berlinów. Wracam jednak zawsze".** Ta miłość do Polski datuje się od 1963 roku, kiedy to Sergio Pitol po raz pierwszy odwiedził nasz kraj. Obecnie, od jesieni 1972 roku, pisarz znów przebywa w Warszawie jako attache kulturalny ambasady Meksyku.

Sergio Pitol — „Przedślubne spotkanie", przełożyli: Z. Szleyen i A. Sobol-Jurczykowski, Wydawnictwo Literackie, Kraków — 1974, str. 132, cena: 15,— zł.

„DOM I ŚWIAT"

Propagator indyjskiej filozofii i tradycji kulturalnej, autor ponad 50 zbiorów poezji, kilkudziesięciu utworów teatralnych, ponad 100 opowiadań, 12 powieści, wielu rozpraw i esejów, muzyk i malarz laureat nagrody Nobla z 1913 roku, nazywany „bengalskim Shelleyem" — to czywiście **Rabindranath Tagore** (1861—1941). Jego twórczość, która wywarła silny wpływ na literaturę europejską na trwałe weszła do historii literatury światowej.

W **Bibliotece Klasyki Polskiej i Obcej**, wydawanej przez PIW, ukazała się jego powieść **„Dom i świat"**. Jej pierwszego polskiego przekładu dokonał **W. Birkemajer**, pierwsze wydanie ukazało się w roku 1921, wznowienie w 1958. Obecna edycja to nowy przekład z tłumaczenia angielskiego **Agnieszki Glinczanki.**

„Dom i świat", powieść, która ukazała się w 1916 roku, to — mocno upraszczając — dzieje klasycznego trójkąta, w którym „ten trzeci" jest pozbawionym skrupułów, fanatycznym przywódcą ruchu nacjonalistycznego. Powieść złożona jest z zapisków trojga głównych bohaterów, a do jej największych zalet należy psychologiczna analiza postaci, obrazowość i element liryczny, zaczerpnięty z poetyckich doświadczeń indyjskiego pisarza i myśliciela.

Rabindranath Tagore — „Dom i świat", PIW, Warszawa — 1975, str. 225, cena: 30,— zł.

„BALLADA O PECKHAM RYE"

Powieść zaczyna się i kończy sceną ślubu, podczas której pan młody oświadcza pastorowi, że nie ma ochoty poślubić stojącej obok niego dziewczyny. Już w tytule zawarta jest sugestia o kompozycji powieści, a Peckham Rye to niewielki ośrodek przemysłowy. **„Ballada o Peckham Rye"** uchodzi za jedną z najlepszych powieści **Muriel Spark**, chociaż jest to książka, której bohaterowie są przeciętnymi ludźmi i — wydawałoby się — nic w ich życiu interesującego nie może się zdarzyć. Jednakże autorka zna się doskonale na rzemiośle pisarskim i lektura jej powieści może dostarczyć sporo satysfakcji.

Muriel Spark znana jest już polskiemu czytelnikowi dzięki przekładom **„Pełni życia panny Brodie"** oraz **„Memento mori"**. Pierwsza powieść ukazała się w 1961 roku, druga — w 1970 roku. W swojej twórczości **Muriel Spark** nie ogranicza się tylko do powieści. Uprawia również inne gatunki literackie: poezję, opowiadania, sztuki teatralne i radiowe. W 1951 roku za opowiadania przyznano jej nagrodę **„Observera"**, a w 1962 roku — **„Italia Prize"**, odznaczona również została Orderem Imperium Brytyjskiego.

Powieść **„Ballada o Peckham Rye"** ukazała się w serii **Współczesna Proza Światowa.**

B. M.

Muriel Spark — „Ballada o Peckham Rye", przełożyła H. Caroll-Najder, PIW, Warszawa — 1974, str. 137, cena: 25,— zł.

MAGAZYN

ODGŁOSY

HORACY SAFRIN

PRZYJACIELE

(Ze wspomnień rozwodnika)

Na ogół biorąc, należę do kategorii ludzi „mocnych". Muskuły moje nie przypominają wprawdzie bicepsów Herkulesa, a na ringu życiowym daleko mi do koguciej wagi — jestem jednak człowiekiem zasad. Zasady moje są niezłomne i stosuję je z powodzeniem na każdym kroku.

Gdy ożeniłem się, oglądnąłem się przede wszystkim za godziwym przyjacielem domu. Znalazłem ich dwóch — w myśl przysłowia: gdzie dwóch się bije, tam trzeci korzysta...

Wybór mój okazał się ze wszech miar trafny. Przyjaciele moi w najwyszukańszy sposób uzupełniali się nawzajem. Jeden brunet, drugi blondyn — tworzyli tę przedziwną harmonię, na jaką stać tylko dwa kontrastujące z sobą kolory. Jeden smukły, drugi brzuchaty, wyglądali jak chodzące symbole inicjatywy i stateczności. Jeden właściciel ekwipażu, drugi krytego „Forda" — obwozili mnie po mieście to końmi, to limuzyną.

Przyjaciele z rozczulającym samozaparciem dbali o moje gospodarstwo domowe. Jeden załatwiał sprawunki, rozliczał się z kucharką, gubiąc się w zawiłych dociekaniach algebraicznych. Drugi — w granicach przyzwoitości — zabawiał naszą uroczą pokojówkę obyczajowymi dykteryjkami...

Przyjaciele odczytywali mi z oczu każde życzenie. W barze trącali się ze mną kieliszkami, w klubie kibicowali mi przy brydżu dyskretnie. Gdy ziewnąłem, jeden z nich pukał trzy razy w stół, a drugi zauważał troskliwie, zwracając się do mojej żony: „Pani małżonek zmęczony jest całodzienną pracą." Otrzymywał wprawdzie stereotypową odpowiedź: „On zawsze śpi" — ale to nie mąciło bynajmniej naszej przyjaźni.

Sielanka ta trwała tak długo, póki — jak to mawiają — nie zakwitły aleje lipowe, a dłużące się w nieskończoność dni czerwcowe nie zwiastowały nadciągających kanikuł. Należało pomyśleć o odpowiednim letnisku dla żony.

Moi przyjaciele i w tym wypadku nie poskąpili mi swych cennych rad. „Pańska żona jest anemiczna i należałoby wysłać ją do Krynicy..." „Pańska żona ma naruszone szczyty płucne i mogłaby wrócić do zdrowia w dolinie Kościelisk..." Przedmiot wnikliwej, acz niezgodnej ekspertyzy moich przyjaciół, obrzucił naszą trójkę wymownym spojrzeniem i wyrzekł dobitnie jedno słowo: „Sopot". Konflikt był z miejsca zażegnany. Roma locuta.

W chwili odjazdu pociągu rozegrała się jeszcze wzruszająca scena.

Wszyscy trzej staliśmy w postawie „na baczność". Miny mieliśmy rzadkie, oczy załzawione i kiwaliśmy zamaszyście chusteczkami do nosa...

Po wyjeździe żony sytuacja zmieniła się nie do poznania. Moi przyjaciele puścili mnie w trąbę i nastały dla mnie dni słodkiego „far niente" — — -

Ale wszystko ma swój koniec, nawet słoną cenę okupiona samotność.

Pewnego ranka wpadł do mnie, jak bomba, sapiący, zziajany blondyn.

— Co się stało?! — zagadnąłem przestraszony nie na żarty.

— Pojechał za nią... do Sopotu... — odparł, zachłystując się.

— Dobry, kochany chłopak... — rozczuliłem się na serio.

— Zastrzelę ich oboje!!!

W obliczu takiej groźby zerwałem się z krzesła. Zużywając wszystkie zasoby przyrodzonej swady, starałem się go w miarę możności uspokoić. Gładziłem jego pucołowate policzki i zaawansowaną łysinę...

W odpowiedzi huknął nieswoim głosem:

— Tchórz!!!

I zatrzasnął drzwi przedpokoju.

Po upływie dwóch tygodni powrócił brunet. Spotkał mnie w parku, w towarzystwie mojej przyjaciółki, Ziuty. Przystanął, odchrząknął i wycedził ceremonialnie:

— Zaręczyłem się wczoraj z pańską żoną.

— Bardzo mi przyjemnie — odpowiedziałem. — A teraz proszę się zapoznać! Panna Ziuta...

I dodałem bez zająknienia:

— Narzeczona męża pańskiej narzeczonej.

Splunął i rzucił nonszalancko:

— Podlec!...

Odtąd nie szukam przyjaciół. W stanie narzeczeńskim nie są mi potrzebni. Gdy ożenię się po raz drugi, zgłoszą się sami.

ANDRZEJ GRUN

FRYZURY

SAMO ŻYCIE

— Słyszała pani? Na stacji znaleźli zapakowane w papier, poćwiartowane zwłoki człowieka...

— To podobno była kobieta?!...

— Zazdrosny mąż tak się z nią rozprawił... Jak niespodziewanie wrócił z delegacji służbowej zastał ją w łóżku z młodym kochankiem...

— Nic dziwnego, że się zdenerwował...

— Chwycił siekierę i chciał go zabić. Ale kochanek zdążył uciec przez okno. Podobno goły biegł przez całe miasto. Rozsierdzony mąż próbował go gonić. Nie dał rady więc wrócił do domu i rzucił się na niewierną żonę...

Sensacyjna opowieść przez kilka dni krążyła po Pabianicach. Niemal z godziny na godzinę uzupełniano ją nowymi, coraz bardziej wstrząsającymi szczegółami. Wzburzała umysły i podniecała wyobraźnię. Tym bardziej że bohaterowie makabrycznego dramatu pozostawali anonimowi. Nikt nie wiedział, w którym domu zbrodnia się zdarzyła i kto jest jej sprawcą. W tej materii pozostawały tylko domysły. Przerażająca fabuła jednak narastała i rozwijała się. Był przecież niepodważalny dowód w postaci owej paczki znalezionej na stacji kolejowej w Pabianicach. A skoro jest poćwiartowany trup wszyscy byli przekonani, że zbrodnia musiała się zdarzyć. Snuli więc opowieści puszczając wodze fantazji...

Po tygodniu przyszło rozczarowanie. Prawda okazała się zgoła banalna. Wprawdzie rzeczywiście znaleziono zagadkową paczkę na stacji ale nie było w niej poćwiartowanych zwłok. W papierze były fragmenty szkieletu — imitacji wykonanej z plastyku. Milicja szybko odnalazła właściciela zguby. Był nim roztargniony student łódzkiej Akademii Medycznej...

OSCAR WILDE O KOBIETACH

Kobiety były zawsze malowniczym zaprzeczeniem zdrowego rozsądku.

*

Mężczyźni chcą być zawsze pierwszą miłością kobiety, kobiety lubią być ostatnią miłością mężczyzny.

*

Kobiety należy kochać, lecz nie próbować rozumieć.

*

Mężczyzna, który prawi morały, jest zwykle hipokrytą, a kobieta, która to czyni, jest zawsze brzydka.

*

Mężczyzn można analizować, kobiety trzeba podziwiać.

NOWOŚCI Z DRZEWA

W salonie meblowym „Domus" pojawiły się wreszcie biureczka dla scenarzystów. Każde biureczko zaopatrzone jest dodatkowo w okno na świat, szklone matowymi szybami, by nie rozpraszać uwagi. Biureczko to wesoło podskakuje, gdy pisze się na nim scenariusz do filmu historycznego.

CIEKAWA INICJATYWA FILMOWA

W Wytwórni Filmów Niezbędnych powstanie wkrótce nowy, wzruszający film. Będzie w nim apelować się do społeczeństwa, by nie wyrzucało ono zniszczonych i niepotrzebnych już rowerów na śmietnik. Takie porzucone rowery psują przecież miejski pejzaż i nadają się jeszcze na złom. Planowany tytuł filmu: „Chrońmy stare pedały".

BEZINTERESOWNY GEST

Rolnik Jan Ptaszko z Poddębia użalił się nad samotną gruszą rosnącą przed jego obejściem i zaprosił ją do pobliskiego gromadzkiego kina. Wzruszone drzewo obiecało mu, że za ten gest obrodzi jak nigdy. Rolnik Jan Ptaszko tylko się śmieje, bo nie lubi gruszek.

ŚMIAŁA DECYZJA SZKOTA

Szkocki inżynier spożywczy Graham Shaarp, w czasie oglądania polskiego filmu znalazł na sali kinowej brylant wielkości pięści. Ucieszony tym faktem oświadczył prasie, że gotów jest iść raz jeszcze na jakiś polski film.

KRYTYKA AKTYWNA

Pewnego razu na ulicy Piotrkowskiej żywo i kulturalnie dyskutowało dwóch panów „Ja tam wolę przeczytać książkę niż iść do kina!" — twierdził z przekonaniem pierwszy. „Ja zaś — upierał się drugi — wolę iść do kina niż czytać książki". Padły pierwsze ciosy. Przechodzący obok krytyk filmowy pouczył grzecznie obu dyskutantów, iż w równej mierze należy czynić jedno i drugie. Zaraz potem krytyk filmowy przeprowadził jeszcze staruszka przez jezdnię oraz pomógł milicjantowi skarcić zboczeńca.

MAŁE KINO

„Najlepsze są te małe kina..." K.I.G.

PRAWDA JEST NAGA

Ostatnio kapitaliści zachodni wpadli na nowy pomysł. By odciągnąć klasę robotniczą od postępowych filmów, każą oni siadać na salach kinowych nagim dziewczętom. Rezultat jest smutny. Biedne naguski trzęsą się z zimna nie zwracając absolutnie niczyjej uwagi.

WIOSNA ZA PASEM

Już wkrótce we wsi Mała Duma odbędzie się stara słowiańska uroczystość wrzucenia do rzeki kukły ze słomy, symbolizującej reżysera, który w zimie nie nakręcił ani jednego filmu historycznego.

NOWE SMAKOŁYKI

Spółdzielnia im. Postępowych Twórców Encyklopedii Francuskiej wyprodukowała nowy i apetyczny smakołyk. Są to „Herbatniczki kinowe", które dają się spożywać jedynie po ciemku i w nastroju sceptycznym.

ŻOŁNIERSKA DOLA

Na wyspach Pacyfiku odkryto jeszcze jednego żołnierza japońskiego, który nie wiedział o zakończeniu wojny. Gdy poinformowano go o tym, poczuł się głupio. Obecnie ogląda on nasze seriale telewizyjne, których akcja toczy się w czasie Drugiej Wojny Światowej, by przekonać się ostatecznie, iż maczał palce w niesłusznej sprawie.

CO PRZYNIESIE PRZYSZŁOŚĆ

Na podkarpaciu żyje jeszcze sędziwy mgr Jan Bolski, prawdziwy entuzjasta filmu niemego. Gdy film niemy stał się dźwiękowym mgr Jan Bolski tak się oburzył, tak zaciął w sobie, że od owego momentu do chwili obecnej nie powiedział ani jednego słowa. Wszystko ma jednak swoje granice! Ostatnio na mgr. Jana Bolskiego obrazili się historycy filmowi i oświadczyli, że nie ma on racji. Jeżeli nie zacznie mgr. Jan Bolski natychmiast mówić, to historycy filmowi przestaną pisać. Nie wiadomo jeszcze jak zakończy się ten pasjonujący spór.

FRANK EDWARDS

DZIWNY NIEZNANY ŚWIAT

Satyrycy ukuli zwrot „małe zielone ludziki" w celu wyśmiewania doniesień opisujących wizyty istot pozaziemskich. Z tego powodu wszystkie sprawozdania mówiące o zaobserwowaniu takich właśnie istot traktowane są z wielką ostrożnością i sceptycyzmem. Mimo tej ostrożności i podejrzliwości, trzeba przyznać, że jest wielu wiarygodnych świadków którzy twierdzą, iż widzieli przybyszów z innych planet. Doniesienia na ten temat, pochodzące z wielu oddalonych od siebie zakątków świata, są wyjątkowo zbieżne w opisach wyglądu istot przybywających do nas z innych światów na swoich latających talerzach. Nawiasem mówiąc, zbieżność taka czyni te doniesienia jeszcze bardziej prawdopodobnymi.

Ponieważ większość Nie Zidentyfikowanych Obiektów Latających ma kształt dysku o średnicy prawie 25 stóp, z kopułą wysokości pięciu, do sześciu stóp pośrodku, logiczne staje się przypuszczenie, że kierujący tymi pojazdami muszą być stosunkowo niskiego wzrostu.

Zaobserwowane przypadki potwierdzają, że tak jest w istocie.

Rankiem, 28 listopada 1954 roku, Gustavo Gonzales i jego pomocnik Jose Ponce wyjechali z Caracas ciężarówką do odległej o około dwudziestu minut jazdy miejscowości Petare. Była godzina druga w nocy.

Według zeznania, które potem złożyli pod przysięgą, Gonzales i Ponce przejechali prawie jedną trzecią trasy, gdy za ostrym zakrętem drogę zablokował im świecący, półkolisty obiekt wiszący cztery, do pięciu stóp nad drogą.

Obaj mężczyźni wysiedli z samochodu, aby się lepiej przyjrzeć nie znanemu pojazdowi. Gonzales popełnił błąd, starając się schwytać małego „człowieczka", który do niego podbiegł, aby, jak później stwierdził, oddać go na policję za zablokowanie drogi. Człowieczek był bardzo lekki — ważył nie więcej niż trzydzieści pięć funtów, ubrany był jedynie w jasnobrązową przepaskę na biodrach, miał czarną skórę i krótkie szczeciniaste owłosienie.

W pewnej chwili Gonzales poczuł uderzenie i poleciał w tył na dobrych kilka metrów. Choć potłuczony i ogłuszony upadkiem, mężczyzna wyciągnął nóż i zadał nim cios w ramię atakującego go osobnika lecz nóż odbił się od ramienia nie kaleczące go. Mimo jeszcze jednego uderzenia, Gonzales zdołał zerwać się i uciec do najbliższego posterunku policji. Ponce, widząc co się dzieje wziął nogi za pas i przybiegł tam jeszcze wcześniej.

Kiedy obaj mężczyźni opowiedzieli, co się wydarzyło, posądzono ich o to, że są pijani. Jednakże dokładne badanie lekarskie nie tylko wykluczyło tę możliwość lecz także wykazało, że obaj są pod wpływem szoku. Po otrzymaniu środków uspokajających obaj mężczyźni pod przysięgą złożyli zgodne w szczegółach zeznanie.

Opowiadanie Gonzalesa i Ponce zostało niespodziewanie potwierdzone przez jednego z lekarzy, który ich badał. Stwierdził on, mianowicie, że był naocznym świadkiem bójki Gonzalesa z „ludzikiem". Wracał właśnie z wizyty u chorego, gdy zobaczył opisywane zdarzenie. Obawiając się niepożądanego rozgłosu, oddalił się szybko, gdy zobaczył, że mężczyźni wyszli z opresji bez szwanku. Zgodził się potwierdzić prawdziwość zeznań Gonzalesa i Ponce pod warunkiem, że jego nazwisko nie zostanie ujawnione.

Siódmego maja 1955 roku, „El Universal", dziennik ukazujący się w Caracas, opisał zdarzenie, w którym brał udział pewien znany inżynier. Pewnego razu zobaczył on obok autostrady w Bahia Blanca w Argentynie dziwny pojazd w kształcie dysku. Na płaskiej kopule na wierzchu pojazdu pulsowało światło. Z boku otwarte były małe drzwiczki, przez które inżynier wcisnął się do środka.

W środku pojazdu zobaczył trzech małych ludzi ubranych w dopasowane brązowe kombinezony. Jeden siedział przy pulpicie sterowniczym a dwaj leżeli na krótkich kanapach. Wszyscy byli martwi. Ich wzrost nie przekraczał czterech stóp, skórę mieli ciemnobrązową, a oczy żółtawe.

Inżynier postanowił pojechać do domu po przyjaciół. Gdy z nimi wrócił na miejsce, gdzie widział nie znany pojazd, nie zastał go już tam. Zdołał jedynie zrobić zdjęcie tego, lub podobnego pojazdu, który unosił się wysoko w powietrzu.

W Szwecji, 20 grudnia 1958 roku, o trzeciej godzinie nad ranem dwaj młodzi mężczyźni wracali samochodem do domu z potańcówki. W pewnym momencie zatrzymali samochód, aby dokładnie przyjrzeć się dużemu świecącemu przedmiotowi znajdującemu się na leśnej polanie obok drogi. Gdy się do niego zbliżyli, zostali zaatakowani przez czterech ubranych na czarno osobników, o wzroście nie przekraczającym czterech stóp. Jeden z mężczyzn, wyrwawszy się napastnikom, pobiegł do samochodu i klaksonem wzywał pomocy. Drugi nie mógł dać rady wszystkim czterem: obłapił jedynie metalowy słup znaku drogowego rękami i nie pozwolił się od niego oderwać. Po szarpaninie trwającej w sumie mniej więcej siedem minut, napastnicy nagle zaprzestali walki i pobiegli do swego świecącego pojazdu, który wkrótce wtopił się w ciemne niebo.

Jeden z mężczyzn, Hans Gustavsson, wspomniał potem, że: „Jedyną rzeczą, której nigdy nie zapomnę jest obrzydliwy zapach tych istot. Prześladuje on mnie dotąd".

We francuskiej wiosce Quaroubles, 10 września 1954 roku, Marius Dewilde wyszedł do ogrodu około godziny 10.30 wieczorem, aby uspokoić osa, który od dłuższej chwili gwałtownie szczekał. Zapaliwszy latarkę, ujrzał w jej świetle dwa małe stwory, jakby dwu maleńkich ludzi, w błyszczących ubraniach, takich jakie noszą nurkowie, z plastykowymi hełmami na głowach. Dewilde rzucił się zamykać bramę, aby zapobiec ucieczce przybyszów, gdy uderzył w niego snop światła z nie znanego pojazdu, stojącego opodal ogrodu. Światło go oślepiło i jak gdyby unieruchomiło. Gdy zgasło, nieznanych istot już nie było, nie było też ich pojazdu.

Podobnych doniesień jest dużo więcej. Z Afryki, Europy, obu Ameryk płyną w dalszym ciągu wiadomości od naocznych świadków, którzy widzieli nie znane pojazdy i kierujące nimi istoty. Jak wynika z doniesień, pojazdy te z łatwością wyślizgują się ścigającym je odrzutowcom i z upodobaniem odwiedzają ważne ośrodki wojskowe i komunikacyjne. Pomimo zmowy milczenia czynników oficjalnych na całym świecie, nie zdołano całkowicie ukryć istoty i rozmiarów problemu.

Fakty te rzucają odpowiednie światło na owo ogromne kosztowne przedsięwzięcie, które nazywamy „programem kosmicznym" — szaleńczą próbę podjętą przez człowieka w celu stwierdzenia skąd się wzięli dziwni przybysze, którzy nas odwiedzają i czego od nas chcą.

Oprac. B. KRAKOWIAN

MAGAZYN

ODGŁOSY

EDWARD KOPCZYŃSKI

RADY DLA POCZĄTKUJĄCEGO

Wstępując do koła łowieckiego, drogi przyjacielu, powinieneś pierwszy sezon łowiecki z góry zapisać na straty i poświęcić go prawie wyłącznie na baczną obserwację, na poznanie kolegów, ich charakterów, ich wad i zalet oraz na zaznajomienie się z układami towarzyskimi w kole. Szczególnie dotyczy to tych kolegów, którzy wchodzą w skład zarządu i jako władza mogą, diabeł nigdy nie śpi, wciągnąć cię na listę osób, co do których, przy pierwszej okazji, należy się zastanowić...

Szczególnie dokładnie musisz poznać Prezesa i Łowczego, musisz na pamięć znać ich upodobania, zwyczaje, gusty, by w odpowiedniej chwili, w odpowiedni sposób wykorzystać je z pożytkiem dla siebie.

Przychodzi bowiem taki myśliwy do nowego koła i od razu dobrze strzela — co się złoży, to zając leży, co wygarnie do koguta, to kogut już na trokach. Otóż, drogi przyjacielu, nie tędy droga. Posiadając nawet umiejętność celnego strzelania, musisz ją w pierwszym sezonie ukryć, schować głęboko. Korzystniej będzie dla ciebie, jeżeli będziesz pudłował — ucieszysz tym kolegów i życzliwie usposobisz do siebie — będą cię poklepywać po plecach i szczerze pocieszać, że pudlarz koła nie hańbi, że pudło zdarza się każdemu.

Szczególnie niebezpieczne dla lekkomyślnych myśliwych są te sytuacje, w których w czasie polowania przypadek stawia ich na sąsiednich stanowiskach z Prezesem Łowczym czy nawet z innym człowiekiem Zarządu.

Weźmy przykład pierwszy z brzegu. Los, ten największy życiowy kpiarz, stawia cię w pewnym pędzeniu na linii strzelców, między Prezesem i Łowczym. Fryc, nie znający się na rzeczy stanie na głowie, aby błysnąć talentem strzeleckim, będzie się dwoił i troił, by nadążyć ze strzelaniem, by żadnego szaraka nie przepuścić. Natomiast myśliwy znający zwyczaje łowieckie będzie strzelał tak, żeby zająca nie trafić. Należy tak strzelać, aby nie trafiać, dając tym Prezesowi i Łowczemu okazję do ujawnienia własnych talentów strzeleckich. W tej sytuacji może się jednak zdarzyć, że Prezes czy Łowczy zranią tylko zająca i taki postrzałek — los często jest okrutny i kpi z nas w żywe oczy — przyjdzie do ciebie. Owszem, wolno ci takiego zająca dostrzelić, ale natychmiast winieneś aportować tego zająca wprost do rąk Prezesa czy Łowczego. Nie wolno ci, ale to w żadnym wypadku, strzelać i trafić do zająca, do którego dwukrotnie, bez skutku strzelał Prezes czy Łowczy.

Los może cię postawić również obok Prezesa lub Łowczego w czasie zbiorowego polowania na koguty. Idziesz sobie wtedy, szczęśliwy jak szczygieł, obok Prezesa, na przykład wśród buraczanych upraw, a tu nagle, tuż przed wami, kogut jak rakieta leci w górę. Już masz broń przy oku, już palec chce pociągnąć za spust, ale... ale doświadczony myśliwy nigdy w życiu nie popełnia takich błędów.

Gdybyś znalazł się w sytuacji, że cały dzień chodziłbyś za kogutkami obok Prezesa, nie wypada ci strzelić więcej jak jednego koguta na dwa, trzy Prezesa i możesz strzelać wyłącznie do tych, których Prezes nie zauważył.

Jest druga dziedzina myśliwskiego savoir vivre'u, w której musisz zachować taki umiar. Myślę o myśliwskich pogwarkach i powiedzonkach, zdarzających się podczas polowania. Nie wolno ci, drogi przyjacielu, w pierwszym sezonie udowadniać, w żadnym wypadku, że masz rację, choćby ta twoja racja była tak prosta jak komin fabryczny. Jeżeli Prezes lub Łowczy powie, to to jest białe, musisz bez zmrużenia oka potaknąć, choćby Prezes podsuwał ci przy tym pod oczy kawał czarnego węgla. Potakując w pierwszym sezonie, masz szanse przetrwać w kole do następnego sezonu i ewentualnie wtedy możesz próbować wyjaśnić, że to białe wydaje ci się niezupełnie białe, że nawet przywodzi ci na myśl pewien kopalniany minerał — próbując jednak tej sztuczki w drugim sezonie musisz pilnie baczyć, czy nie lepiej będzie odłożyć wyjaśniania choćby do trzeciego sezonu.

Pamiętaj, drogi przyjacielu, że do przestrzegania tych zasad ty jesteś zobowiązany. Starzy członkowie koła mają tutaj trochę swobody. Mogą wygarnąć do miotu po drugiej trąbce, strzelając z flanki, mogą walnąć na linię, z linii na flankę, ale to są ludzie z doświadczeniem, do których Prezes czy Łowczy mają już długoletnie zaufanie. Tobie, przyjacielu, nie wolno, w żadnym wypadku, dopuszczać się tych wykroczeń, chyba, że zdążyłeś już się wkraść w łaski, wtedy inna para kaloszy.

Prowadząc rozmówki w pierwszym sezonie, pamiętaj zawsze, że na uprzejmości nikt nie stracił Używaj zwrotów: „Pan Prezes będzie łaskaw, niech pan Prezes pozwoli, ten strzał pana Łowczego to był prawdziwy majstersztyk, czy pan Łowczy był uprzejmy pamiętać."

Przyjmij, przyjacielu, te uwagi sercem pisane, a będę spokojny o twoją łowiecką przyszłość.

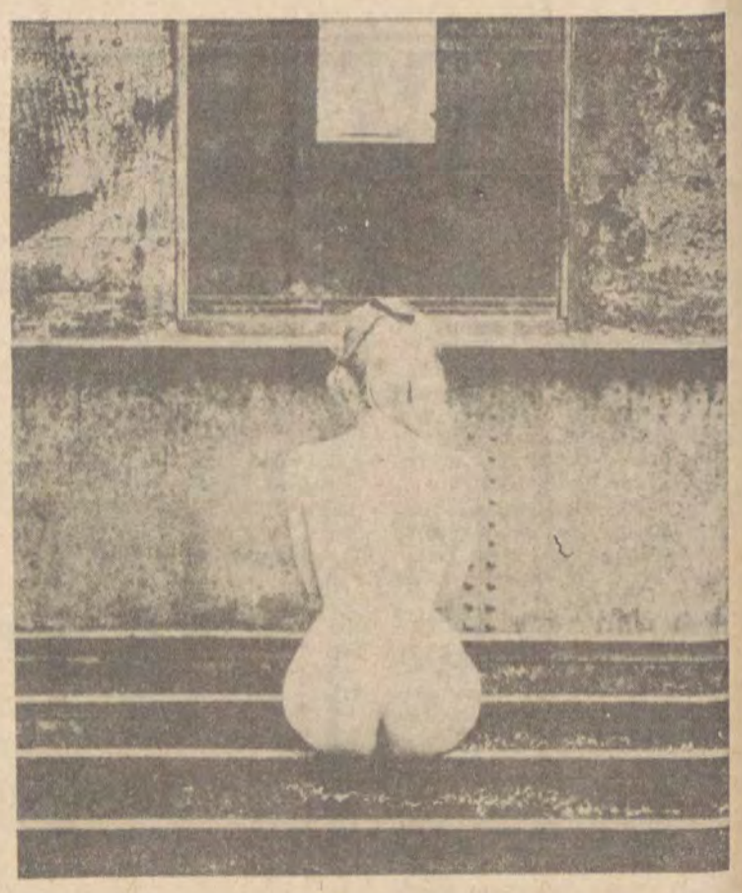

Fot. Archiwum

JACEK BROMSKI - STORY

POWIĘKSZENIA

ZNAWCA

Leszek Kołodziejczyk — stały korespondent „Życia Warszawy" w Paryżu doniósł:

„...walczą z sobą dwie tendencje: sukni „rury" i sukni szerokiej. Najskrajniej obcisłą rurę lansuje Patou. Przylega ona ściśle do c i a ł o k s z t a ł t u (podkreślenie Powiększeń) spięta na dziesiątki guziczków niczem księżowska sutanna".

Okazuje się, że jak coś podobne do sutanny, to już nie może przylegać do kobiecego ciała, albo do kobiecych kształtów. Skąd ten purytanizm nad Sekwaną?

POSTĘP W INFORMACJI

„Express Ilustrowany" zapytał:

„Dlaczego informacja „03" podaje abonentom fałszywe numery np. w Piotrkowie na podstawie starej, nieaktualnej książki telefonicznej województwa — skoro wiadomo, że od trzech lat w mieście tym nastąpiła generalna zmiana numerów telefonicznych?

I otrzymał następującą odpowiedź:

„Inż. W. Szuflet przyznał rację, że nie można nadal tolerować tego stanu rzeczy, by telefonistki podawały nieaktualne numery sprzed trzech lat. Polecił więc by dostarczono im nowy poprawiony wykaz w Piotrkowie, lub będą kierowały do informacji w tym mieście".

Ten drugi pomysł podoba się nam najbardziej. Nie ma to jak przodem do tyłu.

TYTUŁ

„Express Wieczorny" oburza się w tytule: „NARKOMANIA I PROSTYTUCJA W AMERYKAŃSKICH KLUBACH DLA EROTOMANÓW"

Przepraszamy, a gdzie? W barach mlecznych?

MAKABRESKA

Spółdzielnia Inwalidów im. Hanki Sawickiej w Łodzi ogłasza się w następujący sposób:

„Spółdzielnia Inwalidów im. H Sawickiej w Łodzi wykonuje usługi dla ludności na raty, za gotówkę po dostępnych cenach: NAGROBKI — z granitu lub lastrica w różnych wzorach. PIWNICE CEMENTOWE — betonowe. (...)"

Chroń nas Boże przed takimi usługami. Nawet na raty.

POLDROB

KLASA I

NAJLEPSZA JEST PIECZONA – NADZIEWANA JABŁKAMI

Łódzkie Zakłady Drobiarskie

Wydawca: RSW „Prasa—Książka—Ruch" — Łódzkie Wydawnictwo Prasowe w Łodzi. Adres redakcji: ul. Piotrkowska 96 kody poczt. 90-950 i 90-103, telefony 652-44, 217-98 oraz 293-00 wew 29, 39, 40 i 41. Warunki prenumeraty: miesięcznie 12 zł kwart 36 zł Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skrótów Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy" Druk: Zakłady Graficzne RSW „Prasa—Książka—Ruch", Łódź, ul. Armii Czerwonej 28. Zam. 332. U-11. Nr indeksu 37006/36762